

WYGRALIŚMY Z AGENTURĄ WPŁYWU, KTÓRA CHCIAŁA NAS ZRUJNOWAĆ

SMUTNA HISTORIA JACKA KRAWCA W ORLENIE ZA TUSKA



CO WIEMY O TAJEMNICZYM ARTURZE BARANOWSKIM Z „JEDEN Z DZIESIĘCIU"



ZMIANY KLIMATU. NAUKOWIEC W WAŻNEJ KSIĄŻCE PODWAŻA WINĘ CZŁOWIEKA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 49 (575) 2023
4–10 grudnia 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

MASKI HOŁOWNI

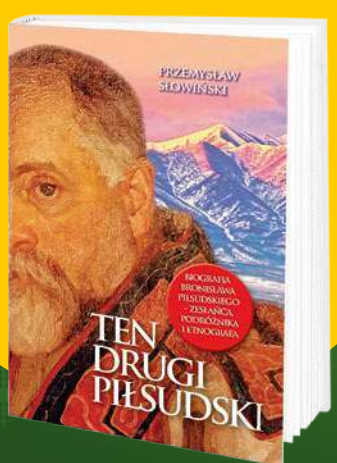
SZTUCZKI PRZENIESIONE ZE STUDIA TVN I WZIĘTE Z KAZNODZIEJSKICH TRAS MAJĄ PRZYKRYĆ BARDZO KONKRETNE INTERESY. NIE TYLKO TE WIATRAKOWE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
49
9 772544 269304

Świąteczna prenumerata tygodnika SIECI

Zyskujesz najwięcej!

Pasjonująca biografia Bronisława Piłsudskiego



40% rabatu

tylko 100 książek w prezencie

Teraz prenumerata 84 zł taniej

(od 1 stycznia 2024 r. cena wzrośnie do 349 zł)

Niesamowite życie brata Józefa Piłsudskiego, który został wygnańcem po spisku na życie cara Aleksandra III. Dlaczego nazwano go Królem Ajnów? Dlaczego na Sachalinie wystawiono mu pomnik?
360 stron | fascynująca książka o wybitnym człowieku

Zamów już dziś z rabatem 40% i o 84 zł taniej niż w przyszłym roku!

www.sieciprawdy.pl/prenumerata

Roczna prenumerata SIECI z książką w prezencie **tylko za 265 zł**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że promocja jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 14-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 2da195ac22

Za cicho o tej sprawie! Przyznali, że kłamali

Pamiętacie te straszliwe opisy rzekomych tragedii kobiet i dzieci na polsko-białoruskiej granicy, gdzie polscy strażnicy graniczni, żołnierze, policjanci i cywile w służbie państwowej dawali odpór zorganizowanemu przez wschodnich tyranów najazdowi? I wypowiedzi pani Kurdej-Szatan, pana Frasyniuka oraz wielu innych, którzy podłym słowem wbijali medialne noże w plecy obrońcom naszych granic? Widzieliście (wystarczyło fragmenty) film Agnieszki Holland „Zielona Granica", który poniósł w świat tę zakłamaną opowieść?

My wiedzieliśmy, że to nieprawda. Byliśmy na granicy, rozmawialiśmy z jej obrońcami, umieliśmy łączyć fakty. Nasi czytelnicy dołączyli do akcji „Murem za polskim mundurem", a tysiące pięknych kartek przekazaliśmy bezpośrednio do funkcjonariuszy na granicy, gdzie przyjęto je z radością.

Funkcjonariusze mówili o tym, jakim bólem jest dla nich ta nagonka. Opowiadali, że codziennie muszą prostować fake newsy, absurdalne wymysły i oskarżenia, które przeradzają się w internetowy hejt. Nie rozumieli, po co to TVN i „Wyborczej".

Teraz obraz staje się jaśniejszy.

Gazeta Adama Michnika zamieściła tekst, który nikogo, kto przeżywa polskie sprawy na serio, kto jest przywiązany do elementarnych zasad, nie powinien pozostawić obojętnym.

Małgorzata Tomczak, socjolożka, autorka lewicowej prasy, wyznaje w nim, iż niemal wszystko, co dotychczas publikowano w tej sprawie, było manipulacją lub wymysłem.

Niemal wszystko!

„Po dwóch latach pisania o migracji i kryzysie na granicy nie mam wątpliwości, że jesteśmy w procesie wytwarzania fałszywej wiedzy. Jej elementami są zwykłe fake newsy, liczne przeinaczenia na poziomie samych faktów, ich przyczyn czy interpretacji; uparte pokazywanie wybranych fragmentów rzeczywistości i zupełne pomijanie innych" – to kluczowe zdania z jej artykułu.

Autorka przyznaje, iż np. film „Zielona Granica" miał wstrząsnąć widzami, wywołać wyrzuty sumienia i zmusić do działania.

„Obawiam się, że jeśli ktoś faktycznie wstanie z fotela, by tę rzeczywistość zmieniać, to jej nie znajdzie. Bo choć utwory funkcjonują w debacie jako niemal dokumentalne zapisy sytuacji na granicy, to w rzeczywistości ukazują tylko jej niewielki, przefiltrowany wycinek. Nie zadają prawdziwych pytań, a całą kompleksowość tematu wciskają w czarno-białe kategorie".

Dowiadujemy się, że uchodźcy z tych tekstów, czyli „rodziny z małymi dziećmi, wykształcona, świetnie mówiąca po angielsku Afganka, ciężarna kobieta" są „na granicy wyjątkami".

Co ważne, Tomczak potwierdza to, co pisaliśmy od lat: większość pochodzi z krajów, gdzie nie toczy się żadna wojna, przyczyny ich przyjazdu są ekonomiczne, a prawo europejskie i polskie nie daje im żadnego prawa do wjazdu.

Małgorzata Tomczak przyznaje, że słynna „zagubiona dziewczynka Eileen" nie istniała.

„Co z opowieścią o »małej Eileen« – czterolatce, której zaginięcie w lesie mieli zgłosić aktywistom jej wypchnięci na Białoruś rodzice? O sprawie pisały wszystkie media, interweniował rzecznik praw obywatelskich, a potem temat nagle się urwał. […] Dziś wiemy, że Eileen nie istniała. Była to jedna z opowieści, którą usłyszeli aktywiści i przekazali dalej".

Zaryzykuję tezę, że większość tych historii znad granicy powstawała w taki sposób, tak była weryfikowana. Może wymyślano je w mińskiej siedzibie KGB?

Jak to wszystko było możliwe? Z tekstu dowiadujemy się, iż to swego rodzaju biznes.

„Migranci chcą przetrwać podróż i dotrzeć do celu. Aktywiści chcą im w tym pomóc, a ich rolą w szerszej perspektywie jest też rzecznictwo, kształtowanie postaw, »tworzenie zmiany«. Środkiem do tych celów jest zbieranie poparcia i fundraising, który w branży humanitarnej często opiera się na dramatycznych obrazach i wywoływaniu silnych emocji".

Innymi słowy – dramatyczne historie przynoszą pieniądze, więc się je wymyśla.

Coś obrzydliwego.

Tomczak opisuje też mechanizmy cenzury i pisania tekstów pod zamówienia: „Były prośby o pominięcie pewnych faktów; delikatne dodanie innych, zasugerowanie czegoś, by polepszyć wymowę tekstu: Czy nie mogłabym wyciąć zdania, że migrant był zamożny i zapłacił 12 tysięcy euro za podróż? Przecież to młyn na wodę dla prawicy. Czy mogłabym usunąć ten akapit? Może zaszkodzić ruchowi pomocowemu".

Celnie zapytał mecenas Marek Markiewicz w „Salonie Dziennikarskim": „Kto prosił, kto cenzurował?". Poznamy nazwiska?

Dlaczego taki tekst ukazuje się właśnie teraz? Trudno nie łączyć tego faktu ze zbliżającą się zmianą władzy. Tusk i Niemcy nie chcą już takich rozgrzanych radykałów na zapleczu, „GW" dostała zadanie, by ich odciąć.

„Aktywiści pomocowi", jak się okazuje w sporej części pożyteczni idioci lub zwykli manipulatorzy, zrobili już swoje. Można ujawnić ich kłamstwa. A krzywda i ból obrońców polskich granic, ich rodzin? Oszukani Polacy? Czy ich, nas, przeproszą?

Za cicho o tej sprawie, proszę, poinformujcie innych. Pismo Michnika w imieniu całego środowiska, przyznało właśnie, iż latami oszukiwało Polaków i świat. Tego nie można tak zostawić.

Michał Karnowski



Autopromocja

SIECI

spis treści



33 **Miodowego miesiąca nie będzie**
Konrad Kołodziejski



40 **Z Łukaszem Litewką**
rozmawia Dorota Łosiewicz



67 **Żelazna dama**
Jolanta Gajda-Zadworna

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **PODCAST NADCZŁOWIEKA**
Krzysztof Feusette

9 **PRZODOWNICY W HEJCIE?**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **PROBLEM EUROPRZYWÓDZTWA**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **PRZESTĘPCY, W STRASBURGU WASZA NADZIEJA!**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA MICHAŁA KĘPIŃSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **JESZCZE MOŻNA TO ZATRZYMAĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **PO CO KOMU PRAWO, SKORO SĄ ZAKLĘCIA**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

24 **ŻYCIOWA ROLA HOŁOWNI**
Stanisław Janecki

KRAJ

28 **Z JANUSZEM CIESZYŃSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

33 **MIODOWEGO MIESIĄCA NIE BĘDZIE**
Konrad Kołodziejski

36 **WOJNA CIĘŻARÓWEK**
Jan Rokita

40 **Z ŁUKASZEM LITEWKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz

44 **PIĘKNY UMYSŁ**
Goran Andrijanić

46 **WYGRALIŚMY Z AGENTURĄ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

ŚWIAT

49 **SPOIWEM ROSJI PRZYSZŁOŚCI BĘDZIE WOJNA**
Marek Budzisz

52 **Z JESÚSEM LAÍNZEM**
rozmawia Małgorzata Wołczyk

56 **HOLENDERSKI TRUMP IDZIE PO WŁADZĘ**
Aleksandra Rybińska

58 **JEŚLI NIE WIADOMO O CO CHODZI, TO CHODZI O WŁADZĘ**
Dariusz Matuszak

OPINIE

60 **Z PROF. RYSZARDEM LEGUTKĄ**
rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski

64 **APOKALIPSA, KTÓRA NIE NADCHODZI**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

67 **ŻELAZNA DAMA**
Jolanta Gajda-Zadworna

69 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

70 **NIECH OGARNIE NAS WIECZNOŚĆ**
Robert Tekieli

71 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

72 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

78 **TRANSPORT RÓWNOMIERNIE ROZWIJANY, CZYLI ZRÓWNOWAŻONA TRANSFORMACJA**
Debata Forum wGospodarce.pl

PODRÓŻE

92 **MOJE SZLAKI: MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

93 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

94 **NIEROZLICZONE ZBRODNIE**
Alina Czerniakowska

95 **NADCIĄGA PATRIARCHAT**
Lech Makowiecki

96 **NA RORATY...**
Leszek Długosz

98 **ODSŁONA MACHINY DEZINFORMACJI**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 35/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22

Dbamy
o wartość
polskiego
pieniądza



nbp.pl

Narodowy Bank Polski
informuje:

NARODOWY BANK POLSKI
JAKO JEDEN Z PIERWSZYCH
rozpoczął walkę z inflacją

WSZYSTKIE DZIAŁANIA NBP SĄ ZGODNE Z PRAWEM
i spełniają najwyższe standardy międzynarodowe

eprasa.pl 2da195ac22



Sygnalista nadaje

To rzeczywiście jest wyczyn, który można tylko podziwiać. Czwórkoalicja nie objęła jeszcze władzy, a już pokazała, kto skorzysta na zmianach. „Miał być popcorn i jest! Tylko zajadają się nim lobbyści! W Polsce padł dziś rekord świata! Tym razem nie ma się jednak z czego cieszyć, bo to światowy rekord w aferach! Afera wiatrakowa wybuchła, zanim podjęli próbę stworzenia rządu. Bez konsultacji, bez analiz, bez przygotowania politycy PO i Polski 2050 chcą ustawić wielkie turbiny przy domach Polaków. „Kto straci? Polacy! Kto skorzysta? Lobbyści!" – komentował premier ***Mateusz Morawiecki***. Ludzie nie doceniali tego, co mieli.

Patryk Jaki wskazuje na międzynarodowe konteksty sprawy. „Europę obiegła informacją, że niemiecki Siemens jest bliski bankructwa, bo straty przynosi im produkcja turbin wiatrowych. Brakuje ok. 4,5 mld euro. Chwilę później UE z niemiecką przewodniczącą odblokowuje Polsce 5 mld euro. Nie zgadniecie na co? Na projekty ekologiczne i wiatrakowe. Problemem jest tylko polskie prawo, które chroni ludzi przed wywłaszczeniami pod inwestycje wiatrakowe. Więc nagle pojawia się projekt poselski ekipy Tuska, który pozwala budować wielkie wiatraki 300 metrów (!) od Waszych domów, a jak komuś się nie podoba, to można go wywłaszczyć pod wiatrak" – podkreślił europoseł Suwerennej Polski. Ta ekipa ma potężne polityczne długi i już zaczęła je spłacać. Kosztem Polaków.

I dalej: „Na jaw wychodzi, że projekt pchała ekipa Hołowni. A Hołownia ma doradcę, którego żona pracuje w firmie wiatrakowej. I co? Jeszcze nie zaczęli rządzić, a już wywłaszczą Polaka, bo Niemcy w potrzebie. I ich lobbyści chcą zarabiać Waszym kosztem. Ostrzegałem, że tak będzie. My nie jesteśmy idealni, ale broniliśmy zwykłych Polaków przed niemieckimi haraczami, których będzie coraz więcej" – pisze Patryk Jaki. Wielu szybko zatęskni za rządem, który idealny nie był, ale na pewno był najlepszy od 1989 r.

Cena za zmianę gabinetu będzie wysoka. W zamian ma być wesoło. ***Szymon Hołownia*** już tryska pomysłami, które przywołują na myśl infantylizm pierwszych dekad III RP. „Trzeba zrobić jeszcze jedną rzecz [...] to jest postulat mojego ruchu politycznego, który założyłem, będę potrzebował do tego sojuszników, mam nadzieję, że ich znajdziemy – trzeba obniżyć wiek wyborczy w Polsce do 16. roku życia. Dlaczego? Dlatego, że to będzie sprawiedliwe, społeczeństwo się starzeje. Co to oznacza? Za każdymi kolejnymi wyborami odsetek starszych wyborców jest większy, a nie mniejszy" – mówił w Krakowie. Problem w tym, że młodsi wyborcy nie stają się coraz mądrzejsi, a nawet odwrotnie. Kto proponuje Polsce pajdokrację, naraża ją na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Hołownia ma także marzenie: „My nie zniesiemy sporów, ale parlament, ale Sejm może być tym miejscem, gdzie my się nauczymy tak je przepracowywać, że Polska jeszcze głębiej nie popęka" – zapowiada i dodaje: „Chciałbym, by za dwa lata, jak będę kończył misję, ludzie, przechodząc obok tego Sejmu, się uśmiechali. To jest mój cel, żeby patrzyli na ten gmach z nadzieją, a nie odwracali głowę, a nie wy-

eprasa.pl 2da195ac22

tykali palcami". To możliwe: widząc Hołownię, ludzie będą się uśmiechać. A może nawet śmiać.

Zapewne w ramach walki z procesem pękania narodu na północa Rzecznik Praw Dziecka Monika Horna-Cieślak zadeklarowała, że będzie wspierać „tęczowe piątki" w szkołach, „tak jak święto zmarłych, które organizują dzieci katolickie". Nie wskazała, które to dzieci organizują owe ceremonie ani kiedy wypada owo „święto zmarłych". Poza tym ile można udawać, że najpotężniejsze lobby świata, czyli LGBT+, to ofiary? Jest odwrotnie.



Wybrany do Sejmu z listy wyborczej Koalicji Obywatelskiej lider Agrounii ***Michał Kołodziejczak*** apeluje, by nie okazywać litości. „Skieruję krótki apel do naszych kolegów z innych klubów i partii, które przejmują władzę. Apeluję, żeby z polityką łagodności do polityków PiS skończyć. Ja wiem, że boimy się często weta prezydenta, ale tutaj musimy niestety zastosować taką metodę brutalną". Czy to nowy Niesiołowski? Polityka miłości zawsze niosła w górę ludzi z pianą na ustach.



Jak ma wyglądać owa „brutalna metoda"? „Kiedy jest mały pies, szczeniak i głaszcze się go za złe zachowanie, to on później, będąc duży – gryzie, trzeba mu zakładać kaganiec, trzeba wprowadzać dodatkowe metody. Dzisiaj polityków PiS trzeba skarcić za to, co robili do tej pory i nie bać się konsekwencji. Tutaj ta metoda wychowawcza, częsta wobec szczeniaków, musi zostać zachowana. Ja apeluję: polityka łagodności do polityków PiS musi zostać zakończona" – rozwija swoją koncepcję Kołodziejczak. Kto mieszkał na wsi, już wie, co to za typ. Lepiej omijać z daleka.



Aktor Jan Peszek w rozmowie z „Newsweekiem" o tych, którzy przegrali wybory, mówi tak: „Los tych ludzi, tych, którzy przegrali, i mówię tu zarówno o politykach, jak i o wyborcach Jarosława Kaczyńskiego, kompletnie mnie nie interesuje. W tym znaczeniu, że nie jestem w stanie się nim przejąć. Oczywiście chciałbym, aby zrozumieli, że życie w świecie destrukcji niszczy ich samych. I powiększyli grono tych, którzy chcą w Polsce budować, a nie podpalać". Na szczęście Polacy, którzy poparli program niepodległościowy, też nie przejmują się Peszkiem. On ich kompletnie nie obchodzi.



Ten sam „Newsweek" piórem Magdaleny Kuszewskiej opisał pokolenie ok. 40-letnich Polek, które czują, że w ich życiu coś poszło nie tak. Kobiety będące bohaterkami artykułu opowiedziały o obawach o pozycję na rynku pracy – powodem są kolejne pokolenia zaczynające karierę, „bardziej doświadczone, wykształcone, pewne siebie". Czują się również niewidzialne, „przezroczyste" dla innych ludzi, znajomych, którzy komentują przebojowość i działania ich mężów, partnerów. Wskazano także na problemy rodzinne, zwłaszcza ignorowanie przez dzieci. Jedna z wypowiedzi głosi zaś: „Nawet matką nie zostałam, teraz żałuję". I kto tu, panie Peszek, żyje w świecie destrukcji?



Jeden z internautów skomentował: „Proszę państwa, oto skutki feminizmu – takich nieszczęśliwych kobiet będą w Polsce miliony. Feminizm przez lata okłamywał je, że jest się powabnym w każdym wieku, że rodzina to zło, że dziecko to pasożyt, a mężczyzna – wróg. To kobiety kobietom zgotowały ten los". Inny dodał: „Ten artykuł powinien brzmieć: „Jak zaszczuliśmy jako media młode kobiety w Polsce, które teraz żałują swoich złych decyzji życiowych". Padł także taki głos: „To wasza wina. Tego stylu życia, jaki promowaliście (wraz z innymi wam podobnymi mediami) przez te wszystkie lata. Tego, jak pisaliście o rodzinie, małżeństwie, wartościach. Tego, że miłość sprowadziliście tylko do fizyczności. To wy zbudowaliście ten diabelski świat". Tak, to oni. Niestety, głębszej refleksji nie będzie. Tylko jakiś wielki wstrząs mógłby tu coś zmienić.

Konfederacja przygotowała trzy projekty wniosków o komisje śledcze – dotyczącą polityki energetycznej, do zbadania przyczyn i skutków niekontrolowanego importu żywności z Ukrainy oraz potencjalnych nieprawidłowości związanych z polityką. „Jako Konfederacja będziemy zbierać podpisy od wszystkich w Sejmie, którzy są zainteresowani tym, żeby wymierzyć sprawiedliwość, żeby pociągnąć przestępców politycznych do odpowiedzialności" – zapowiedział w Sejmie poseł Michał Wawer. Coraz śmielej, coraz śmielej. Jedno już wiadomo: nawet gdyby mieli 50 posłów, poszliby przeciw PiS. To były złudzenia.

Donalda Tuska zapytano o protest polskich przewoźników domagających się m.in. wprowadzenia zezwoleń komercyjnych dla ukraińskich firm oraz zawieszenia licencji dla firm, które powstały po wybuchu wojny na Ukrainie. „Z Ukrainą trzeba żyć w przyjaźni, wspierać, a jednocześnie nie zaniedbywać polskich interesów" – powiedział lider PO, kandydat na premiera, i przeszedł do ataku: „Oni to kompletnie zaniedbali, a kiedy zorientowali się, że to ludzi wkurza, zaczęli grać kartą antyukraińską". Chwilę później rzucił jednak: „To jest skandal, bo nawet w takiej sprawie jak protest kierowców oni narażają nasze fundamentalne interesy, relacje z Ukrainą, Rosją, Europą na szwank". Przejęzyczenie, ale jakże symboliczne. A może zapowiedź czegoś więcej?

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3, Fratria

eprasa.pl 2da195ac22

Podcast nadczłowieka



KRZYSZTOF FEUSETTE

Jaki śmieszny jesteś pod oknem, gdy zapada chłodny zmierzch, a nad miastem chmury ogromne, i za chwilę pewnie będzie padał deszcz... Nie, no jaki „śmieszny"? Co ja śpiewam? Powinno być „Jaki piękny jesteś pod oknem, gdy na zewnątrz..." czy tam „wewnątrz", nieważne. Tak zacznę ten podcast. Potem im przeczytam: „Jak Wojtuś został strażakiem". To znaczy „Szymek" i „marszałkiem", ciągle mi się myli. Chyba zaraz zwariuję, a najgorsze, że na swoim punkcie.

To może tak? „Ja, skromny chłopak z TVN...". Nie, nie uwierzą, albo TVN, albo skromny. Inaczej: „Laicki kaznodzieja ostatniego rozdziału, rozdziału państwa od Kościoła...". Też źle. Trzeba luźniej. Kurczę, ten krawat zaraz mnie udusi. Nie dość, że lont mam krótki, to mi jeszcze ludzie dokuczali na lajfach. A to jakiś półwyborca z biblioteki w godzinach pracy krytyczne uwagi wysyłał, i to tak, że wszyscy widzieli. A to jakiś ciemniak totalny, w sensie niedemokratyczny, pisał, że „czarno to widzi", a mnie od razu całe „Mam talent" przed oczami stawało, co zresztą, opisałem w książce, którą można nabyć w sieci księgarni „Beksa" za niecałe kilkanaście euro, do którego przyjęcia przecież i tak będziemy dążyli.

Bo my gospodarczo jesteśmy liberalni. W sensie jądra Trzeciej Drogi, w skrócie, he, he, trzy D. Jak się Kosiniaki i Kamysze na nową walutę zapatrują, to już jest inna sprawa. Ale my, ustami Rysia Petru, słowa chcemy dotrzymać. 500+ do widzenia, 800 tym bardziej, emerytury do wyrzucenia, to znaczy, na razie tylko 13. i 14., żeby seniorzy nie chodzili do lekarza dla rozrywki, co odkryła Joasia Mucha. W zamian podwyższenie podatków celem zapobieżenia spadku inflacji, gdyż ten jest dobry, czyli wskazany, wtedy kiedy jest wskazany, a dobry, kiedy dobry.

Oczywiście najpierw musimy zobaczyć dziurę. Jeśli nie ma dziury, to chcemy zobaczyć, dlaczego jej nie ma, a jeśli to się potwierdzi w opinii naszych ekspertów, musimy się dowiedzieć, dlaczego się nie potwierdziło i zwołać komisję. To już będzie siódma, do spraw wprowadzania dezinformacji przez rząd Zjednoczonej Prawicy. Widać gołym okiem, że dopiero teraz nasze media mogą pisać prawdę, choćby o sytuacji na granicy. Za pisowskiego reżimu musiały kłamać, że tam się dzieją dantejskie sceny, a jedna dziewczynka to nawet zaginęła. Teraz piszą, że nie zaginęła, tylko jej wcale nie było. To się skończy, przywrócimy rządy prawa i sprawiedl..., to znaczy niesprawiedliwości... Cholera, jak tak powiem, to mnie nie ma...

Spokojnie, jest jeszcze dużo czasu. Po co ja w ogóle ten podcast obiecywałem? Nie dość, że ludzie śledzą nas na youtubie, co jest, oczywiście, superfajne, ale za chwilę będzie upierdliwe, jak kamera w toalecie. A do wyborów, wiadomo których, jeszcze całe półtora roku. 20 miesięcy na takim „klaunie" to ja raczej nie pociągnę, bo mnie w końcu obsadzą w „Disneyu na lodzie". Tylko czy to moja wina, że tak mnie to śmieszy? „Wysoka Izbo...", „Odbieram panu głos...", „Procesować ustawę...". Przecież jak ja bym tak powiedział w TVN, to Prokop tak by na mnie z góry spojrzał, że pewnie znowu byśmy jakąś książkę razem napisali. I też by się sprzedała. Przy okazji pozdrawiam cię, Marcin, i dzięki za to, co powiedziałeś, że „nauczyłem się zarządzać tłumem właśnie w tym programie". Będę o tobie pamiętał, pukając laską marszałkowską.

Właśnie, może bym coś wyrapował z tej mównicy? Show must go Hołownia, że tak powiem. Wszyscy tak mówią, „gigaczadem" mnie nazywają, a jak mam się wyróżniać, muszę od czasu do czasu coś zaśpiewać. Może nie w „Twoja twarz brzmi znajomo", bo ja się na Otella zrobić nie dam, ale tak od siebie, czemu nie? Przecież jak Morawieckiemu Wodeckiego zacytowałem, to mi buty spadły „Opowiadaj, nikt nie opowiada tak jak ty. Choć bajeczki te na pamięć znam, jakże wszystko to cudownie brzmi, na na na...". Mógłbym dłużej, gdyby mnie internauci na ziemię nie sprowadzili, że nasz dobrowolny ZUS też można między bajki włożyć. Podobnie jak hasło „Dość kłótni", skoro opozycji ani jednego wicemarszałka nie daliśmy.

Z tą zamrażarką sejmową też głupio wyszło, bo wyszło na to, że niczego nie będę tam przechowywał. A przecież to zależy, kto co włożył, prawda? To co? Może: „Marszałkiem jestem, na na, la la la la, marszałkiem jestem...", to znaczy motylem. „Uważaj, bo nie wrócę jeszcze, la la...". O, już lepiej. Tylko czy to będzie dobry motyw? Ja motyl, on rekin? Wiadomo, o kim mówię. Nawet jeśli wypuści leszcza na prezydenckie i tak będą pozostałych częstować prądem. A kto w końcu, wygrał te wybory dla demokratycznej opozycji, która teraz będzie totalną władzą? Kto chciał iść na jednej liście, jak dzieci w liście? Ktoś mi zwróci reparacje moralne za „Kałownię" i „rozbijacza opozycji"? Chcieliście wytegować Szymka, teraz Szymek wyteguje was!

I niech to nie brzmi jak ostrzeżenie, ale powiem wam jedno: jak się prezydent Duda przeziębi i, dajmy na to, będzie miał gorączkę, to głową tego kraju zostaje, no, zgadnijcie, fololersi, fejsbukowcy, tiktokerzy i reszta niepełnoletnich – kto? No, właśnie. I co, nie warto było wylać tych kilku łez?

eprasa.pl 2da195ac22

Przodownicy w hejcie?

Najmocniej atakują i najcelniej biją ci, którzy publicznie zamiast „została ministrem”, wolą pisać „została ministrą”, bo feminatywy wyrażają ponoć szacunek do kobiet

Od chwili, gdy posłanka PiS Dominika Chorosińska zdecydowała się wejść do „dwutygodniowego” rządu Mateusza Morawieckiego i zostać ministrem (czy też ministrą, jak wolą niektórzy) kultury, na jej głowę wylały się wiadra pomyj.

Media kręcą bekę z jej filmowych ról, przypominają programy, w których wystąpiła, nuta po nucie analizują piosenki, które wykonała. To jeszcze jest akceptowalny poziom złośliwości. Trudno przejść jednak obojętnie obok ataku na rodzinę pani minister, a media brutalnie i z nienawiścią rzuciły się właśnie na życie rodzinne posłanki, drobiazgowo opisując kryzysy z przeszłości. Kryzysy, z których, co trzeba podkreślić, rodzina wyszła cało; które, pewnie nie bez trudu, pokonała. Ale tak to już w życiu jest, że są w nim upadki i wzloty, a powstać trzeba umieć.

Najmocniej atakują i najcelniej biją ci, którzy publicznie zamiast „została ministrem”, wolą pisać „została ministrą”, bo feminatywy wyrażają ponoć szacunek do kobiet. Najbardziej bezwzględna jest ta strona, która krzyczy: „Niech Kościół nie zagląda mi do łóżka”. Która uważa się za tolerancyjną, postępową, oświeconą, mówi o równości kobiet i mężczyzn, a jednocześnie tej równości zaprzecza, bo okazuje się, że jednak mężczyznom wolno więcej niż kobietom. Poniżej pasa uderza strona, która z całą siłą i stanowczością gotowa była bronić posłanki KO Magdaleny Filiks i jej życia rodzinnego (i nie odmawiam słuszności tej obronie). Tu jednak wszyscy wolą mieć oczy szeroko zamknięte na fakt, że dzieci Dominiki Chorosińskiej to nastolatki, hejt najmocniej trafi właśnie w nie, że to może boleć, rujnować emocjonalnie, a nawet skończyć się katastrofą. Tego jednak nikt nie weźmie pod uwagę, bowiem Chorosińska jest przedstawicielką obozu, który medialny mainstream chce zniszczyć. Jego reprezentantom odmawia się prawa do uczuć, emocji, a może i nawet życia. W oczach opinii publicznej ludzie związani z prawicą muszą być obrzydzeni, wyśmiani, odczłowieczeni, sprowadzeni do poziomu robala, którego każdy chętnie zdepcze. Doktryna Palikota wiecznie żywa. W styczniu 2010 r., jeszcze przed katastrofą smoleńską, Janusz Palikot przyznał w jednym z wywiadów: „Trwale uszkodziliśmy liderów PiS i całą formację, która jest już niezdolna do zwycięstwa. Nikogo już nie uwiodą, bo są fundamentalnie ośmieszeni”.



Wyobraźmy sobie przez chwilę, że Dominika Chorosińska jest polityczką Platformy i właśnie weszła do rządu Donalda Tuska. Co wówczas pisałyby o niej media? Pewnie coś w stylu: „Błądzić jest rzeczą ludzką”, „Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień”, „Nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni”, „Wara od naszych sypialni” itd., itp.

W tym kontekście bardzo na czasie jest raport o hejcie w internecie Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej (FRA), o którym informuje m.in. Forsal.pl. Z badania wynika, że to kobiety są głównym celem nienawiści w sieci, w tym wulgarnego języka, molestowania i przemocy seksualnej. Twórcy raportu zaznaczają, że wyniki badania FRA powinny zachęcić UE i platformy mediów społecznościowych do ochrony ze względu na takie cechy jak płeć i pochodzenie etniczne podczas moderowania treści.

Badanie przeprowadzono na platformach YouTube, Telegram, Reddit i X (wcześniej Twitter) w czterech państwach Unii – Bułgarii, Niemczech, Włoszech i Szwecji od stycznia do czerwca 2022 r. Wykazało ono, że głównymi celami ataków były kobiety. Dotyczyło to wszystkich platform i krajów objętych badaniem. Inne grupy dotknięte atakami to osoby pochodzenia afrykańskiego, Romowie i Żydzi. FRA podała, że liczba postów nacechowanych językiem nienawiści skierowanych do kobiet była prawie trzykrotnie większa niż liczba takich postów skierowanych do osób pochodzenia afrykańskiego.

Z ust polityków sejmowej większości często słyszymy o mitycznym powrocie Polski na łono Unii Europejskiej. Ale czy hejt w internecie wobec kobiet to jest na pewno ta dziedzina, w której chcemy przodować?

Dorota Łosiewicz

Unijny „Miś”

Francja

Od stycznia we francuskich sieciach barów fast food obowiązuje zakaz używania jednorazowych opakowań. Frytki i napoje podawane są wyłącznie w plastikowych pojemnikach, które są następnie myte, dezynfekowane oraz podawane kolejnym klientom. Organizacje ekologiczne domagają się, aby francuskie rozwiązanie rozszerzyć na całą Unię Europejską, a Bruksela zamierza przychylić się do tych żądań.

Aktywiści ekologiczni argumentują, że wycofanie jednorazowych opakowań przyczyni się do mniejszego zaśmiecenia planety i zbliży Europę do gospodarki opartej na obiegu zamkniętym. Francuski rząd oszacował, że dzięki nowym przepisom uniknie się prawie 130 tys. t jednorazowych opakowań po posiłkach, oczywiście pod warunkiem, że klienci zwrócą opakowania. A z tym – jak wskazują właściciele barów – bywa różnie. Okazuje się bowiem, że wielu klientów zabiera naczynia ze sobą, a inni, być może z przyzwyczajenia, wyrzucają kubki i talerze do kosza na śmieci. Sieci fast foodów skarżą się w związku z tym na podwyższone koszty funkcjonowania restauracji. „Mamy ogromne straty” – mówi w rozmowie z portalem Politico Gautier Caillot, menadżer sieci burgerów Big Fernand. „Na przykład kubki muszę za każdym razem kupować na nowo, bo ludzie je zabierają”. Na razie nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, aby tak jak w „Misiu” Stanisława Barei przyczepiać szklanki łańcuchami do stolików. Personel barów narzeka z kolei na większą ilość pracy, właściciele unikają bowiem zatrudniania nowych pracowników do obsługi zmywarek.

Największym przeciwnikiem unijnego zakazu jednorazowych opakowań jest amerykański McDonald’s. Przedstawiciele firmy wskazują, że od chwili wprowadzenia nowych przepisów we francuskich barach tej sieci mocno wzrosło zużycie wody i rachunki za energię. I że niewiele ma to wspólnego z troską o ekologię. Praktycznym problemem jest także kwestia zamówień na wynos. Trudno bowiem wymagać od klientów, aby przyjeżdżali do barów z własnymi talerzami i kubkami.

Eurodeputowani mają głosować nad ogólnounijnym zakazem już w tym miesiącu. Wydaje się jednak, że będą skłonni przyjąć część zastrzeżeń, m.in. tych, które dotyczą sprzedaży na wynos. Trudno jednak nie dostrzec, że „ekologiczny” zakaz Unii może okazać się fikcją. Bo przecież każdy będzie mógł zamówić danie na wynos i zjeść je – w jednorazowych naczyniach – na miejscu przy stoliku. Chyba że klienci zamawiający dania na wynos będą wyrzucani z restauracji.



Plastikowy pojemnik na frytki z francuskiego McDonald’s

Ekologiczni aktywiści twardo upierają się jednak przy tym, aby francuskie zasady poszerzyć na całą Europę. Wtedy sceny z „Misia” mogą stać się w Unii rzeczywistością.

Konrad Kołodziejski

Scholz w tarapatach

Niemcy

Budżet Niemiec trzeszczy w szwach po ciosie od Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe. Wyrok trybunału z 15 listopada nie tylko zakwestionował przesunięcie 60 mld euro w 2021 r. do Funduszu Klimatu i Transformacji, lecz także podważył całą konstrukcję finansów publicznych, opartą na międzypartyjnym kompromisie SPD, Zielonych i FDP, który pozwalał pozyskiwać środki mimo konstytucyjnego hamulca długu wprowadzonego po światowym kryzysie finansowym i kryzysie euro w 2009 r.

Politycy koalicji obawiają się teraz reakcji łańcuchowej, mogącej uderzyć w inne obszary, jak choćby obronność, walkę ze zmianami klimatu czy Fundusz Stabilizacji Gospodarczej, służący do stabilizowania cen na rynku energii (w tym celu otrzymał w 2022 r. zezwolenie na pozyskanie do 200 mld euro pożyczek na rynku kapitałowym).

Hamulec długu powodował, że Niemcy inwestowały bardzo ostrożnie. To było wygodne w tłustych latach Angeli Merkel, gdy tani gaz płynął z Rosji i napędzał przemysł. Ale „te dobre gospodarczo czasy już się skończyły” – pisze Handelsblatt. Koalicja i opozycja przerzucają się teraz winą za kryzys. Chadecja złożyła w 2021 r. skargę na budżet. W konsekwencji ten obecny został zablokowany, a kolejny – na 2024 r. – nie może zostać uchwalony. W skrócie: rządowi nie wolno rozpoczynać żadnych nowych projektów, które pociągają za sobą wydatki w przyszłych latach budżetowych. Nie może np. przeznaczać środków na nowe mosty czy dotacji na utworzenie fabryk, jak choćby fabryki chipów w Magdeburgu i Dreźnie.

Zdaniem szefa CDU Friedricha Merza oraz premiera Bawarii z CSU Markusa Södera to jednak przede wszystkim „kryzys kanclerski”. „Król jest nagi” – oświadczył Merz, czyniąc aluzję do Olafa Scholza. Bez wątpienia wyrok TK wpędził obecną koalicję rządzącą w najpoważniejszy jak dotąd kryzys. I to Scholz osobiście podjął decyzję o wyprowadzeniu środków z budżetu w czasie ostatnich miesięcy urzędowania jako minister finansów. Możliwym wyjściem byłaby likwidacja hamulca długu. Do tego potrzebna jest większość dwóch trzecich w Bundestagu, ale CDU/CSU zasygnalizowały, że nie są zainteresowane „kreatywnymi” pomysłami kanclerza.

Söder zaproponował przedterminowe wybory w czerwcu przyszłego roku, równolegle z europejskimi. Według niego lepszy od obecnego politycznego układu byłby powrót do koalicji chadecji z SPD. „Zieloni to partia na dobre czasy, a teraz mamy złe czasy” – zaznaczył. Merz nie wykluczył całkowicie, że mógłby poprzeć zawieszenie hamulca długu, ale chce czegoś w zamian: innej polityki gospodarczej i klimatycznej. Do porozumienia w tej kwestii raczej jednak nie dojdzie.

Aleksandra Rybińska

Fot. Robson90/Shutterstock.com, Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

eprasa.pl 2da195ac22

Ideologiczny neokolonializm



Samoa

15 listopada w Apii, stolicy wysp Samoa, podpisano nowy układ stowarzyszeniowy między Unią Europejską a Organizacją Państw Afryki, Karaibów i Pacyfiku (OACPS), mający zastąpić stare porozumienie sfinalizowane w 2000 r. w Kotonu w Beninie.

Teoretycznie obie strony są potęgami: Unia liczy 28 państw i 450 mln mieszkańców, z kolei OACPS reprezentuje 79 krajów, aż 2 mld ludzi i ponad połowę miejsc w ONZ. Jednak ekonomicznie to UE jest gigantem, zaś jej partnerzy jawią się przy niej jak ubodzy krewni. Nic więc dziwnego, że to Bruksela dyktowała warunki porozumienia z Samoa.

Oficjalnie nowy układ ma służyć budowaniu systemu handlowego opartego na zasadzie wzajemności, aby wyeliminować ubóstwo w krajach globalnego Południa oraz przyczynić się do ich stopniowej integracji z gospodarką światową. Żeby porozumienie weszło w życie, musi być ratyfikowane przez wszystkie państwa członkowskie UE oraz co najmniej dwie trzecie z 79 krajów OACPS.

Mogą być z tym jednak spore problemy. Okazało się bowiem, że nowy układ narzuca sygnatariuszom obowiązek wprowadzenia przepisów gwarantujących tzw. prawa reprodukcyjne (czyli legalizujących aborcję) oraz równość płci (czyli postulatów lobby LGBT+). Dopiero po 15 listopada informacje o tym zaczęły docierać do opinii publicznej w państwach OACPS, wywołując tam oburzenie.

Część rządów afrykańskich z Nigerią, Kenią i Ugandą na czele już zapowiedziała, że nie zamierza ratyfikować porozumienia z Samoa, odrzucając w ten sposób szantaż Brukseli, która uzależnia wprowadzenie państw globalnego Południa do światowego obiegu gospodarczego od spełnienia swoich ideologicznych żądań. Przeciw dyktatowi Unii zaprotestowały także władze Dominikany, Trynidadu i Tobago, Jamajki, Antigui, Bahamów, Grenady, Saint Kitts i Saint Lucii, zawieszając procedury ratyfikacyjne. Wzburzenie ogarnia też inne kraje. Być może więc nowy układ stowarzyszeniowy nie wejdzie w życie. Zbyt wiele osób w Trzecim Świecie odbiera go bowiem jako przejaw ideologicznego neokolonializmu.

Grzegorz Górny

Korea Północna

Kosmiczne oczy Kima



Korea Północna już trzykrotnie próbowała umieścić na orbicie satelitę szpiegowskiego. Za trzecim razem wreszcie się to udało. Satelita Malligyong-1 może przesyłać zdjęcia o niewielkiej rozdzielczości i to tylko raz na 10–12 dni, więc trudno mówić o zaawansowanym zwiadzie. Mimo to nikt nie lekceważy nowych zdolności komunistycznego reżimu w Pjongjangu, zwłaszcza że pozwalają one mu zajrzeć w głąb Korei Południowej.

Uważa się, że sukces misji jest efektem zacieśnienia współpracy między reżimem Kimów a Moskwą, która w ten sposób odpłaca się Pjongjangowi za dostawy broni i amunicji. Rosja jest krajem zaawansowanym w technologiach kosmicznych i ma na orbicie 192 satelity szpiegowskie. Wystrzelenie satelity świadczy też o narastającym wyścigu zbrojeń na Półwyspie Koreańskim. W ub.r. Kim Dzong Un zapowiadał stworzenie konstelacji satelitów szpiegowskich, które, nawet jeśli się zgodzić z tezą, iż są one opóźnione technologicznie w porównaniu z zachodnimi odpowiednikami, i tak, zdaniem specjalistów, będą w stanie skokowo zwiększyć celność północnokoreańskich systemów rakietowych.

Seul również zapowiedział umieszczenie na orbicie własnego satelity szpiegowskiego, który zostanie wyniesiony przez rakietę prywatnej firmy SpaceX. Do 2025 r. Korea Południowa chce mieć pięć satelitów zwiadowczych, ale nie można wykluczyć, że w obecnej sytuacji plany te ulegną przyspieszeniu i rozbudowie.

W związku ze wzrostem napięcia wywołanego przez północnokoreańskie próby rakietowe, Seul rozważa wypowiedzenie konwencji z 2018 r. zawartej pomiędzy obydwoma państwami koreańskimi. Skutkiem takiej decyzji byłoby wznowienie operacji zwiadu lotniczego nad strefą zdemilitaryzowaną.

Specjaliści zwrócili również uwagę na zastanawiającą powściągliwość Pekinu, który przez lata uchodził za głównego „kuratora" północnokoreańskiego reżimu, ale obecnie nie reaguje oficjalnie na sygnały o zacieśnianiu współpracy wojskowej między Moskwą a Pjongjangiem.

Marek Budzisz

Fot. Alexander Khitrov/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl 2da195ac22

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Problem EUROprzywództwa



Jan Pietrzak

Ponieważ przed dwoma tygodniami zapowiadałem na sieciowych łamach koncert Towarzystwa Patriotycznego połączony z wręczeniem nagród „Żeby Polska była Polską", czuję się w obowiązku powiadomić, kto te nagrody otrzymał. Otóż laureatami 2023 r. zostali: Andrzej Kołodziej, Andrzej Gelberg, Jan Tarczyński, Przemysław Czarnek i Michał Rachoń. Od tej pory witamy się z nimi hasłem – „Żeby Polska!". Odzew – „Była Polską!".

Znaleźliśmy się w momencie, kiedy Unia Europejska planuje przekształcenie struktury tej międzynarodowej organizacji w celu odebrania suwerenności państwom narodowym. Promotorzy tego chorego pomysłu argumentują zmianę dotychczasowego traktatu koniecznością sprawniejszego zarządzania. Unia powstała po to, by ułatwiać współżycie wolnym narodom w dobrowolnej wspólnocie, a nie uzurpatorom przy korycie. Jak to się często w historii zdarzało, dwór, estabilishment, wierchuszka zamieniają się w bezkarną kastę.

W obecnej sytuacji dodatkowo w grę wchodzą czynniki nacjonalne, takie jak nieuregulowany rachunek krzywd i strat z nieodległych czasów wojny, zwanej II wojną światową. Kiedy w 1939 r. rozpętali ją Hitler ze Stalinem, nikt nie mówił „światowa". Była to bandycka napaść na Polskę. Ponieważ po latach Niemcy znowu poczuli potrzebę „przywództwa", należy przypomnieć o niemieckiej polityce wobec Polaków (według prof. Piotra Witakowskiego): „Tylko w Polsce Niemcy realizowali plan całkowitego wymordowania polskiej warstwy inteligenckiej. […] Tylko w Polsce odbywały się łapanki uliczne, polowania na ludzi z nagonką. […] Tylko w Polsce dla sterroryzowania ludności odbywały się uliczne egzekucje. […] Tylko w Polsce Niemcy zamordowali więcej Polaków (3 mln) niż mieszkających tu Żydów (2,7 mln). […] Tylko w Polsce życie straciło 22,2 proc. Polaków. Polska poniosła największe straty ludnościowe ze wszystkich krajów świata. […] Tylko w Polsce Niemcy zaplanowali i w dużej mierze zrealizowali plan starcia Stolicy kraju z powierzchni ziemi".

Żadne niemieckie przywództwo nie jest Europie potrzebne, bo prowadzi do katastrofy. Każdy europejski naród zasługuje na wolność i chce być sobą. Na tym polega wielkość naszej europejskiej cywilizacji.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Kocham cię jak Grenlandię



Dominik Zdort

Obrady Rady Miasta dotyczące nazewnictwa ulic należą do najbardziej pociesznych, choć czasem zmiany nazw – lub ich brak – bywają sprawą mocno polityczną, poważną, wręcz dramatyczną. Można choćby przypomnieć upór warszawskich radnych, aby pozostawić nazwę al. Armii Ludowej, upamiętniającą organizację będącą zbrojnym ramieniem zdrajców Polski. I nie ma w tym określeniu żadnego nadużycia czy przesady, bo Gwardia Ludowa, a następnie Armia Ludowa działały na zlecenie Polskiej Partii Robotniczej, jawnej moskiewskiej agentury, która, według wskazówek Stalina, sterowała aktywnością oddziałów AL. To tak jakby w centrum Warszawy utworzyć Trakt Targowicy.

Kiedy wojewoda mazowiecki, korzystając ze swoich uprawnień, zmienił komunistycznego patrona tej drogi na antykomunistycznego i solidarnościowego Lecha Kaczyńskiego, stołeczni samorządowcy przyjęli uchwałę, że powinna być to prostu Trasa Łazienkowska (wszystko, byle tylko nie uczcić byłego prezydenta). Ta decyzja nigdy nie została zrealizowana, lecz gdy sąd administracyjny (w kolejnych instancjach) usunął nazwisko Kaczyńskiego z tablic i przywrócił AL, radni byli już ukontentowani – do Trasy Łazienkowskiej nie wrócili.

W ostatnich latach przy nazywaniu warszawskich ulic więcej niż politycznych przepychanek jest niezamierzonego komizmu (choć czasem podszytego ideologicznym zacietrzewieniem). W okolicach ulic Lapońskiej i Eskimoskiej na Białołęce nowym patronem krótkiej uliczki Nowatorskiej chciano uczynić św. Mikołaja, który wszak z Laponią ma coś wspólnego.

Gdy sprawa stanęła na forum władz miejskich, przy ulicy mieszkało bardzo niewiele osób. Jednak komuś potencjalny nowy patron najwyraźniej przeszkadzał. Nie będzie jakiś starożytny święty pluł w twarz nowoczesnej społeczności Białołęki! Nie było wprawdzie masowych protestów, nikt nie blokował pobliskiej Trasy Toruńskiej (swoją drogą, czy nie czas już zmienić ten kleropisowski szyld?), lecz radni szybko się wycofali z pomysłu uczczenia bożonarodzeniowej postaci, zastępując ją Grenlandią.

Te nomenklaturowe spory przypomniały mi się, gdy przeczytałem o najnowszych pomysłach na nazwy ulic w Warszawie. Ostatnio: Krecika. Tego z kreskówki. I dyskusja samorządowców o tym, czy na swoją drogę bardziej nie zasługuje inny Czech, Rumcajs.

Czy naprawdę brakuje postaci, które bardziej zasługują na to, aby mieć swoje ulice?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 2da195ac22

BRONISŁAW WILDSTEIN

Przestępcy, w Strasburgu wasza nadzieja!

Nie, nie chodzi o fotele w PE. Dla wszystkich nie starczy. Wyobrażam sobie, z jaką zazdrością koledzy z celi Włodzimierza Karpińskiego obserwowali jego przeprowadzkę na europejskie salony. Wielu z nich musiało się zastanawiać nad błędem swoich życiowych inwestycji. Gdyby posłuchali Neumanna i związali się z PO... Wielu musiało dojść do wniosku, że z propozycji warto jednak skorzystać, bo chociaż chwilowo ich stanu to nie poprawi, za to w przyszłości... Wprawdzie jednak miejsca w PE kuszą, ale konkurencja poważna i starczy tylko dla niektórych.

Przestępcy, nie traćcie nadziei! Pomocną dłoń wysuwa do was Europejski Trybunał Praw Człowieka. Wszyscy, którzy zostali skazani z udziałem sędziów mianowanych po reformie KRS w 2017 r., powinni się uznać za niewinnych, domagać anulowania kary, choćby było to dożywocie, i żądać sowitego odszkodowania. Gwarantuje wam to Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. 10 dni temu właśnie z tego powodu przyznał on rację Lechowi Wałęsie, ponieważ każdy ma prawo do sprawiedliwego procesu przed niezależnym sądem. A takim sądem nie była izba, która orzekała w sprawie Wałęsy – uznali sędziowie ze Strasburga. Zasiadali w niej bowiem tzw. neosędziowie, powołani zgodnie z ustawą z 2017 r. o Krajowej Radzie Sądownictwa.

Dlaczego nie są oni prawdziwymi sędziami? Gdyż ustawa „upolitycznił" KRS – głoszą członkowie ETPC. Skąd to wiedzą, nie tłumaczą. Można wnosić, że powiedzieli im to ich polscy koledzy, a poza tym, jak na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" napisała Gertrude Luebbe-Wolff, była sędzia Trybunału Konstytucyjnego w RFN, zostało to opisane w „różnych publikacjach". Wprawdzie polska konstytucja mówi: „Sędziowie są powoływani przez Prezydenta Rzeczpospolitej na czas nieoznaczony." I „są nieusuwalni". A „Ustrój, zakres działania i tryb pracy Krajowej Rady Sądownictwa oraz sposób wyboru jej członków określa ustawa". Żadna więc norma konstytucji ani żaden przepis nie został naruszony przez ustawę z 2017 r., a sędziowie zostali wybrani zgodnie z prawem i konstytucją, ale tym członkowie ETPC ani sędzia Luebbe-Wolff się nie przejmują.

W raporcie Komisji Weneckiej, która miała ocenić stan prawny Polski pod rządami PiS, znajdujemy fascynujące rozważania, że wprawdzie uchwalona wtedy ustawa o KRS nie różni się od norm regulujących wybór sędziów w Europie Zachodniej (należałoby napisać, że w Niemczech czy Francji zagwarantowany jest znacznie większy wpływ polityków na ich nominacje), ale to, co można zaakceptować w krajach o „utrwalonej demokracji", w Polsce może być niebezpieczne. Innymi słowy, nie można pozwolić tym dzikusom ze Wschodu na demokrację i należy ich trzymać pod kuratelą oświeconych braminów sędziowskiej kasty. Oto postawa instytucji, które odwołują się do równości jako swojej naczelnej zasady.

Wałęsa zaskarżył do ETPC uchylenie wyroku przeciwko Krzysztofowi Wyszkowskiemu, który miał go przeprosić za informację, że były lider Solidarności był płatnym agentem SB. Wprawdzie wszyscy w Polsce to wiedzą, zachowały się na ten temat liczne dokumenty, są oświadczenia świadków, a sam Wałęsa parę razy się do tego przyznał i dziś żaden historyk już tego nie kwestionuje, ale sąd w Polsce jest niezawisły: od faktów, zdrowego rozsądku, przyzwoitości oraz sprawiedliwości. Okazuje się, że nie tylko w Polsce, bo ETPC potwierdził swoją niezawisłość w tym względzie w całej rozciągłości. Poszedł jeszcze dalej, oświadczając, że m.in. „naruszono prawo Lecha Wałęsy do poszanowania życia prywatnego". Po tym orzeczeniu nie tylko IPN sam powinien się rozwiązać, bo w swoich dokumentach ciągle to robi wobec dawnych agentów, lecz także musimy zakazać nauki historii, zwłaszcza najnowszej, która „poszanowanie" wobec rozmaitych postaci nieustannie narusza.

ETPC nie zajmował się meritum sprawy, bo nie wolno mu tego robić. Inna rzecz, że nagminnie wykracza poza swoje kompetencje, np. deklarując w przytoczonym orzeczeniu, że „naruszenia [praw Wałęsy jako człowieka] miały swoje źródło we wzajemnie powiązanych problemach systemowych związanych z nieprawidłowym funkcjonowaniem ustawodawstwa krajowego i praktyki", a więc ocenia polskie ustawodawstwo. Przyjął natomiast jednoznacznie, że mianowani po 2017 r. w Polsce sędziowie nie są nimi, a więc ich orzeczenia nie są obowiązujące.

Biorąc pod uwagę, iż rzecz dotyczy 30 proc. polskich sędziów, którzy przez sześć lat orzekali w różnych sprawach i składach łącznie ze „starszymi" kolegami, przyjąć można, że wielka liczba, może 50 proc. wyroków obowiązujących w Polsce, jest nieważna, a więc wszyscy, którzy je przegrali, znajdą w Strasburgu zadośćuczynienie.

Na szczęście mamy w Polsce Trybunał Konstytucyjny, który już raz unieważnił orzeczenie ETPC. Zaraz, ale przecież sędziowie ze Strasburga kwestionują polski TK. To może od razu zlikwidują polskie państwo i oddadzą pod kuratelę... np. pani Luebbe-Wolff?



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2da195ac22





Walizka Michała Kępińskiego

rekonstruktora, aktora, kostiumografa i konsultanta historycznego, współtwórcy Agencji Artystycznej „Retro-Pasje”

Jeżeli chodzi o podróże związane z rekonstrukcjami i działalnością filmową, to zwiedziliśmy prawie całą Polskę i nie tylko – w tym roku odbyliśmy prawie dwutygodniową podróż busem przez pół Europy do Portugalii. W miejscowości Almeida, w XVII-wiecznej twierdzy zebrało się ok. 500 rekonstruktorów z całej Europy na rekonstrukcji bitwy z 1810 r. Pamiętna była też wyprawa autokarem w 2005 r. na zlot militarny w Detling w Anglii. Na dawnym lotnisku RAF organizowana jest cykliczna impreza, na którą zjeżdżają się pasjonaci historii reprezentujący formacje z różnych okresów historycznych, zaczynając od [sic!] rekonstruktorów z epoki kamienia łupanego, kończąc na amerykańskich żołnierzach z Iraku. My pojechaliśmy w mundurach powstańców warszawskich, co wywołało dużą sensację. Przebrani w niemieckie panterki z biało-czerwonymi opaskami spotykaliśmy się wielokrotnie z pytaniami, czy jesteśmy „polskim SS”?

Praca na planach filmowych czy inscenizacjach to również częste wyjazdy, czasem kilkudniowe. Jest to wbrew pozorom bardzo męcząca praca, ale dająca ogromną satysfakcję, zwłaszcza, kiedy później widzi się swoją twarz na ekranie.





MUNDUR

Replika przedwojennego munduru służbowego Wojska Polskiego wz. 36 (pułkownika), jeden z wielu w magazynie kostiumowym wypożyczalni Retro-Pasje, który zakładam, grając w filmach lub w rekonstrukcjach historycznych.

GRANAT ŁZAWIĄCY UGŁ-200

Został on ugaszony przez moich rodziców 31 sierpnia 1982 r., gdy podczas zamieszek ZOMO-wcy wystrzelili go na nasze podwórko przy Foksal 13. Był pierwszym artefaktem związanym z ZOMO, który stał się powodem zainteresowania tą kontrowersyjną formacją.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2da195ac22





NIEMIECKA CZAPKA

W niej i kompletnym mundurze oficera Waffen-SS wystąpiłem m.in. na sesji okładkowej dla magazynu historycznego „wSieci Historii".



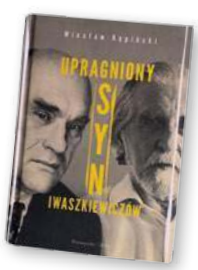
CZAPKA I OPASKA POWSTAŃCZA

Replika niemieckiej czapki kamuflażowej ze znakiem batalionu „Czata 49" i konspiracyjnym orzełkiem. Opaska po wielu rekonstrukcyjnych przejściach wygląda jak oryginalna.



KSIĄŻKI

„Dzieciństwo i wojna" to zbiór opowiadań dzieci o ich tragicznych losach wojennych. Po raz pierwszy w druku pojawia się historia mojego ojca Wiesława Kępińskiego i tragicznych wydarzeń z 5 sierpnia 1944 r. „Sześćdziesiąty pierwszy" to pierwsza książka autorstwa mojego ojca, która opowiada o rozstrzelaniu jego rodziny, ucieczce z miejsca egzekucji i dalszych losach po powstaniu. „Upragniony syn Iwaszkiewiczów" to kontynuacja pierwszej książki, tym razem opowiadająca o życiu w domu Iwaszkiewiczów, którzy stali się jego przybraną rodziną...





„SUKA"

Milicyjna Nysa 522, oryginalna, z 1986 r., którą zakupiłem za 5 tys. zł. Odrestaurowana ogromnym nakładem pracy i kosztów wystąpiła już w kilku filmach i na inscenizacjach historycznych. Jeden z moich zabytkowych samochodów.



SYGNET

Patriotyczny, przedwojenny, z orzełkiem w koronie, mocno wytarty. Dostałem go w prezencie od mojej ukochanej Małgosi. Zakupiony na giełdzie staroci.



INSPIRACJA

„63 dni" Stanisława Kopfa z dedykacją autora w uznaniu dla mojego zainteresowania historią. Otrzymałem ją w 1994 r., gdy z ojcem przygotowywaliśmy wystawę poświęconą powstaniu warszawskiemu.

MUNDUR DZIADKA

Mundur galowy z lat 70. z kompletem odznaczeń. Podczas II wojny światowej mój dziadek przeszedł cały szlak bojowy 6. Dywizji Piechoty, był trzykrotnie ranny. Po wojnie został w wojsku, służył do 1974 r. Odszedł na emeryturę w stopniu pułkownika.





FOTOGRAFIE DZIADKA

Jedna z lat 50., kiedy miał jeszcze włosy i widać ogromne podobieństwo między nami. Druga z lat 80., w mundurze galowym z odznaczeniami. Na szczęście włosy mam po tacie.

LISTY DO KPT. ŻBIKA

Dostałem w prezencie całe pudło artefaktów po milicjancie, który pracował w Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej. Wśród nich oryginalne listy pisane przez dzieci (i nastolatków) do kpt. Żbika (fikcyjnego bohatera komiksów), którego uważały za prawdziwą postać. Pojawiają się w nich np. pytania, jak można się dostać do szkoły milicyjnej.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 2da195ac22

OGNIEM NA WPROST

Chatezety i czetezety



Trwa protest na granicy z Ukrainą. Chodzi o blokadę ruchu granicznego. Problemem jest zalewanie europejskich rynków tanim, ukraińskim zbożem. A Tryzuby, jeśli chodzi o politykę zagraniczną, wykonują – delikatnie mówiąc – niemądre ruchy. Teraz uważają, że „proeuropejska Koalicja Obywatelska" pomoże im rozwiązać problem lepiej niż „ksenofobiczny i antyeuropejski PiS". Obecnie ze strony ukraińskiej padają też twierdzenia, że to blokady opóźniają pomoc wojskową i humanitarną, co jest wierutną bzdurą. Raz – pomoc wojskowa idzie specjalnymi transportami i nie stoi w żadnych korkach, dwa – fundacje pomocowe same zaprzeczyły, by ich transporty były blokowane. A czym się kończy podlizywanie Berlinowi, pokazał ostatnio niemiecki dziennik „Bild". Julian Röpcke, dziennikarz gazety, snuje prognozy na temat planów Zachodu odnośnie do Ukrainy. Według niego Niemcy i USA poprzez ograniczenie pomocy dla Kijowa mają zmusić Ukraińców do negocjacji z Moskwą. Widać, że mimo umizgów Kijowa do niewdzięcznego Berlina, dla Niemców przedłużająca się wojna staje się poważnym kłopotem i na zasadzie „kasa za praworządność", przepraszam, „kasa za pokój za wszelką cenę" chcą zmusić Ukraińców do oddania Krymu i Donbasu Moskalom. Ale taka jest cena chorej miłości do naszych zachodnich sąsiadów.

Na froncie można by rzec – po staremu. Zdaniem sztabu Moskali poszerzanie przyczółków po wschodniej stronie Dniepru przez Siły Zbrojne Ukrainy (SZU) naprzeciwko Chersonia na razie nie jest niebezpieczne. Pogoda nie pozwoli na rozwinięcie stamtąd większego uderzenia. W związku z tym wojska Kremla walczą na Zaporożu, a front tam stanął w miejscu, podobnie jak w innych punktach. Pod Awdijiwką sytuacja sił ukraińskich uległa pogorszeniu. Moskale zajęli strefę przemysłową i powoli posuwają się dalej. Jednocześnie wciąż próbują uderzać na skrzydłach. O ile jednak na oddziały przeskrzydlające czekają w odwodzie silne jednostki ukraińskie (w tym pancerne), o tyle dostarczenie pomocy oddziałom na dnie worka, czyli właśnie w strefie przemysłowej, jest na granicy wykonalności. Poza tym to zbyt duże ryzyko, bo w razie niepowodzenia spore siły zostaną zamknięte w kotle. Tryzuby będą więc raczej czekały na rosyjskie uderzenie skrzydłami i krok za krokiem oddawali Awdijiwkę aż do wyrównania frontu. To zmusza Rosjan do mozolnego i kosztownego zajmowania wsi atakami czołowymi. Sytuacja jest tu zatem zbliżona do tego, co było w Bachmucie i niewykluczone, że zakończy się podobnie – Rosjanie osiągną drogo okupiony sukces, który niczego im nie da. O tym, jaka jest kondycja rosyjskiej armii, świadczy fakt, że jej prawie cały wysiłek ofensywny jest skupiony na jednej wiosce, której zdobycie niewiele daje.

Natomiast w Kacapii wyleciała w powietrze słynna fabryka traktorów w Czelabińsku, w której rzecz jasna produkuje się czołgi. Ale nie tylko, jak mówi stary dowcip. Do dziś w Federacji Moskiewskiej są rejony, w których ludzi nie stać na zakup butów. Idzie zima i trzeba sobie jakoś radzić. Tubylcza ludność tnie więc zużyte opony z traktorów i wiąże drutem wokół stóp, żeby się trzymały. Są dwa typy takiego obuwia, nazywają się chatezety i czetezety. Pierwsza nazwa pochodzi od Charkowskij Traktornyj Zawod (po naszemu: Charkowska Fabryka Traktorów), a druga to Czelabińskij Traktornyj Zawod. Za eksplozją i potężnym pożarem w czelabińskich zakładach stoi najprawdopodobniej HUR (wywiad wojskowy Kijowa), lecz sprawa ma drugie dno. Chodziło nie tylko o sparaliżowanie produkcji silników czołgowych, lecz także pozbawienie Kacapów czetezetów na zimę. Oj, niektórym ciężko będzie latać na bosaka po śniegu.

Nastąpiła trzecia próba eliminacji żony szefa HUR Kiryły Budanowa – Marianny. Do dwóch pierwszych doszło w marcu 2022 r. i w maju 2023 r. – Moskale dwukrotnie ostrzelali siedzibę HUR na Wyspie Rybalskiej w Kijowie, w której pracowała. Marianna Budanowa jest wykładowcą Narodowej Akademii Spraw Wewnętrznych w Katedrze Psychologii Prawa i oficerem policji. Teraz została otruta. W jej organizmie wykryto metale ciężkie. Budanowa żyje, zakończono pierwszy etap leczenia. Kobieta skarżyła się na złe samopoczucie, zrobiono więc badania, po których stwierdzono otrucie. Źródła podają, że trucizna „najprawdopodobniej została dodana do jedzenia". Budanowa jest niewysoka i szczupła, więc objawy otrucia wystąpiły bardzo szybko. Zostali otruci także pracownicy Służby Wywiadu Ukrainy, ale – ponieważ to są duzi mężczyźni – nie mieli objawów. Aktualnie też są leczeni. Sam Kirył Budanow w czerwcu 2023 r. poinformował o tym, że przeżył ponad 10 zamachów na swoje życie. Po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę żona sprowadziła się do jego gabinetu i mieszka z nim 24 godziny na dobę przez 7 dni w tygodniu. Miłość wszystko zwycięży.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2da195ac22

Jeszcze można to zatrzymać



Marta Kaczyńska-Zielińska

Parlament Europejski w przyjętej 22 listopada w Strasburgu rezolucji opowiedział się za zmianą traktatów unijnych, przekazującą stery zarządzania UE Niemcom i Francji oraz pozbawiającą suwerenności państwa członkowskie. Za centralizacją UE opowiedziało się 291 europosłów, 274 było przeciw, a 44 wstrzymało się od głosu. Wśród głosujących za było 9 Polaków, w tym 3 byłych premierów RP.

O tym, że sprawa zniesienia prawa do samostanowienia przez poszczególne narody europejskie nie jest jeszcze przesądzona, może świadczyć stosunkowo słaba wygrana frontu reformatorów. Pośpiech związany z próbą przeforsowania rewolucyjnych zmian jest zaś uzasadniony obawą przed wyraźnie zmieniającą się w ostatnich latach sceną polityczną w Europie, na której coraz istotniejszą rolę zaczynają odgrywać partie sprzeciwiające się dotychczasowej polityce UE, a tym bardziej jej przebudowie wedle zamysłu komunistów.

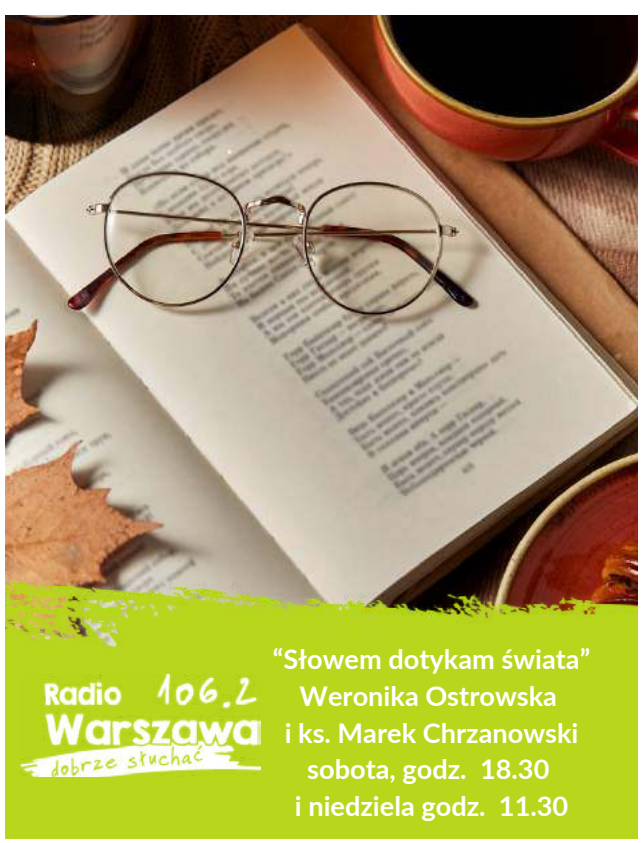
W przeciwieństwie do przekazów prezentowanych przez media tzw. głównego nurtu wydaje się, że coraz większa część europejskiego elektoratu jest skłonna głosować na ugrupowania opowiadające się za obroną narodowych interesów. Najnowszym przykładem takich tendencji są wyniki wyborów w Holandii, które okazały się zwycięskie dla Geerta Wildersa, głoszącego hasła sprzeczne z proimigrancką polityką narzucaną przez Berlin.

W ostatnich latach w Europie następuje wzrost poparcia dla konserwatywnych partii prawicowych. Ten trend rozpoczął się w 2015 r. w Polsce wygraną Andrzeja Dudy i Zjednoczonej Prawicy. 6 z 27 państw członkowskich UE jest obecnie rządzonych przez socjalistów: Portugalia, Słowenia, Malta, Dania, Niemcy i Hiszpania. W ciągu ostatniego roku partie prawicowe, konserwatywne i centroprawicowe wygrały wybory lub dołączyły do koalicji rządowych we Włoszech, Finlandii, Grecji, Szwecji i Holandii. W Niderlandach zwycięska Prawicowa Partia Wolności opowiada się za powstrzymaniem imigracji, stoi w opozycji do polityki walki z globalnym ociepleniem oraz zdecydowanie sprzeciwia się dalszemu zwiększaniu kompetencji UE. W Niemczech skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec wyprzedziła w sondażach rządzącą SPD. Według ekspertów Marine le Pen, przewodząca francuskiej prawicy, ma szansę wygrać wybory prezydenckie w 2027 r. Rosnąca w sondażach hiszpańska konserwatywna partia Vox wzywa do „bezpiecznych granic", krytykuje centralizację UE, opowiada się za niższymi podatkami, broni prywatnej inicjatywy, wolności słowa i edukacji. Jej przywódca Santiago Abascal krytykuje „biurokratów w Brukseli" i opowiada się za Europą „suwerennych i wolnych narodów". Sukces wyborczy greckiej Nowej Demokracji wynika zapewne z ograniczenia imigracji. Premier Mitsotakis potępiał lewicową politykę otwartych granic i nazywał zjawisko po imieniu, mówiąc o „zorganizowanej inwazji nielegalnych migrantów", obiecywał przedłużenie murów granicznych i obciążenie UE opłatą za nie.

Ugrupowania sprzeciwiające się polityce forsowanej przez dotychczasową większość unijną sprawują władzę lub są kluczowe do budowania koalicji rządowych. W Portugalii konserwatyści nie rządzą, ale posiadają istotny głos w debacie politycznej. Wspomniane ugrupowania łączy wola wprowadzenia restrykcyjnej polityki imigracyjnej. Z wyjątkiem greckiej Nowej Demokracji partie prawicowe cechuje także sceptycyzm wobec europejskiej centralizacji i polityki klimatycznej.

Nieco ponad pół roku przed wyborami do Parlamentu Europejskiego wydaje się prawdopodobne, że istnieją realne szanse, by Bruksela musiała się dostosować do nowych tendencji politycznych i zaniechać prac nad szkodliwymi dla Europy zmianami traktatów. Sukcesom partii prawicowych i konserwatywnych na Starym Kontynencie towarzyszą zmiany we wzorcach zachowań wyborczych. Wbrew założeniu, że młodsi wyborcy są zazwyczaj lewicowi, od Szwecji i Niemiec po Włochy, Francję czy Hiszpanię, partie określane mianem radykalnych lub konserwatywnych zdobywają głosy młodszego pokolenia. Ponieważ przyjęło się u nas czerpać wzorce Zachodu, może i opisana tendencja stanie się bardziej widoczna także w kolejnych wyborach w Polsce.

REKLAMA



42/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22

Po co komu prawo, skoro są zaklęcia?



Samuel Pereira

Podejrzewam, że gdyby przeprowadzić badania społeczne dotyczące wiedzy Polaków na temat sporu o praworządność, co najmniej 99 proc. respondentów nie wiedziałaby, o co chodzi. Co więcej, myślę, że większość posłów tak naprawdę nie byłaby w stanie powiedzieć, jakie to „praworządne" argumenty stały za decyzją Komisji Europejskiej, żeby zablokować środki na polskie KPO. Co dopiero spór o ustawy sądowe, które w 2017 r. były przedmiotem gorącej debaty najpierw między ośrodkiem rządzącym a opozycją, a następnie między rządem a prezydentem. Czy ktoś w ogóle pamięta, czego dotyczyły? Nie sądzę.

Gorzej, że obecny spór o tematy sędziów i sądów po stronie obozu Donalda Tuska sprowadza się do opinii, że coś jest bezprawne albo niezgodne z konstytucją, jeden sędzia ma prawo nazywać się sędzią, a inny nie. Podobnie rzecz się ma zresztą z dziennikarzami, którzy mogą latać i nękać polityków pod warunkiem, że chodzi o polityków PiS, a kostka mikrofonu ma logo „GW", TVN lub podobne ideologicznie. W odwrotnym przypadku to nękanie i skandal. I tak np. Justyna Dobrosz-Oracz i Radomir Wit to bogowie dziennikarstwa, ale już Łukasz Sitek, zadający trudne pytania Pawłowi Adamowiczowi, dostaje wilczy bilet wszędzie na Pomorzu i będzie gnębiony do końca życia, bo po prostu „naszych" tykać nie wolno.

Wracając jednak do sędziów i instytucji z związanych sądownictwem. Dziś wystarczy wypowiedzieć „zaklęcie", np. nazwać trzech sędziów TK „dublerami", żeby ich „gorszość" stała się prawdą objawioną, a sędziów nominowanych przez prezydenta Andrzeja Dudę może być tysiące, ale wystarczy, że jeden czy drugi polityk PO powiedział, że to są „neosędziowie" i już – cały obóz powtarza za nimi. Co z tego, że Krajowa Rada Sądownictwa działa według prawa, co z tego, że konstytucja RP (art. 187) precyzuje sposób wyboru jej członków za wyjątkiem grupy sędziów, gdzie odsyła do ustawy? Przecież pani Kamila z panem Borysem uważają, że 15 sędziów do KRS powinni wybierać sędziowie, a kto uważa inaczej, ten myśli niekonstytucyjnie i już! A kto dziś „odpolitycznia" KRS? Politycy PO wybrani do tego ciała, proste.

Autor jest dyrektorem TVP Info

Chcę pokazać więcej siebie

Z Janem Górką, zwycięzcą 14. edycji „The Voice of Poland", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kto z najbliższych najmocniej kibicował ci podczas finału? Na widowni słyszeliśmy skandujący tłum.

Jan Górka: Było dużo osób – tata, siostry, przyjaciele. Jestem im megawdzięczny, bo dostałem wielkie wsparcie. Faktycznie, nie sądziłem, że będzie ich aż tak słychać [śmiech].

Czy wspierał cię też Wrocław, gdzie na politechnice studiujesz inżynierię kwantową? I Rudnik, twoje rodzinne miasto?

Jest spora szansa!

Lanberry, z którą połączyło cię superporozumienie, od początku doceniała, że piszesz własne teksty i tworzysz muzykę, podkreśla też twoją wrażliwość na słowo. A jaką była trenerką?

Miałem nadzieję, że to do niej uda mi się trafić. Właśnie dlatego, że sama tworzy, pisze, komponuje i produkuje. To był najlepszy wybór i najlepsza decyzja.

Czy w sercu mocniej gra ci dziś muzyka, czy inżynieria kwantowa?

W sercu na pewno muzyka, ale to trudne pytanie, bo ma ona też swego rodzaju połączenie z fizyką i matematyką. Temat studiów zostawiam otwarty.

W finale zaśpiewałeś nową wersję swojego utworu „Zadzwonię". Tworzyłeś już przed przyjściem do programu. Jakie masz plany na najbliższy czas?

Przed „The Voice od Poland" nagrywałem niektóre ze swoich kawałków, część wrzuciłem do internetu. Mam nadzieję, że teraz będę miał okazję pokazać więcej siebie, że dostanę na to przestrzeń, wolność. I że uda się wyprodukować coś fajnego. Chciałbym jak najpełniej wykorzystać szansę, którą dostałem.



Fot. Jan Bogacz/TVP

prasa.pl 2d...95ac2...



Pożyczyła 2 tys. zł, musiała oddać 10 razy tyle.

JAK NIE DAĆ SIĘ OSZUKAĆ?

Horrendalne odsetki, niewspółmierne prowizje dla instytucji finansowych i pośredników, zapisy w umowie drobnym druczkiem, żerowanie na ludzkiej krzywdzie – tak w kilku słowach można opisać działania lichwiarzy. Wojnę z tym procederem kilka lat temu rozpoczęło Ministerstwo Sprawiedliwości. Przepisy się zmieniły, a podobnych przypadków jest coraz mniej, ale to nie oznacza, że nie ma ich wcale. Jak nie dać się oszukać? Co zrobić, jeśli już padniemy ofiarą lichwy?

Pożyczyła 2 tys. zł i szybko pożałowała, gdy się dowiedziała, że musi oddać aż 10 razy tyle. Pani Zofia chciała sprawić swojemu wnukowi prezent na 18. urodziny. Jej skromna emerytura nie pozwalała jednak, by odłożyć wystarczająco dużo pieniędzy i sfinansować wymarzony kurs prawa jazdy dla nastolatka. Postanowiła więc poszukać dodatkowych środków. Pani Zofia natrafiła na ogłoszenie o szybkim kredycie na przystanku autobusowym. Zapisała numer i zadzwoniła, mówiąc konsultantowi, że zdecydowała się na pożyczkę. Kilka godzin później był już u niej agent, zapewniając, że środki zostaną wypłacone od razu po podpisaniu umowy. Możliwość szybkiego otrzymania gotówki ucieszyła seniorkę. Konsultant podsunął jej do podpisania wielostronicową umowę. Pani Zofia nie przeczytała jej jednak dokładnie i nie zauważyła sprytnie ukrytych zapisów drobnym drukiem. Po pierwszym miesiącu odsetki zaczęły rosnąć w zastraszającym tempie, a instytucja dopominała się o coraz wyższe wpłaty. Emerytce zaczęło brakować pieniędzy na jedzenie i leki. Przerażona seniorka po kolejnej wpłacie opowiedziała o sytuacji swoim bliskim.

Ci nie czekali i postanowili działać. Syn pani Zofii zgłosił się do Lokalnego Punktu Pomocy Osobom Pokrzywdzonym Przestępstwem, prowadzonym w ramach Funduszu Sprawiedliwości. Dzięki zdecydowanemu i szybkiemu działaniu prawników oraz ekspertów udało się uwolnić emerytkę od nieuczciwych kredytobiorców i odzyskać nieuczciwie pobrane odsetki. Pani Zofia z pomocą prawników zgłosiła sprawę do prokuratury, a lichwiarski proceder znalazł swój finał w sądzie.

JAK NIE PAŚĆ OFIARĄ LICHWY? NIE DAJ SIĘ NABRAĆ NA SZYBKI I ŁATWY KREDYT

Dzięki nowej ustawie antylichwiarskiej państwo ma prawo do walki z lichwą. Przepisy zostały zmodyfikowane tak, by zagwarantować finansowe bezpieczeństwo Polakom. Instytucje finansowe nie mogą pobierać nieskończenie wielu dodatkowych opłat, a lichwiarze muszą się liczyć z karą więzienia do pięciu lat. Co istotne, nikt już nie straci mieszkania z powodu drobnego długu, co jeszcze kilka lat temu było praktykowane.

Niezwykle ważne jest przeciwdziałanie i uświadamianie społeczeństwa o działaniach nieuczciwych instytucji finansowych i parabanków. Oferty szybkiego i łatwego bardzo często kredytu są pierwszym krokiem do ograbienia nas z uczciwie zarobionych pieniędzy. By chronić finanse i bezpieczeństwo Polaków, Ministerstwo Sprawiedliwości wypowiedziało wojnę lichwiarzom i doprowadziło do zmiany niekorzystnych przepisów.

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI POMAGA OSOBOM POKRZYWDZONYM PRZESTĘPSTWEM

Jeżeli jesteś ofiarą lub świadkiem przemocy, nie bój się prosić o pomoc. Każde dziecko zasługuje na szczęśliwe i bezpieczne dzieciństwo, a każdy dorosły na spokojne i bezpieczne życie. Każdy pokrzywdzony przestępstwem, świadek oraz osoba im najbliższa mogą skorzystać z bezpłatnej pomocy w ramach Funduszu Sprawiedliwości. Jest ona udzielana w Lokalnych Punktach i Okręgowych Ośrodkach Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem, w całej Polsce funkcjonuje ich 305. Zajmują się tym specjaliści, którzy pomogą rozwiązać nawet najtrudniejsze sprawy – są wśród nich m.in. prawnicy, psychologowie, psychoterapeuci oraz psychiatrzy, doświadczeni także w pracy z dziećmi i młodzieżą. Placówkę blisko miejsca zamieszkania można znaleźć na stronie: https://www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/.

Do dyspozycji poszkodowanych jest także Całodobowa Linia Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem (222 309 900), adres e-mail: info@numersos.pl oraz specjalny czat online.

Nie bądź obojętny, reaguj na przemoc!
Nie bój się prosić o wsparcie!

Artykuł sponsorowany | 16/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł

2 Zamów i opłać:

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty SIECI na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: ..... (tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: ..... (tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 265 zł)

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS, ANDRZEJ WIKTOR, PIYASET/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2da195ac22

Czytajmy prasę drukowaną – w domu, z rodziną

Drukowany tygodnik opinii, który czyta w domu kilka osób, wciąż jest dla wielu Polaków najpopularniejszym i najprostszym sposobem korzystania z prasy. Bo wtedy możemy zaznaczyć najciekawsze artykuły i podzielić się opiniami oraz emocjami z najbliższymi

Wciąż lubimy czytać gazety i właśnie w prasie szukać niezbędnych informacji. W ciągu ostatnich 10 lat jej zasięg niemal się nie zmienił i utrzymuje na poziomie 85 proc. Zmieniają się oczywiście nośniki informacji i coraz częściej korzystamy z mediów elektronicznych – aplikacji i wydań internetowych naszych ulubionych tytułów. Jak wynika z badania przeprowadzonego przez PBC i Kantar, dla 42 proc. czytelników to prasa drukowana nadal jest preferowanym sposobem korzystania z mediów.

„Według metodologii wypracowanej wspólnie z Kantarem, zasięg prasy w Polsce wynosi 85 proc., z czego prasy drukowanej 50,2 proc., a prasy cyfrowej czytanej na komputerach, telefonach czy tabletach 74,5 proc. Porównując zasięgi, należy pamiętać przy analizie danych, że 95 proc. prasy drukowanej to prasa płatna, a większość zasięgów w prasie cyfrowej pochodzi z treści niepłatnych" – czytamy w opracowaniu raportu Kantara i PBC. Dla 42 proc. czytelników prasy drukowanej to druk stanowi podstawową, intencjonalną formę dostępu do treści.

ULUBIONY TYGODNIK W DOMU

Tygodnik „Sieci" od lat stara się proponować czytelnikom poszukującym profesjonalnie i odpowiedzialnie przygotowanych treści, wiarygodnego dziennikarstwa na najwyższym poziomie – najlepszą publicystykę, wiele opinii i komentarzy oraz analizy bieżących wiadomości, jak najwięcej intuicyjnych sposobów korzystania z tygodnika. Na stronie wPolityce.pl i sieciprawdy.pl w prosty sposób można dołączyć do Sieci Przyjaciół i zostać prenumeratorem e-wydań, uzyskując też dostęp do płatnych artykułów publikowanych w Strefie Premium wPolityce.pl. Liczba subskrybentów stale rośnie, za co wypada nam podziękować. Wierzymy, że autorzy tygodnika „Sieci" i ich artykuły, dostępne co tydzień na komputerach i smartfonach naszych czytelników, sprawiają, że pozostaniecie z nami w Sieci Przyjaciół e-wydania tygodnika „Sieci".

O ile subskrybując tygodnik poprzez stronę internetową, mamy dostęp do treści w każdej chwili i miejscu, o tyle w przypadku tygodnika drukowanego zyskujemy coś więcej – własne wydanie, a w konsekwencji biblioteczkę wydań i, co wynika z badań czytelnictwa, tradycyjny, intencjonalny, ulubiony sposób korzystania z prasy w polskich domach. Dlatego proponujemy naszym czytelnikom prenumeratę papierowego wydania „Sieci", która gwarantuje niezakłócony, stały i regularny dostęp do tygodnika przez cały rok.

Tygodnik „Sieci" należy do najchętniej czytanych i cytowanych tygodników opinii w Polsce. Prenumerata tygodnika pozwala naszym czytelnikom wygodnie przeczytać o najważniejszych wydarzeniach z Polski i ze świata, poznać ekskluzywne, wyjątkowe wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki, a także odkryć wyraziste opinie publicystów, analizy ekspertów i komentarze naszych autorów. Jak deklaruje redakcja, niezmiennie stoimy po stronie prawdy, patriotyzmu i tradycyjnych wartości.

WARTO ZAMÓWIĆ JUŻ DZIŚ

Warto zamówić prenumeratę tygodnika „Sieci" już teraz, w grudniu – to doskonały czas na decyzję o stałym i gwarantowanym dostępie do ulubionego tygodnika i artykułów cenionych autorów. Co ważne, można to zrobić nawet, gdy prenumerata jeszcze trwa lub właśnie się rozpoczęła. Nowa – wykupiona teraz– zacznie obowiązywać dopiero po zakończeniu obecnie trwającej subskrypcji.

Zachęcamy zatem do wykupienia rocznej prenumeraty tygodnika „Sieci" dla siebie lub bliskiej osoby. To może być doskonały prezent pod choinkę! W zamówieniu prenumeraty wystarczy podać adres do wysyłki – swój lub obdarowanego.

Przypominamy też, że zawsze nagradzamy prenumeratorów wartościowym prezentem – ciekawymi książkami. Prezenty do rocznej prenumeraty tygodnika „Sieci" można sprawdzić na stronie: ***www.sieciprawdy.pl*** oraz w kolejnych wydaniach tygodnika. Na stronie ***www.sieciprawdy.pl/prenumerata*** można również w prosty sposób zamówić prenumeratę papierowego wydania tygodnika.

eprasa.pl 2da195ac22

Medale „Pro bono Poloniae” i „Pro Patria” dla dziennikarzy wPolityce.pl i „Sieci”



Fot. Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci”, został uhonorowany medalem „Pro Bono Poloniae”, a Marzena Nykiel, redaktor naczelna portalu wPolityce.pl, oraz publicyści Michał Karnowski i Maciej Walaszczyk medalami „Pro Patria”. Odznaczenia wręczył minister Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Medale są wręczane osobom mającym szczególne zasługi w kultywowaniu pamięci o walce o niepodległość RP.

Minister Kasprzyk dziękował nagrodzonym za lata udanej współpracy oraz rzetelne relacjonowanie uroczystości patriotycznych. Także za opiniotwórcze teksty czy wywiady, które miały na celu podtrzymywanie w Polakach poczucia wagi polskich spraw. „Przeprowadzane przez państwa wywiady, zachowane już na zawsze w redakcyjnych archiwach, pozostaną z nami już na zawsze jako drogowskaz. Będziemy z nich dowiadywać się, jak budować Polskę przyszłości, taką Polskę, o której marzyło pokolenie II Rzeczypospolitej” – powiedział szef UdKiOR.

Podczas uroczystości w siedzibie urzędu medale wręczono także przedstawicielom redakcji TVP Info, Polskiego Radia, tygodnika „Niedziela”, tygodnika „Solidarność”, Polskiej Agencji Prasowej, „Polski Zbrojnej” oraz „Naszego Dziennika”.

Wuj

Reklama | 25/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22



eprasa.pl 2da195ac22



Życiowa rola Hołowni



STANISŁAW JANECKI

Często opisuje politykę jako teatr czy widowisko i robi to z przyganą wobec innych, a jednocześnie jest chyba najbardziej teatralnym marszałkiem Sejmu po 1989 r. Pytany o zaprzysiężony 27 listopada 2023 r. rząd Mateusza Morawieckiego i powód swojej nieobecności w pałacu prezydenckim podczas tej uroczystości, Szymon Hołownia stwierdził: „Mogę powiedzieć krótko, dobitnie i brutalnie: lubię teatr, ale nie zawsze odpowiada mi repertuar". Własnych teatralnych chwytów nie opisuje i nie wartościuje, choć jego funkcjonowanie w Sejmie składa się właściwie tylko z nich się. Hołownia nie zauważa też, że funkcja marszałka Sejmu nie jest prywatnym teatrem, tylko publicznym zadaniem i podczas jej sprawowania nie można być w tym samym czasie reżyserem, aktorem, autorem i recenzentem.

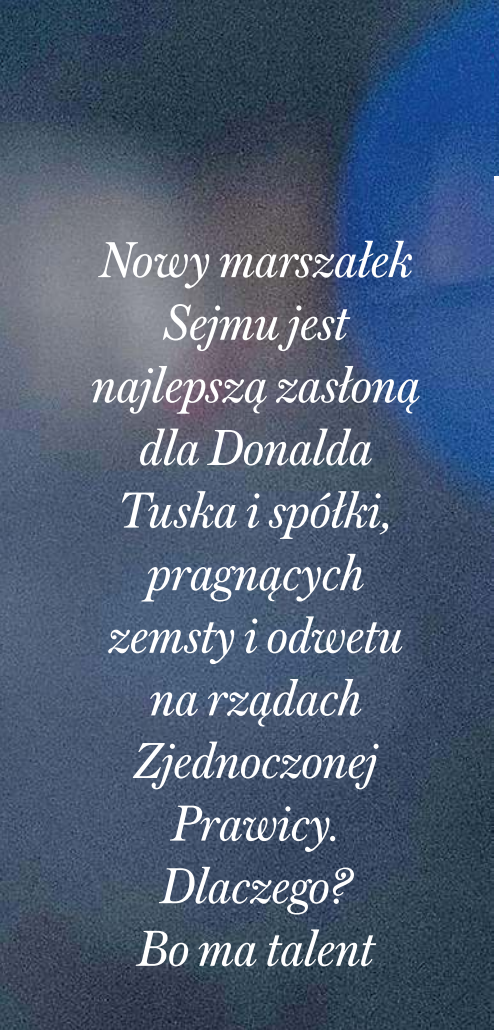
Szymon Hołownia kompletnie się tym nie przejmuje, dlatego jego ulubionym zajęciem poza graniem jest recenzowanie: „Opowieści o tym, że pan premier z kimś rozmawia, kogoś nagabuje, przekonuje, są wyssane z palca. Nie ma takich rozmów, nie ma takich propozycji i nie będzie poparcia. Ten rząd jest fikcją. Chociaż ustawowo i konstytucyjne umocowany, to jako siła sprawcza w państwie jest fikcją". A przecież marszałek Sejmu ma się tylko stosować do tego, co wynika z konstytucji przy tworzeniu rządu i nie do niego należy skracanie bądź wydłużanie procedur, a tym bardziej ocenianie ich konkretnego przebiegu. Nie jest ani głową państwa, ani Trybunałem Konstytucyjnym i nic go nie upoważnia do wcielania się w ich role, bo to uzurpacja.

Zgodnie z art. 110 ust. 2 konstytucji „marszałek Sejmu przewodniczy obradom Sejmu, strzeże praw Sejmu oraz reprezentuje Sejm na zewnątrz". Wszystkie jego działania odnoszą się do Sejmu, a w stosunku do innych władz może zrobić wyłącznie to, co zapisano w ustawie zasadniczej. A tam nie ma ani słowa o tym, że jest najwyższą władzą w Polsce. Może tylko przejściowo przejąć obowiązki głowy państwa, gdy prezydent nie jest w stanie ich sprawować, a wszystkie te przypadki (pięć) są opisane w art. 131 ust. 2 konstytucji. Z kolei art. 7 stanowi, że „organy władzy publicznej działają na podstawie i w granicach prawa", zaś zgodnie z art. 10 „ustrój Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sądowniczej".

Pełniąc funkcję marszałka Sejmu, wypada znać nie tylko regulamin Sejmu, lecz przede wszystkim konstytucję. A ta nic nie mówi o byciu reżyserem, aktorem, autorem i recenzentem jakiejś sztuki teatralnej, w którą miałoby się zamieniać funkcjonowanie różnych organów państwa. Konstytucja nic nie mówi też o upodobaniu do jakiegoś „repertuaru". Jeśli funkcję marszałka Sejmu się teatralizuje, to wszystko jest grą, wszystko jest umowne, nie ma podziału ról. Ale jest to o tyle niebezpieczne, że wtedy marszałek Sejmu może być kukiełką w grze innych.

eprasa.pl 2da195ac22

Nowy marszałek Sejmu jest najlepszą zasłoną dla Donalda Tuska i spółki, pragnących zemsty i odwetu na rządach Zjednoczonej Prawicy. Dlaczego? Bo ma talent



Fot. Piotr Tracz / Kancelaria Sejmu

SŁUGA, ALE NIE NARODU

Wiele wskazuje na to, że Szymon Hołownia nie wyłonił się sam jako nowy człowiek w polityce, lecz został niejako wyhodowany i wylansowany przez środowiska biznesowe oraz mające wpływy w służbach tajnych i mundurowych. To przede wszystkim one potrzebowały człowieka telewizji, bohatera kultury masowej. Tu wyraźnie inspiracją był obecny prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski jako bohater serialu „Sługa Narodu" (jako pierwsza pokazała go w naszym kraju telewizja wPolsce.pl). Ukraiński serial przestał być emitowany w 2019 r. i w tym samym roku Zełenski kandydował na prezydenta. Wygrał wybory. W 2019 r. Hołownia przestał prowadzić program rozrywkowy „Mam talent" w TVN, by 18 grudnia tego roku ogłosić swój start w wyborach prezydenckich w 2020 r. Zaplecze biznesowe Hołowni i jego ruchu było konkurencyjne wobec zaplecza Platformy Obywatelskiej. Posiadało wpływy w mediach prywatnych oraz środowiskach artystycznych i wolnych zawodów. Sam Hołownia miał być wypadkową potrzeb i interesów grup, które czuły się marginalizowane. I miał używać takiego języka, jakiego politycy dotychczas nie używali.

W kręgach Polski 2050, ale też Platformy Obywatelskiej, wskazuje się na Ryszarda Wojtkowskiego jako ważną postać biznesowego zaplecza Hołowni. W latach 1985–1991 był on dyrektorem gabinetu kolejnych premierów: Zbigniewa Messnera, Mieczysława Rakowskiego, Tadeusza Mazowieckiego i Jana Krzysztofa Bieleckiego. Gdy przeszedł do biznesu, pełnił wysokie funkcje w koncernach Coca-Cola i Gerber, potem został prezesem Novartis Consumer Health International. W 2000 r. przeszedł do branży private equity (był partnerem zarządzającym w Carlyle i Enterprise Investors), a obecnie jest założycielem i prezesem funduszu Resource Partners. „Długo się wahałem, ale ostatecznie delikatnie wspieram [Szymona Hołownię]. Bo jeśli miałbym czekać na hamletyzującą w sprawie kandydata i swojego przywódcy Platformę to równie dobrze mógłbym nic nie robić. A Hołownia mnie przekonuje szczerością intencji, autentyzmem i profesjonalnym podejściem" – napisał Wojtkowski 1 grudnia 2019 r. na Twitterze. 4 stycznia 2020 r. mówił „Gazecie Wyborczej": „Byłem też szefem gabinetu Mieczysława Rakowskiego, który był z ducha socjaldemokratą. Komunizmu nienawidził, kpił z niego w prywatnych rozmowach". Wtedy też pytał: „Dlaczego państwo ma kupować kolejkę na Kasprowy? Dlaczego ma robić jakieś przekopy mierzei czy budować kanał łączący dwie nieżeglowne rzeki? Dlaczego ma budować Centralny Port Lotniczy, skoro istniejące porty lotnicze ciągle mają rezerwy?". 29 sierpnia 2023 r. Wojtkowski wpłacił 44 tys. zł na Polskę 2050 Szymona Hołowni, co zostało odnotowane w dokumentach.

Gdy chodzi o zaplecze wywodzące się z wojska i tajnych służb, ważną postacią miał być Jacek Cichocki, obecnie szef kancelarii Sejmu, a wcześniej dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich, szef Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, minister spraw wewnętrznych i koordynator służb specjalnych.

Gdy 28 listopada 2023 r. do Sejmu trafił projekt grupy posłów KO oraz Polski 2050 dotyczący ustawy o dalszym mrożeniu cen energii, pojawiły się pytania od polityków PiS, ekspertów i dziennikarzy, czy to, co przemycono do ustawy nie jest spłaceniem długu wobec grup interesów, które Hołownię wspierały. Te „wrzutki" do ustawy to m.in. możliwość budowy najcichszych elektrowni wiatrowych zaledwie w odległości 300 m od domów jednorodzinnych, zagród, parków narodowych i rezerwatów przyrody, a w przypadku domów wielorodzinnych i szpitali – 400 m (obecnie 700 m). Pojawiła się też możliwość wywłaszczeń osób prywatnych pod budowę turbin wiatrowych – poprzez zmianę art. 6 i 112 ustawy o gospodarce nieruchomościami. Po tych wrzutkach politycy i dziennikarze zaczęli szukać związków personalnych oraz ewentualnego autorstwa tych wrzutek, a może i całej ustawy. I znaleziono tyle, że doradca Hołowni ds. klimatu i energii ma żonę będącą (od 1 sierpnia 2022 r., ale w firmie pracuje znacznie dłużej) dyrektorką zarządzającą Offshore w Ørsted Polska. A duński Ørsted to globalny lider w zakresie rozwoju morskiej energetyki wiatrowej. Poseł Sebastian Kaleta komentował: „Coraz więcej wskazuje, że afera wiatrakowa to nowa ustawa »lub czasopisma«. Z informacji źródłowych pliku wynika, że autorem ustawy mógł być pracownik zagranicznej korporacji, a żona doradcy Szymona Hołowni jest dyrektorką w innej firmie wiatrakowej. To musi być wyjaśnione. Być może przez komisję śledczą jak w aferze Rywina". A to dopiero początek urządzania się w Sejmie Szymona Hołowni i posłów jego partii.

W lutym 2020 r. Hołownia wskazał cztery bloki problemów, które go interesują, z czego nie wynikało, jakie ma poglądy. Te bloki to bezpieczeństwo narodowe, ochrona środowiska, solidarność społeczna oraz samorządność i inicjatywy obywatelskie. Trzy z nich były typowo lewicowo-liberalne i niczym szczególnym Hołowni nie wyróżniały, zaś pierwszy – bezpieczeństwo narodowe – miał wskazywać na powagę i format prezydencki ówczesnego kandydata na głowę państwa. Wybory prezydenckie przegrał, choć uzyskał trzeci wynik (prawie 2,7 mln głosów).

A potem przyszła seria wpadek z finansowaniem jego przedsięwzięć. Państwowa Komisja Wyborcza odrzuciła sprawozdanie finansowe partii Polska 2050 za 2021 r. Hołownia odwołał się do Sądu Najwyższego, lecz ten 21 lutego 2023 r. oddalił skargę. „Wyłączną przyczyną odrzucenia przez Państwową Komisję Wyborczą sprawozdania partii politycznej

eprasa.pl 2da195ac22

Polska 2050 Szymona Hołowni [...] było przyjęcie przez Partię korzyści majątkowych o charakterze niepieniężnym od nieuprawnionych podmiotów [innych niż osoby fizyczne]" – uzasadnił Sąd Najwyższy. Te nieuprawnione podmioty to przede wszystkim Stowarzyszenie Polska 2050 oraz Fundacja Polska Od Nowa. 28 grudnia 2022 r. Rafał Bochenek, rzecznik PiS, mówił PAP: „Szymon Hołownia powinien wytłumaczyć, kto go sponsoruje, w jaki sposób doszło do »cudownego rozmnożenia« tysiąca złotych do 5 mln zł". Chodziło o to, że Polska 2050, choć została wpisana do ewidencji w marcu 2021 r., złożyła sprawozdanie, z którego wynikało, że w całym roku praktycznie nie działała. Do każdej z rubryk mówiących m.in. o wpłaconych środkach, darowiznach i przyjętych wartościach niepieniężnych wpisano 0. Założona (za 1 tys. zł) w 2019 r. Fundacja Polska Od Nowa już rok później uzyskała prawie 3 mln przychodu, a w 2021 r. 5,8 mln zł. Rafał Bochenek pytał: „Czy Szymon Hołownia wytłumaczy, kto go sponsoruje? Dlaczego partyjna strona jest opłacana nie przez partię, tylko środki nieznanego pochodzenia? Czyją marionetką jest Szymon Hołownia? Czyje interesy będzie reprezentował w polityce? Kto go prowadzi?". Sąd Najwyższy odrzucił argumentację Hołowni, który mówił: „Jeśli chcieliśmy działać legalnie, a chcieliśmy, mogliśmy tylko prowadzić działalność stowarzyszenia, którego ja też jestem przewodniczącym".

NAWRACANIE NA ROŚLINNEGO BURGERA

W kręgach lewicowo-liberalnych nie ustają zachwyty nad sposobem działania Szymona Hołowni jako marszałka Sejmu, a szczególnie nad językiem, jakiego używa. Ma on nie tylko dyscyplinować posłów Zjednoczonej Prawicy, ale wręcz bez trudu rozstawiać ich po kątach, bo przecież na pierwszym posiedzeniu izby nie pozwolił przemówić Jarosławowi Kaczyńskiemu. Tyle tylko, że nie miał na co pozwalać, bowiem Jarosław Kaczyński wciąż był wtedy wicepremierem rządu i zgodnie z regulaminem Sejmu miał prawo wystąpić w dowolnej chwili.

Wieloletnia praca w telewizji TVN, a właściwie w show-biznesie, połączona z bardzo prawdopodobnym treningiem NLP (programowanie neurolingwistyczne) miały stworzyć polityka używającego języka widowiska telewizyjnego połączonego ze sposobem przemawiania amerykańskich kaznodziejów telewizyjnych, a to wszystko z elementami języka mediów społecznościowych, przeplatanego żargonem typowym dla nastolatków. Doświadczenie w show-biznesie oraz specyficzny język stworzyły z Hołowni populistę bardziej charakterystycznego dla Ameryki Południowej niż dla Europy. To populizm spod znaku argentyńskiego byłego prezydenta Juana Perón, a jeszcze bardziej jego żony Evity Perón. To także populizm spod znaku Luiza Inácio Luli da Silvy (byłego i obecnego prezydenta Brazylii) czy byłego prezydenta Wenezueli Hugo Cháveza.

> Wiele wskazuje na to, że Szymon Hołownia nie wyłonił się sam jako nowy człowiek w polityce, lecz został niejako wyhodowany i wylansowany przez środowiska biznesowe oraz mające wpływy w służbach tajnych i mundurowych. To przede wszystkim one potrzebowały człowieka telewizji, bohatera kultury masowej. Tu wyraźnie inspiracją był obecny prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski

Język Hołowni opiera się na mowie codzienności, lecz nie wziętej z rzeczywistości, tylko z telewizyjnych seriali i gatunku docudrama. Jest płytki znaczeniowo, choć ubarwiany jakimiś aluzjami kulturowymi, na tyle jednak nieokreślonymi, żeby nie odstręczał i nie wykluczał jako zbyt specjalistyczny czy erudycyjny. Ma trafiać do każdego – tak jak język telenowel. Szymon Hołownia ma być swojski, ale nie w taki sposób, w jaki starał się być Donald Tusk – pozujący na chłopaka z podwórka, trochę chuligana. Hołownia to raczej Janusz „Duduś" Fąferski z serialu dla młodzieży „Podróż za jeden uśmiech" – prymus, ale chcący przekraczać granice i liczący na uznanie za swojaka. Język oraz wszystkie zachowania Hołowni to rola mająca mu ułatwić funkcjonowanie w polityce i być najbardziej użytecznym dla rządu Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy. Charakteryzuje go pozorna grzeczność i spokój, a jednocześnie wypełnianie wszystkich oczekiwanych od niego działań, w tym tych opresyjnych czy dyscyplinujących. Ta rola ma stanowić parasol ochronny czy nawet mur, za którym można robić praktycznie wszystko.

Przez lata Szymon Hołownia uchodził za katolickiego publicystę, choć to takie samo złudzenie, jak to, że jest politykiem nowego typu i nowego języka. „Z tą katolicką publicystyką Szymona Hołowni nie ma co przesadzać. Wartości, którym służył pisząc [książki] »Kościół dla średnio zaawansowanych« czy »Tabletki z krzyżykiem« już dawno złożył na ołtarzu politycznego kompromisu" – napisał Piotr Relich na portalu PCh24.pl. Przemiany Hołowni dowodzi to, że „jeszcze nie tak dawno za obronę katolickiego podejścia do aborcji i in vitro blokowano mu teksty i dziękowano za współpracę", a dzisiaj, „już jako członek zwycięskiej koalicji, gwarantuje publiczne finansowanie zapłodnienia pozaustrojowego, przeciera szlak aborcjonistom (jest za referendum w tej sprawie) oraz deklaruje podpisanie ustawy udostępniającej pigułki wczesnoporonne nieletnim.

Nowy marszałek Sejmu nie miałby również problemu z legalizacją tzw. związków partnerskich. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, bowiem ewolucję w stronę „módl się w domu po kryjomu" przeszli też chadecy na Zachodzie. Hołownia ze swoim „zakompleksionym przed światem, »ale katolicyzmem«" ma nie być oryginalny. Za

eprasa.pl 2da195ac22



Fot. Andrzej Wiktor

katolickiego publicystę uważa go już chyba wyłącznie awangarda Strajku Kobiet.

Swoją przemianę Hołownia tłumaczy chęcią uratowania świata dla swoich córek, a w tym świecie uratowania, czy też wyzwolenia, nowego proletariatu, czyli zwierząt. Bo przecież „zwierzęta będą sądzić na Sądzie Ostatecznym". Jak ironizował Piotr Relich, Hołownia „ze swoim klimatycznym przesłaniem zjeździł Polskę wzdłuż i wszerz, jawiąc się jako posłany ze specjalną misją wyzwalania tkwiących w »mroku śmierci« i oparach dwutlenku węgla rodaków. […] Hołownia już dawno zamienił ewangelizację na nawracanie na roślinnego burgera". W jego nowej religii „niejedzenie mięsa i segregowanie śmieci urasta do roli sakramentu".

> Szymon Hołownia ma być swojski, ale nie w taki sposób, w jaki starał się być Donald Tusk – pozujący na chłopaka z podwórka, trochę chuligana. Hołownia to raczej Janusz „Duduś" Fąferski z serialu dla młodzieży „Podróż za jeden uśmiech" – prymus, ale chcący przekraczać granice i liczący na uznanie za swojaka

W grudniu 2018 r. Szymon Hołownia mówił „Gazecie Wyborczej": „Mam wrażenie, że odpalił mi się w środku jakiś dodatkowy zmysł, jakby ktoś nagle włączył kolejny wymiar w otaczającym mnie świecie – tego się po prostu nie da opisać, co się czuje, gdy widzisz, że nie jesteś kosmitą zesłanym, by tę ziemię okupować, że jesteś bratem i siostrą tego świata, każdego życia, które na nim jest i chce ci opowiedzieć swoją historię, historię o waszym wspólnym Ojcu, który jest – mam nadzieję, że mi to wybaczy – »psychofanem« życia. On nie stworzył drobiu, wie o każdym z dziesiątek miliardów żyjących dziś na świecie kurczaków".

MASKI I POZORY

24–25 listopada 2023 r IBRIS na zlecenie Onetu pytał o aktualne preferencje, gdy chodzi o wybory prezydenta RP. W pierwszym wariancie kandydatem KO był Rafał Trzaskowski i on został wskazany jako zwycięzca pierwszej tury (34,6 proc. głosów). W drugiej turze konkurowałby z Mateuszem Morawieckim, który w pierwszej miałby 29,9 proc. głosów. Trzeci był Szymon Hołownia (11,6 proc. głosów). W drugim wariancie kandydatem KO był Donald Tusk i także on wygrałby pierwszą turę, ale z wynikiem 25,6 proc. Gdyby kandydatem PiS była Elżbieta Witek, miałby 21,4 proc. poparcia. Także w tym wariancie Szymon Hołownia był trzeci, tylko z lepszym wynikiem – 16,7 proc. głosów. Interpretujący sondaż prof. Rafał Chwedoruk stwierdził, że „Platforma Obywatelska jest skazana na Rafała Trzaskowskiego, który zostaje faworytem w wyborach prezydenckich. Ma jeszcze jeden walor, który nie towarzyszy Donaldowi Tuskowi: neutralizuje Szymona Hołownię". Problemem jest to, że w planach Donalda Tuska to Szymon Hołownia ma neutralizować Rafała Trzaskowskiego, a nie odwrotnie. Żeby sam Tusk mógł zastąpić Trzaskowskiego i żeby miało to uzasadnienie w badaniach. W tym podejściu Tuska do Hołowni widać instrumentalne wykorzystywanie go, oczywiście bez pytania o chęci.

Oryginalność Szymona Hołowni to czysta kreacja. Jego chwyty opisano np. 18 listopada 2023 r. na portalu Medonet. Polegają m.in. na tym, że „marszałek wydaje się mieć duże poczucie własnej skuteczności w działaniu, nieważne, czy działaniem nazwiemy prowadzenie obrad, czy też jakąkolwiek inną sytuację w Sejmie. […] Hołownia działał z wykorzystaniem metody zdartej płyty i często powtarzał takie zdania, jak: »To jest Sejm, to nie jest miejsce na takie rozmowy«, »Ja traktuję pana z szacunkiem«. Te chwyty oraz specyficzny język mają sprawiać, że Szymon Hołownia ma być postrzegany jako ktoś spoza polityki, kto przykłada do niej często etyczne miary, dlatego widzowie (słuchacze) częściej to jemu są skłonni przyznać rację. I dlatego mieliby nie podejrzewać go o złe intencje. To oczywiście pozory, takie same jak w wypadku funkcjonowania w roli »katolickiego publicysty«".

Hołownia jest idealnym człowiekiem do wynajęcia, i to niekoniecznie do chwalebnych zadań. Zakłada maski, stwarza pozory, za którymi Donald Tusk i spółka mogą realizować swoje plany zemsty i odwetu, udając, że oni tylko działają w obrębie procedur i agendy wskazanej przez marszałka Sejmu. A gdyby go o to spytać, z miną niewinnego dziecka odpowiedziałby zapewne, że wszystko dzieje się *lege artis*. Z tego punktu widzenia nie można było wybrać lepszego aktora. Do roli życia.

eprasa.pl 2da195ac22



Chętnie stanę przed taką komisją

Jeśli powstanie covidowa komisja śledcza, wszystkie fakty wyjdą na jaw, a ci, którzy oskarżali prof. Łukasza Szumowskiego i mnie, zapadną się ze wstydu pod ziemię. To chyba jedyny sposób na to, aby odkłamać przekaz konglomeratu medialnego wspierającego opozycję, który promuje kłamliwą narrację panów Szczerby i Jońskiego

eprasa.pl 2da195ac22

Jacek Karnowski rozmawia z Januszem Cieszyńskim, posłem Prawa i Sprawiedliwości, byłym wiceministrem zdrowia i byłym ministrem cyfryzacji

Sejm powołał komisję śledczą ds. wyborów korespondencyjnych. W czasie, gdy próbowano je zorganizować, był pan wiceministrem w resorcie zdrowia. Dziś politycy czwórkoalicji, która idzie po władzę, zachowują się tak, jakby nie wiedzieli, jak dramatyczny był to moment. Może warto im przypomnieć, co się wówczas działo?

To był czas, gdy ludzie z tytułami naukowymi, lekarze, eksperci przesyłali do Ministerstwa Zdrowia opinie na temat tego, jak powinny wyglądać wybory prezydenckie. Oczekiwano, że zabezpieczenie wszystkich, którzy będą te wybory obsługiwać, w tym członków komisji wyborczych, będzie takie jak pracowników medycznych mających kontakt z chorymi.

Jak na OIOM?

Niemalże tak. Dziś wiemy, że tamte rady nie były trafne, a często przesadzone. Tak jednak mówili nam eksperci od chorób zakaźnych i nie było innego źródła wiedzy. Dziś łatwo mówić, że powinniśmy postępować inaczej. Jednak wówczas istniała potężna presja medialna, by działać zgodnie z zaleceniami wspomnianych ekspertów.

Opozycja też wówczas porządnie dokładała do pieca. Na ulicach pojawiły się plakaty z wizerunkiem prezydenta Dudy, które głosiły, że „wybory w maju mogą zabić", z pytaniem: „Po trupach do władzy?". Jak można mieć pretensje do polityków Zjednoczonej Prawicy, że szukali wyjścia z tej pułapki?

Jeżeli mamy do kogoś pretensje, to do tych osób, które będąc w polityce, nie pozostały wierne przysiędze lekarskiej. Prof. Tomasz Grodzki mówił wówczas o „zabójczych kopertach", co w świetle wiedzy medycznej było kompletnym absurdem. Nie wahał się użyć swojego autorytetu profesora medycyny w bieżącej grze politycznej. Takie zachowania powinny dyskwalifikować zarówno z polityki, jak i leczenia ludzi.

> Udział wyborców dopisanych i z zaświadczeniami wyniósł mniej niż 7 proc. oddanych głosów. To mniej niż w poprzednich wyborach. Nie ma żadnego powodu, by twierdzić, że ta fala frekwencyjna wynikała z dostępności cyfrowych narzędzi

Nie jest jasne, ile komisji śledczych powoła nowy Sejm, ale czasem ktoś wspomni o komisji covidowej, która miałaby zbadać m.in. zakupy środków ochrony, w tym maseczek i specjalistycznego sprzętu w czasie pandemii. Byłoby co badać?

Chętnie stanę przed taką komisją. To chyba jedyny sposób na to, aby odkłamać przekaz konglomeratu medialnego wspierającego opozycję, który promuje kłamliwą narrację panów Szczerby i Jońskiego. Bardzo obraźliwą oraz niesprawiedliwą, delikatnie mówiąc, wobec mnie oraz innych osób, które wówczas podejmowały trudne decyzje, by przeprowadzić Polskę przez pandemię. Przypomnę, bo niektórzy chyba o tym zapominają – do sierpnia 2020 r. nie było dnia z więcej niż 1 tys. nowych zakażeń. Nikt także nie umarł z powodu braku sprzętu, tak jak to miało miejsce np. w Lombardii.

Jak było naprawdę?

Prawda jest taka: działając w ekstremalnie trudnych warunkach, cały czas kierowaliśmy się interesem publicznym. Zakup takiego sprzętu rekomendował konsultant krajowy ds. anestezjologii i intensywnej terapii. Firma, która okazała się nierzetelna, dostarczała sprzęt medyczny spółkom Skarbu Państwa zaangażowanym w walkę z pandemią i została wskazana przez kierownictwo Agencji Wywiadu. To są często rzeczy poufne i do tej pory nikomu nie zależało na tym, aby poznać wszystkie szczegóły. Jeśli powstanie komisja śledcza, wszystkie fakty wyjdą na jaw, a ci, którzy oskarżali prof. Łukasza Szumowskiego i mnie, zapadną się ze wstydu pod ziemię.

Udało się panu dostać do Sejmu z okręgu olsztyńskiego. Było ciężko?

Decyzją prezesa Jarosława Kaczyńskiego startowałem z pierwszego miejsca. W ordynacji wyborczej to daje dużą premię, lecz nie znaczy, że odpuściłem walkę o jak najlepszy wynik. Przed rozpoczęciem kampanii w sondażach, które już uwzględniały kolejność na liście, zajmowałem 3. lub 4. miejsce. Dzięki pracy w terenie i dużej kampanii na Facebooku zdobyłem rozpoznawalność, ostatecznie miałem najlepszy wynik na liście Prawa i Sprawiedliwości. Teraz moją rolą jest nie zawieść zaufania, którym obdarzyli mnie wyborcy. Od Olsztyna aż po Ełk każdy może liczyć na moją pracę na rzecz regionu.

Czy fakt, że Prawo i Sprawiedliwość straciło władzę, był dla pana szokiem?

To, co się stało, nie jest dobre dla Polski. To PiS ma najlepszą ofertę programową i najlepszych ludzi do tego, aby ten program realizować. Przejście do opozycji to dla nas lekcja pokory – musimy wyciągnąć wnioski, ciężko pracować i wrócić jeszcze mocniejsi, lepsi oraz mądrzejsi. PiS podniosło się po porażce w 2007 r., podniesie się i teraz.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2da195ac22

Toczy się dyskusja na temat przyczyn tej porażki. Co można było zrobić lepiej?

Jak to mówią: „Analiza wsteczna zawsze skuteczna". Nie powinniśmy zadowolić się prostymi odpowiedziami. Przykładowo wiele osób twierdzi, że zbyt mało uwagi przywiązaliśmy do najmłodszych wyborców. Ale przecież nigdzie na świecie nie wygrywają partie, które obiecują wszystko wszystkim. Akcentując jedne sprawy, traci się w innych obszarach. Mój osobisty wniosek z 15 października jest następujący: nigdy nie należy uważać, że coś zostało dane raz na zawsze. Od pierwszego dnia tej kadencji musimy ciężko pracować, by utrzymać swoich wyborców i pozyskać nowych.

Problem z nowymi propozycjami polegał na tym, że polityczny kordon sanitarny stał się kordonem komunikacyjnym i nowe oferty albo nie docierały, albo natychmiast były tak wykrzywiane lub wyśmiewane, że stawały się obciążeniem.

Tak było, lecz można to przełamać. Idą czasy, w których najważniejsza będzie bezpośrednia komunikacja z wyborcami. Głównie przez internet, w sposób celowany, spersonalizowany, dużo bardziej dopasowany do potrzeb odbiorcy. Pracowitość, zaangażowanie i merytoryczna praca zwrócą się nam w dwójnasób.

A emocje?

Jest jasne, że w wyborach 2023 r. emocje były po stronie opozycji. Ale to też nie będzie trwało wiecznie. Już wiemy, że nawet ta ułomna, zastępcza propozycja programowa PO, zapisana w owych „100 konkretach", nie będzie realizowana. Musimy pilnować Polski i jej interesów, a jeżeli to nam się uda, to będziemy na pole position do zwycięstwa w kolejnych wyborach.

Dość popularna jest też teoria, według której różnego rodzaju ułatwienia w pobieraniu zaświadczeń o prawie do głosowania, a także możliwość szybkiej zmiany lokalu, w którym zamierzamy głosować, nakręciły falę frekwencyjną, która dała opozycji zwycięstwo. Ile w tym prawdy?

To jasne, że po porażce szuka się winnego. Mam jednak wrażenie, że środowisko, które kolportuje tę wersję, powinno najpierw przyjrzeć się samo sobie i zastanowić, czy wywiązało się z zadań postawionych w kampanii. Ale zostawmy to na boku, bo w sprawie głosowania poza przypisanym lokalem wyborczym ważne są fakty.

> Przeanalizowaliśmy to i nie ma korelacji pomiędzy odsetkiem wyborców dopisanych i głosujących na zaświadczenie a wynikiem Romana Giertycha

Jakie?

Po pierwsze, usługa zmiany miejsca głosowania została wprowadzona przez Platformę Obywatelską przed wyborami w 2015 r. Po drugie, głosowanie na podstawie zaświadczenia istniało „od zawsze". Po trzecie, statystyki pokazują jasno, że to nie te ułatwienia nakręciły falę frekwencyjną.

Jak wyglądają liczby?

W poprzednich wyborach – a były to wybory prezydenckie – łączna liczba osób głosujących w oparciu o zaświadczenia i tych, którzy dopisali się do spisu wyborców w wybranym przez siebie lokalu wyborczym wyniosła 1,47 mln. W 2023 r. było to 1,53 mln. Wzrost jest więc niewielki, mniejszy niż wzrost frekwencji. A więc udział zaświadczeń i dopisań do spisu w liczbie oddanych głosów spadł. Co więcej, liczba zaświadczeń pozwalających głosować w dowolnym miejscu kraju i które budzą najwięcej emocji jest mniejsza niż w 2020 r. Polacy woleli drugą metodę, czyli dopisanie się do spisu poza miejscem zamieszkania.

To dziwne, bo opozycja jednak planowała kampanię wspierania swoich kandydatów w okręgach „swingujących", wahających się.

Nie da się wykluczyć, że punktowo takie zjawisko miało miejsce, ale jest faktem, że zaświadczeń było mniej niż w 2020 r., a tylko one mogą stanowić narzędzie do takich manipulacji. Ludzie wybierali raczej dopisanie się do konkretnego punktu wyborczego.

Podsumowując: jednorazowych zmian miejsca głosowania było o 200 tys. więcej, a zaświadczeń o 140 tys. mniej.

Bo mogli to zrobić przez komputer, bez podróży do miejsca zameldowania?

Tak, lecz taka możliwość istniała od 2015 r. W tej sprawie nic się nie zmieniło. Wniosek składało się za pomocą tej samej strony internetowej, tym samym formularzem. Ten kierunek zmian – od zaświadczeń do dopisań – jest pozytywny, ponieważ teoretyczna możliwość wielokrotnego zagłosowania przy użyciu jednej kartki zawsze budziła emocje. Bezpieczeństwo wyborów wzrosło.

Czy jednak nie było tak, że opozycja wytypowała miejsca kluczowe i tam właśnie głosowali owi mobilni wyborcy, wpływając punktowo na istotne rozstrzygnięcia? Tak miało być np. w Świętokrzyskiem.

Jest taka teoria, według której miał na tym skorzystać Roman Giertych, nawołujący do przeprowadzenia takiej akcji. Przeanalizowaliśmy to i nie ma korelacji pomiędzy odsetkiem wyborców dopisanych i głosujących na zaświadczenie a wynikiem Giertycha. Są trzy gminy w województwie świętokrzyskim, w których zanotowano istotnie wyższą liczbę osób spoza województwa. To przede wszystkim Bałtów, gdzie znajduje się rodzinny park rozrywki; tam głosowały rodziny, które przyjechały z dziećmi

eprasa.pl 2da195ac22



Fot. Andrzej Wiktor

na weekendowy wypad. Pozostałe dwie gminy to uzdrowiska, w tym Busko-Zdrój.

A więc to nie wynik akcji progiertychowej, ale normalnego życia?

Tak. Dzięki Centralnemu Rejestrowi Wyborców nie musimy zgadywać, bo dane są w rządowym systemie. Ale wdrożenie nowego systemu nie wprowadziło istotnych zmian dla głosujących poza domem. Zaświadczenia nie można było pobrać z internetu i tak samo jak wcześniej trzeba było zgłosić się po nie do urzędu gminy. Od 2015 r. nie wydarzyło się nic, co ułatwiłoby skorzystanie z tych narzędzi, które były przecież dostępne już przy poprzednich wyborach. Upatrywanie w tym przyczyn wyniku wyborczego Prawa i Sprawiedliwości to zły trop.

> Za rządów PiS cyfryzacja nigdy nie była procesem totalnym. Mimo że świat cyfrowy to przyszłość, nasz rząd wchodził w tę rzeczywistość spokojnym krokiem, nie spiesząc się i ważąc ryzyko

A jeśli chcemy wyciągnąć wnioski na przyszłość, także polityczne, strategiczne, społeczne, to nie możemy opierać się na fałszywych teoriach.

Nie potwierdziły się też doniesienia w sprawie Supraśla, gdzie, jak podano, głosować miał jeden mieszkaniec i 1,5 tys. przyjezdnych.

Tak, okazało się, że to była pomyłka komisji wyborczej. Sprawę szybko wyjaśniono. Na ponad 30 tys. komisji wyborczych wykryto na razie jeden taki błąd. Jestem pierwszy do dyskusji, rozmowy, wyjaśniania. Ale bądźmy uczciwi wobec siebie.

A czy była możliwość dopisania się do wybranego lokalu wyborczego w dniu wyborów, np. pod wpływem akcji mobilizacyjnej w mediach społecznościowych?

Takich możliwości nie było. Spisy wyborców zamykały się o północy w czwartek, w piątek były pobierane przez gminy i do soboty dostarczane do komisji wyborczych, tak aby były gotowe na wyborczą

eprasa.pl 2da195ac22

niedzielę. Formularz zmiany miejsca głosowania był niedostępny od nocy z czwartku na piątek.

Czyli ta fala frekwencyjna, kolejki do punktów wyborczych, obejmowała głównie ludzi, którzy głosowali w swoim miejscu zameldowania?

Udział wyborców dopisanych i z zaświadczeniami wyniósł mniej niż 7 proc. oddanych głosów. To mniej niż w poprzednich wyborach. Nie ma żadnego powodu, by twierdzić, że ta fala frekwencyjna wynikała z dostępności cyfrowych narzędzi.

Powstał jednak Centralny Rejestr Wyborców.

Wcześniej rejestry prowadziła osobno każda gmina i nie mogliśmy mieć pewności, że wymiana danych między tymi rejestrami jest w pełni bezpieczna. Dochodziło do takich incydentów jak zaszyfrowanie spisu wyborców w jednej z podwarszawskich miejscowości. Gdyby zdarzyło się to w dniu wyborów, głosowanie w tej gminie nie mogłoby się odbyć. Teraz system funkcjonuje w wydzielonej infrastrukturze, oprócz rejestru PESEL, rejestru paszportów i rejestru dowodów osobistych. Są to najpilniej strzeżone dane, których dysponentem jest minister cyfryzacji. To jest system, z którego nie było wycieków.

A czy szeroko promowana i bardzo popularna aplikacja mObywatel ułatwiła w jakiś sposób zmianę miejsca głosowania?

Za pomocą tej aplikacji nie można było się dopisać do spisu wyborców, nie można było złożyć wniosku o wydanie zaświadczenia ani w szczególności wykorzystać samej aplikacji jako zaświadczenia pozwalającego na oddanie głosu. Wiedzieliśmy, że jakiekolwiek nowe usługi cyfrowe wdrożone przed wyborami mogły mieć wpływ na proces wyborczy, mogły wywołać chaos. Dlatego nie było żadnych zmian, a proces działał tak samo jak w 2015 r., 2019 r. i 2020 r.

Niektóre państwa wprowadziły już głosowanie przez internet. W Polsce też powinniśmy o tym myśleć?

Nie było u nas poważnej dyskusji w tej sprawie, nie ma konsensusu wokół tego tematu. I m.in. dlatego nie wdrożyliśmy żadnych nowych usług w tym obszarze. Każdy, kto twierdzi, że jest inaczej, chce znaleźć proste, ale nieprawdziwe wyjaśnienie rozstrzygnięcia wyborczego. Fałszywe teorie spiskowe zamiast rzetelnej analizy to droga na manowce.

A czy możliwe było podwójne głosowanie?

Wyborca głosujący na podstawie zaświadczenia oddaje jego oryginał komisji wyborczej. Nie słyszałem o zgłoszeniach, że w dokumentacji z wyborów zabrakło zaświadczeń, które powinny się tam znaleźć – te są bowiem wkładane do zaplombowanych worków z dokumentacją z dnia wyborów. W momencie wydania zaświadczenia wyborca jest wykreślany ze spisu w miejscu zamieszkania i po wprowadzeniu Centralnego Rejestru Wyborców możemy mieć 100-proc. pewność, że ktoś z zaświadczeniem nie figuruje w żadnym spisie. Każdego dnia możemy ustalić z dokładnością do jednej osoby, gdzie jest przypisany każdy wyborca w Polsce. Nowy system znacznie zminimalizował także ryzyko błędów urzędników przygotowujących wybory w gminach.

> Przejście do opozycji to dla nas lekcja pokory – musimy wyciągnąć wnioski, ciężko pracować i wrócić jeszcze mocniejsi, lepsi oraz mądrzejsi. PiS podniosło się po porażce w 2007 r., podniesie się i teraz

W tle tego, o czym rozmawiamy, jest pytanie, jak daleko może posunąć się cyfryzacja? Czy dowód osobisty w aplikacji mObywatel to nie jest zbyt duży krok?

Przed naszą rozmową spytałem pana, gdzie ma pan swój plastikowy dowód. Mówi pan, że w torbie, ale przecież wyszedł pan na chwilę z pokoju, więc kto wie [śmiech]. A telefon leży w zasięgu wzroku przez cały czas, co więcej – jeśli chciałby pan dostać się do mObywatela, musi pan podać kod lub użyć biometrii. Niech każdy zada sobie pytanie – czy szybciej zorientowałby się, że nie ma przy sobie dowodu, czy telefonu? Technologia też niesie za sobą zagrożenia i absolutnie ich nie lekceważę, ale dowód w komórce jest co najmniej równie bezpieczny jak ten plastikowy.

Czy państwo ma jednak kontrolę nad procesem cyfryzacji? Czy wie, dokąd zmierza?

Za rządów PiS cyfryzacja nigdy nie była procesem totalnym. Mamy e-recepty, ale kiedy nie ma dostępu do systemu, lekarz wciąż może wypisać receptę na papierze. Większość PIT składamy w sieci, lecz skarbówka wciąż przyjmuje ok. 1 mln takich papierowych deklaracji rocznie. Mamy już 5 mln dowodów w aplikacji mObywatel, mimo to nie rezygnujemy z plastikowych dokumentów. To da się pogodzić, ponieważ chociaż świat cyfrowy to przyszłość, to nasz rząd wchodził w tę rzeczywistość spokojnym krokiem, nie spiesząc się i ważąc ryzyko.

PiS przechodzi do opozycji, misja rządowa dobiega końca. Jaki jest pana pomysł na najbliższe miesiące, lata?

Patrzeć na ręce rządzącym i działać wspólnie z mieszkańcami Warmii i Mazur na rzecz dobra regionu. To województwo ma potencjał, by stać się matecznikiem Prawa i Sprawiedliwości, takim jak województwa ściany wschodniej. Mamy tam mocną drużynę i jeśli dobrze wykorzystamy najbliższe cztery lata, to wrócimy dużo mocniejsi.

eprasa.pl 2da195ac22



Miodowego miesiąca nie będzie

Szykująca się do przejęcia władzy ekipa Tuska stanie przed ogromnym wyzwaniem, jakim są relacje z Ukrainą. Do tej pory Platforma spijała bowiem samą śmietankę. Z jednej strony przedstawiała się jako wielki przyjaciel walczącej Ukrainy, a z drugiej – będąc w opozycji – nie ponosiła z tego powodu żadnych politycznych kosztów. Teraz to się zmieni



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Obecny stan stosunków polsko-ukraińskich dość dobrze odzwierciedla aktualną pozycję naszego kraju w Europie. Dopóki rosła, Ukraina garnęła się do współpracy z Polską, a w stolicach obu państw snuto mniej lub bardziej fantastyczne wizje przyszłej potęgi, która wyrośnie na gruncie powojennej kooperacji Warszawy i Kijowa. Potęgi, z którą będą musieli się liczyć wszyscy w naszym regionie.

Teraz, gdy wskutek wyniku wyborów Polska znalazła się z powrotem w orbicie niemieckiej, Kijów oczekuje od nas wyłącznie realizowania ustaleń poczynionych przez Wołodymyra Zełenskiego z politykami unijnymi. W dzisiejszej optyce Kijowa mamy być przede wszystkim pasem transmisyjnym na linii Berlin–Kijów.

GRA NA ZMIANĘ

Oczywiście istnieje też drugie dno. Kijów nigdy nie był całkiem szczery w relacjach z Warszawą. Po prostu Ukraina, stawiająca opór rosyjskiej agresji, łapczywie skorzystała z pomocy, zaoferowanej jej przez Polskę po wybuchu wojny. Byliśmy największym sojusznikiem w jej zmaganiach nie tylko z Rosją, lecz także z zachodnim kunktatorstwem. Gdy Olaf Scholz i Emmanuel Macron wydzwaniali do Putina, aby go przekonać do zatrzymania agresji, Polska pomagała tę agresję

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock, Kirill Gorshkov / Shutterstock.

eprasa.pl 2da195ac22

odeprzeć, wysyłając na Ukrainę broń i zaopatrzenie. Nie chodziło tylko o odruch serca, powstrzymanie Moskwy leżało przecież w naszym fundamentalnym interesie. Dlatego nie żądaliśmy niczego w zamian.

Wydawało się, że w Kijowie rozumieją tę motywację, ale tak nie było. Pomimo pięknych słów, Polska została uznana za frajera, który pozwala się doić. Wtedy w Warszawie nikomu nie przyszło jeszcze do głowy, że władze w Kijowie, które początkowo z wdzięcznością przyjęły pomocną dłoń, wkrótce chwycą nas za całą rękę i że zagrozi to kruchej równowadze politycznej w Polsce.

Cynizm Kijowa można do pewnego stopnia zrozumieć, w końcu Ukraina walczy o przetrwanie. Wydawałoby się jednak, że tak dramatyczna sytuacja powinna skłaniać władze w Kijowie do szczególnego traktowania swojego głównego partnera. Bo to w ogromnej mierze od postawy Polski, od dostaw przechodzących przez nasz kraj, zależą wojenne losy Ukrainy. Rząd PiS był gwarantem, że nic się nie zmieni w tej kwestii, jednak Zełenski – być może po rozmowach z politykami niemieckimi – postanowił postawić na zwycięstwo Tuska.

Tak można zinterpretować nieustępliwość władz ukraińskich podczas kryzysu zbożowego. Ekipa Zełenskiego wiedziała, że presja w tej kwestii szkodzi sprzyjającym Ukrainie politykom PiS. I choć ukraińskie zboże szło przez Polskę tranzytem, to Kijów domagał się znacznie więcej, bo otwarcia polskiego rynku, na co nikt odpowiedzialny nie mógł się u nas zgodzić. Pozwoliło to Niemcom wkroczyć do gry. Komisja Europejska nie przedłużyła unijnego zakazu wwozu produktów rolnych z Ukrainy, który chronił rynki państw naszego regionu przed zalewem taniego ziarna. Kijów mógł się więc skarżyć na Polskę w Unii, a Niemcy zostały nagle głównym sprzymierzeńcem Ukrainy w jej walce o dostęp do unijnego (czytaj: polskiego) rynku żywnościowego.

Mówiono wtedy, że za ukraińskimi naciskami stoją tamtejsi oligarchowie rolni i powiązane z nimi globalne koncerny żywnościowe. To oczywiście prawda, ale równie ważne, o ile nie ważniejsze, były motywy czysto polityczne. Kijów postawił już bowiem krzyżyk na swoich niedawnych sojusznikach z PiS i wspólnie z Unią oraz Berlinem grał na ich odsunięcie od władzy, co – jak dziś wszystko na to wskazuje – ostatecznie się udało.

JAK ZABŁOCKI NA MYDLE

Nie jest jednak takie pewne, że wolta Zełenskiego ostatecznie wyjdzie Ukrainie na dobre. Można się raczej spodziewać, że będzie dokładnie odwrotnie. Owszem, odejście rządu PiS oznacza dla Ukrainy pozbycie się przeszkody w jej stosunkach z Niemcami. Tyle że Ukraina zostanie tym samym w całości zdana na łaskę i niełaskę Berlina. W przypadku ewentualnych problemów, a te już się pojawiają, choćby w kwestii dostaw niemieckiej broni, rząd Tuska nie okaże się żadnym amortyzatorem ani wsparciem, bo jego polityka będzie w całości zgrana z interesami niemieckimi.

> Ukraina nie zrozumiała, że istnienie silnej Polski leży w jej interesie. Wkrótce to pewnie zrozumie. Tyle że może już być na to za późno

W tym kontekście warto przyglądać się dalszym losom tranzytu ukraińskiego zboża przez Polskę. Rząd Morawieckiego utrzymał, wbrew Komisji Europejskiej, embargo na sprzedaż ukraińskiego ziarna w naszym kraju. Władze w Kijowie liczą na to, że gdy teraz Tusk przejmie władzę, embargo zniknie i znów będzie można bez przeszkód sprzedawać w Polsce ukraińskie zboże.

Trudno jednak powiedzieć, czy tak się stanie. Tusk nie ma żadnego interesu politycznego w tym, aby wywoływać potężny kryzys w rolnictwie. Również Niemcy nie chcą szkodzić swojemu sprzymierzeńcowi, a to oznacza, że nie będą na niego naciskać w tej sprawie. Być może zostanie więc wypracowany jakiś zgniły kompromis, ale to z pewnością rozczaruje maksymalistycznie nastawioną ekipę Zełenskiego.

Wychodzi więc na to, że ukraiński prezydent w tej i wielu innych kwestiach wyjdzie na zmianie władzy w Polsce niczym Zabłocki na mydle. I o ile rządom Zjednoczonej Prawicy zarzucano naiwność, a nawet frajerstwo w stosunkach z Ukrainą, o tyle teraz tym naiwniakiem i frajerem może okazać się sam Zełenski, który zasiadł do stołu z bardzo nieczysto grającym partnerem i na dodatek postanowił licytować zbyt wysoko.

Wolta Zełenskiego ułatwiła Niemcom powrót do gry w naszej części Europy i co za tym idzie objęcie patronatu nad stosunkami polsko-ukraińskimi. Można być niemal pewnym, że będzie on polegał na podtrzymywaniu kursu kolizyjnego między Warszawą i Kijowem oraz utrzymywaniu napięcia pomiędzy obiema stolicami. Taka strategia pozwoli Berlinowi występować w roli rozjemcy, do którego zawsze należy ostatnie słowo. A to oznacza, że w naszym regionie będzie się liczył przede wszystkim interes niemiecki (szumnie nazywany europejskim), a nie polski czy ukraiński.

NIEUCZCIWA KONKURENCJA

Jednak nie tylko Ukraina będzie miała problem z nowymi regułami gry, do których powstania sama przyłożyła rękę. Również szykująca się do przejęcia władzy Platforma stanie przed ogromnym wyzwaniem, jakim są relacje z Ukrainą.

Do tej pory PO spijała samą śmietankę. Z jednej strony przedstawiała się jako wielki przyjaciel walczącej Ukrainy, a z drugiej – będąc w opozycji – nie ponosiła z tego powodu żadnych politycznych kosztów. Teraz to się zmieni. Każda decyzja nowego rządu będzie wywoływała określone skutki i będzie poddawana ocenie. Zwłaszcza że, jak można przypuszczać, Tusk nie zawsze będzie suwerenny w swojej polityce.

Była już mowa o kryzysie zbożowym, ale to dziś niejedyny kłopot, z którym musi się zmierzyć rząd. Od kilku tygodni na ukraińskiej granicy trwa protest przewoźników, który zaostrza się z każdym dniem. Blokady w Korczowej i Dorohusku poszerzono ostatnio na przejście w Medyce. Ciężarówki stoją w wielokilometrowych korkach, a czas oczekiwania

eprasa.pl 2da195ac22



na przekroczenie granicy przekracza 100, a nawet 200 godz. Protestujący przepuszczają bowiem po kilka aut na godzinę. Poza kolejnością wjeżdżają jedynie transporty humanitarne, wojskowe oraz te z szybko psującą się żywnością.

Polscy transportowcy domagają się przywrócenia limitów dla ukraińskich firm przewozowych, które decyzją Komisji Europejskiej zniesiono po wybuchu wojny. Chodziło o to, aby rosyjska agresja nie pozbawiła Ukrainy dochodów z handlu zagranicznego.

Przed wojną limit wynosił 160 tys. transportów dla obu stron, przy czym Polacy nie wykorzystywali nawet połowy zezwoleń, podczas gdy Ukraińcy wyczerpywali swój limit zwykle pod koniec wakacji, co również tworzyło duże napięcia. Teraz na mocy decyzji Komisji Europejskiej ukraińscy przewoźnicy mogą bez ograniczeń wjeżdżać do państw Unii z transportami do i z Ukrainy, a ich liczba, zdaniem polskich kierowców, idzie w miliony.

Poważnie naruszyło to równowagę na przeżywającym kryzys rynku przewozowym. Tym bardziej że ukraińskich kierowców tirów nie obejmują restrykcyjne zasady pakietu mobilności, który m.in. reguluje czas jazdy i odpoczynku kierowców oraz wynagrodzenia na rynkach zachodnich.

Według polskich uczestników protestu ukraińscy kierowcy zarabiają zaledwie 700 euro miesięcznie, podczas gdy polscy przewoźnicy muszą płacić kierowcom min. 2,5 tys. euro. To oczywiście przekłada się na wyższą konkurencyjność firm ukraińskich. Ponadto polscy kierowcy twierdzą, że wbrew zezwoleniu ukraińscy przewoźnicy prowadzą wewnątrz Unii transport kabotażowy, czyli pomiędzy krajami unijnymi. Zwykle ma to wyglądać w ten sposób, że ukraiński tir przyjeżdża z towarem do Polski, po czym zamiast wrócić z powrotem, bierze ładunek w Polsce i wiezie go w głąb Europy, odbierając tym samym zlecenia polskim przewoźnikom. Kara za takie praktyki wynosi 12 tys. zł, ale jest zbyt niska, żeby zniechęcać do tego procederu.

Problem ukraińskiej nieuczciwej konkurencji jest poważny, ponieważ dotyka ponad 8 tys. polskich firm przewozowych, zatrudniających łącznie 150 tys. pracowników. Tymczasem jak wynika z danych GUS wielki boom przeżywają fabryki produkujące w Polsce samochody ciężarowe (w większości niemieckich marek). Wartość eksportu tego rodzaju pojazdów wzrosła o 144,1 proc., licząc rok do roku, przy czym kierunek ukraiński stanowi już prawie 10 proc. wartości całego eksportu ciężarówek z Polski. Wszystko to oznacza, że o ile polska branża transportowa przeżywa zapaść, o tyle ukraińska kwitnie. Nic więc dziwnego, że protest przewoźników przybrał gwałtowną formę blokowania granicy.

Co więcej, emocje towarzyszące blokadzie podgrzewają radykałowie z obu stron. Mer Lwowa Andrij Sadowy obcesowo nazwał protestujących „marginalistami blokującymi dostawy towarów humanitarnych dla kraju, który już drugi rok broni swojej niepodległości i bezpieczeństwa Europy". Życzył także Polakom „powrotu do rzeczywistości". W odpowiedzi odezwała się Kaja Godek, która bez jakiegokolwiek związku z rzeczywistością nieodpowiedzialnie wypaliła, że „Lwów powinien wrócić do Polski".

> Wolta Zełenskiego ułatwiła Niemcom powrót do gry w naszej części Europy i co za tym idzie objęcie patronatu nad stosunkami polsko-ukraińskimi

SPRZECZNE INTERESY

Wołodymyr Zełenski, komentując protest na granicy, stwierdził, że trzeba Polakom dać trochę czasu, bo „sytuacja się ociepla". Chodziło mu oczywiście o zmianę rządu i „ocieplenie", które pojawi się za sprawą Tuska.

Nie jest jednak pewne, czy Zełenski, mówiąc o „ociepleniu", myśli o tym samym co Tusk. Bo co lider PO może zrobić z protestem przewoźników? Spałować jego uczestników, aby zadowolić Zełenskiego? A może przeciwnie – zażądać od Unii wypowiedzenia umowy o zniesieniu limitów? Prawdopodobnie będzie unikał jednego i drugiego. Sytuacja nie jest więc taka prosta, jak mogłoby się w Kijowie zdawać. Teraz dawne problemy PiS prawdopodobnie staną się bowiem problemami Tuska i jego koalicji. Wszystko to przypomina kryzys zbożowy, który przecież także nie został rozwiązany i w każdej chwili może wybuchnąć na nowo.

Mimo tysięcy ciepłych słów wypowiedzianych po wybuchu wojny między Polakami i Ukraińcami nasze państwa mają wiele sprzecznych interesów. I to często fundamentalnie sprzecznych. Nie chodzi przy tym o podstawowe kwestie geostrategiczne, bo akurat tutaj z powodu zagrożenia rosyjskiego jedziemy na jednym wózku, ale o interesy gospodarcze. To one, czego chyba nikt w Kijowie do końca nie rozumie, wiążą ręce każdej ekipie, niezależnie od tego, czy wywodzi się z PiS, czy z innej opcji.

Kryzys zbożowy i protest transportowców pokazuje, jak trudne dla Polski może być członkostwo Ukrainy w Unii Europejskiej. Polska oczywiście wspiera aspiracje jej wschodniego sąsiada, choćby ze wspominanych powodów geostrategicznych, ale koszty integracji mogą być dla naszego kraju olbrzymie.

Niemcy również o tym wiedzą, dlatego chcą powiązać poszerzenie Unii z planem federalizacji. Jeżeli Polska będzie protestować, to droga Ukrainy do UE zostanie zablokowana, czego Kijów nigdy nam nie wybaczy. Jeżeli się zgodzimy, a po wyborach wszystko na to wskazuje, stracimy istotną część naszej suwerenności.

Nie ma się co łudzić, że władze w Kijowie kiedykolwiek zrozumiałyby polski sceptycyzm. Jak nie zrozumiały go nigdy wcześniej, tak i teraz będą domagać się od Polski najwyższej ofiary, którą jest nasza suwerenność. To również dlatego Zełenski postawił na Tuska, bo wiedział, że on prędzej podporządkuje się Unii niż PiS.

Po wybuchu wojny Polska chciała silnej Ukrainy jako partnera oraz skutecznej zapory w walce z Rosją. Ukraina jednak nie odwzajemniła się tym samym, bo nie zrozumiała, że istnienie silnej Polski leży w jej interesie. Wkrótce to pewnie zrozumie. Tyle że może być już na to za późno.

Fot. UA / Shutterstock

eprasa.pl 2da195ac22



Wojna ciężarówek



JAN ROKITA

Trwającej już miesiąc polsko-ukraińskiej „wojny ciężarówek” nie sposób ani pojąć, ani ocenić bez cofnięcia się o parę lat do jej kontekstu

Jest 25 sierpnia 2017 r., a więc nieco ponad sześć lat temu. Świeżo wybrany prezydent Francji Emmanuel Macron odbywa właśnie nietypową podróż polityczną po krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Cel objazdu jest jeden: prezydent chce wymusić na rządach tych krajów zerwanie dotychczasowej współpracy z Polską, gdy idzie o obronę jednolitego europejskiego rynku transportowego. Namawia, kusi i obiecuje złote góry tym, którzy w zbliżających się kluczowych rozstrzygnięciach unijnych poprą interes Francji, a nie Polski. Tamtego sierpniowego dnia jest w Warnie, gdzie z ówczesnymi przywódcami Bułgarii występuje na konferencji prasowej. I wypowiada z wyjątkową szczerością owo pamiętne zdanie: „Polska nie określa przyszłości Europy dziś i nie będzie jej również określać w przyszłości”. Następnego dnia nawet paryska prasa przyjmuje wystąpienie Macrona z dezaprobatą. Nieprzyjazna polskiemu rządowi lewicowa „Liberation” pisze: „To rzadki i brutalny atak na Warszawę”.

PRZECIW POLSKIM CIĘŻARÓWKOM

A to wszystko z powodu polskich ciężarówek, które w tamtym czasie królowały na europejskim rynku transportowym. Odkąd w Europie zniknęły sztuczne granice celne i protekcjonistyczne zapory, nasze firmy zaczęły wygrywać z konkurencją, oferując lepszy standard usług za niższą cenę. Oczywiście tak mogło się dziać tylko pod jednym warunkiem: że w Europie istnieje uczciwy rynek, na którym lepsi wygrywają, a gorsi muszą się jakoś dostosować. I to właśnie doprowadzało do furii stare francuskie i niemieckie firmy spedycyjne.

Szykany wobec polskich ciężarówek rozpoczęły się od Niemiec, jeszcze w roku 2014 r. od tzw. ustawy MiLoG, która z dnia na dzień narzuciła polskim firmom obowiązek płacenia kierowcom za czas przejazdu przez Niemcy według niemieckich stawek płacowych, a nadto pozwoliła policji na zatrzymywanie polskich ciężarówek, których kierowcy nie posiadali przy sobie stustronicowej dokumentacji, oczywiście w języku niemieckim, jedynym zrozumiałym dla tamtejszej policji. Lecz to był dopiero początek szykan przeciw uczciwie konkurującym polskim firmom.

Prawdziwą europejską kampanię przeciw polskim ciężarówkom rozpętał dopiero Macron w 2017 r. To on doprowadził do powstania szerokiej antypolskiej koalicji pod oszukańczym hasłem „dumpingu fiskalnego i socjalnego”. Szło mu o to, że skoro polskie firmy mają niższe koszty podatkowe i płacowe w swoim kraju, to na Zachodzie muszą za to zostać jakoś ukarane. Macron zaszantażował Europę Środkowo-Wschodnią i doprowadził do tego, że gdy w czerwcu 2018 r. Unia na żądanie Francji przyjmowała dyskryminacyjne dyrektywy, których celem było odebranie Polsce sukcesu w transporcie samochodowym, przy nas zostały tylko Węgry, Chorwacja, Łotwa i Litwa. Zbudowana wcześniej przez polski rząd koalicja załamała się wobec francuskiego natarcia.

Polsce nie udało się obronić jednolitego rynku usług, skądinąd zagwarantowanego traktatami europejskimi (nawiasem mówiąc, był to pierwszy moment, kiedy tak wyraźnie można było się zorientować, że traktaty będą w Europie ignorowane). Co prawda polskie ciężarówki przestały królować na europej-

eprasa.pl 2da195ac22



skich autostradach, lecz rynkowe fundamenty naszych firm były na tyle mocne, że nawet w wymuszonych warunkach nieuczciwej konkurencji powoli potrafiły się przystosować. Stratę poniesioną w UE do pewnego stopnia rekompensował im transport wschodni, w którym unijna granica sztucznie eliminowała konkurencję ze strony wschodnich sąsiadów. Towary z Rosji, Białorusi czy Ukrainy nadal jeździły więc na Zachód przeważnie polskimi ciężarówkami i tak samo w odwrotną stronę. Ale po zwycięstwie krwawego kijowskiego Majdanu także na Wschodzie sprawy zaczęły obracać się na niekorzyść interesów polskich spedytorów.

W 2016 r. weszła w życie umowa pomiędzy UE i Ukrainą o tzw. pogłębionej strefie wolnego handlu. Dokument, co warto pamiętać, okupiony krwią ofiar Majdanu i rosyjską agresją na Donbas i Krym. Za sprawą tej umowy obniżono cła, ułatwiono wymianę handlową i rozpoczął się proces przyjmowania europejskiego prawa gospodarczego przez Ukrainę. Oczywiście to państwo nie stało się częścią (i tak już fikcyjnego) jednolitego rynku usług, ale otworzono dla niej małe okienko dostępu do tego rynku. Ukraińskie ciężarówki zaczęły się pojawiać nie tylko na polskich drogach, lecz także na autostradach całej Europy, choć w sposób ściśle limitowany. Każdy ich wjazd na teren Unii wymagał bowiem uzyskania zezwolenia.

Wkrótce miało się okazać, że po uchyleniu części sztucznych blokad protekcjonistycznych handel ukraińsko-unijny rośnie jak na drożdżach. Gdy w Unii zorientowano się jednak, że po wypchnięciu z europejskiego rynku polskich ciężarówek wkrótce ów rynek może zostać zdominowany przez jeszcze bardziej konkurencyjne ciężarówki ukraińskie, Ukraińcom zaczęto wydawać coraz mniej pozwoleń na transport do krajów UE. Ukraiński biznes zaczął masowo kupować nowoczesne TIR-y i szykować się na wejście do Europy, co mu się jednak nie udawało, gdyż natknął się na barierę administracyjną. W żargonie prawniczym zwykło się w takich sytuacjach mówić o protekcjonistycznych „barierach pozataryfowych". Wymóg zezwolenia na wjazd jest najbardziej drastyczną formą takiej bariery: ot, dziś dostaniesz więcej pozwoleń, a jak jutro się gdzieś w Unii nie spodobasz, to ich dostaniesz mniej. I niczego nie możesz z tym zrobić.

Polskie firmy, podduszone przez Macrona, mogły być jednak zadowolone z takiego biegu zdarzeń. Skoro Ukraińcom w każdej chwili można było ograniczyć pozwolenia na wjazd do UE, to polskie ciężarówki dalej mogły hulać po Ukrainie, mając swobodę wwożenia do niej towarów unijnych i wywożenia towarów ukraińskich na Zachód. Że to był sztuczny przywilej – to dla każdego oczywiste. Lecz straty wynikające z konieczności przystosowania się do cudzej nieuczciwej konkurencji na Zachodzie można było chociaż po części zrekompensować sobie zyskami z własnej nieuczciwej konkurencji na Wschodzie. Macron zablokował polskie ciężarówki na szosach Niemiec, Francji, Włoch i Hiszpanii, za to my mogliśmy blokować Ukraińcom transport międzynarodowy na ich własnych drogach. I taki stan rzeczy trwał przez ponad sześć lat, aż do drugiej wielkiej inwazji na Ukrainę. A ściślej rzecz biorąc aż do nowego układu pomiędzy napadniętą Ukrainą i UE, zawartego w Lyonie w czerwcu 2022 r.

KONSEKWENCJE UKŁADU Z LYONU

Ten układ *de facto* otworzył jednolity rynek dla ciężarówek ukraińskich, likwidując sztuczne bariery i przywracając konkurencję. Polska, co ważne dla dalszego rozwoju zdarzeń, z entuzjazmem wspierała taką decyzję, premier Morawiecki nalegał nawet, aby Bruksela przyspieszyła kroki mające na celu ratowanie ukraińskiej gospodarki, której dochód narodowy w ciągu paru miesięcy runął o jedną trzecią. Ale w Polsce to był jeszcze czas heroiczny, kiedy sami z siebie byliśmy dumni, iż ratujemy sąsiada napadniętego przez odwiecznego wspólnego wroga, na szczytach polskiej polityki rojono zaś nawet bliżej niesprecyzowane marzenia o odnowie w przyszłości jakiejś „unii polsko-ukraińskiej", którą postulował obecny kandydat na ministra obrony Władysław Kosiniak-Kamysz. Układ z Lyonu miał najpierw obowiązywać tylko parę miesięcy, bo spodziewano się, że wojna skończy się w takim terminie. Ale gdy ta wojna nie tylko się nie kończyła, lecz przeciwnie, nasilała, prowadząc do zniszczenia ukraińskiej gospodarki, w marcu 2023 r. ustalenia układu przedłużono do czerwca 2024 r., nadal przy pełnym poparciu Polski i jednomyślności całej UE.

Wkrótce okazało się to, co musiało się okazać. Ukraińskie ciężarówki zaczęły powtarzać niegdysiejszy sukcesu polskich. Chociaż, co ważne, układ z Lyonu nie dał wcale ukraińskim spedytorom pełnych praw do wolnego konkurowania. W Europie nadal nie wolno im współzawodniczyć w dwóch podstawowych rodzajach transportu, przynoszących ogromne zyski: w tzw. kabotażu (czyli przewozie towarów wewnątrz któregokolwiek z krajów członkowskich UE) oraz tzw. cross-trade (czyli przewozie towarów pomiędzy dwoma krajami unijnymi). Mogą konkurować tylko na jednym, wydawałoby się, najbardziej oczywistym, polu: transportu towarów z Zachodu na Ukrainę i z Ukrainy na Zachód. W tej dziedzinie

Fot. Daniel Sztork/Shutterstock.com

eprasa.pl 2da195ac22

przestały bowiem obowiązywać zezwolenia na czas trwającej wojny. No i na tym polu ukraińskie ciężarówki rychło wygrały konkurencję, co legło u podstaw obecnej „wojny ciężarówek".

ESKALUJĄCY KONFLIKT

Miesiąc temu polskie ciężarówki zablokowały cztery przejścia graniczne, żądając przywrócenia zezwoleń dla ciężarówek ukraińskich. Uzasadnienie było proste: jak można było dopuścić do tego, żeby na granicy stosunek liczbowy polskich ciężarówek do ukraińskich spadł aż do poziomu 1:9! W każdym razie takie dane podają teraz organizatorzy blokad. Ukraińskie ciężarówki, próbujące przejechać przez Polskę zgodnie z regułami umowy lyońskiej, nagle stanęły przed polską granicą. Nieprzygotowani na to kierowcy znaleźli się w potrzasku, wiezione towary zaczęły niszczeć, a firmy liczyć straty grożące bankructwem.

Trudno się było spodziewać, że Ukraińcy nie znajdą sposobu na odwet. Jeszcze w maju 2023 r. na Ukrainie wprowadzono elektroniczny system rejestracji ciężarówek zgłaszających się do odprawy granicznej. Za pomocą owego systemu zręcznie wypchnięto z elektronicznej kolejki granicznej polskie ciężarówki, które po rozładowaniu na Ukrainie puste wracały do Polski (albo jechały dalej na zachód, po nowy towar). Gdy piszę ten tekst, liczba aresztowanych w ten sposób polskich ciężarówek przekroczyła 500. Czy można się dziwić Ukraińcom, że w odwecie zrobili nam taką sztuczkę? Nie można. Czy jest to objaw chorej ukraińskiej korupcji granicznej, za którą jeden z czołowych polityków PSL Marek Sawicki chce zablokować rozpoczęcie rozmów o przystąpienie Ukrainy do UE? Nie jest. A Sawicki sytuuje się w roli naczelnego polskiego ukrainożercy, co aż tak bardzo nie dziwi, zważywszy na tradycyjne zamiłowanie PSL do gospodarczej kooperacji z Rosją. Żeby wspomnieć tylko godne ubolewania układy premiera Pawlaka z Gazpromem, które w polskim interesie (o paradoksie!) korygowała potem Komisja Europejska pod wodzą Junckera.

Ponadto trzeba jeszcze zauważyć dwuznaczną postawę odchodzącego rządu Morawieckiego. To jasne, że wobec ogłaszanej przez osiem lat polityki polskiego gospodarczego egoizmu (nazywanego dla ładnego wyglądu „patriotyzmem gospodarczym") premier miał w tej sytuacji tylko dwa wyjścia. Mógł tradycyjnie napaść werbalnie na Unię, obiecać polskim firmom wszystko, czego żądają albo i wprowadzić z dnia na dzień (jak to zrobił wcześniej przy sprawie importu rolnego) administracyjne zezwolenia na wjazd ukraińskich ciężarówek do Polski. Że byłoby to złamanie traktatów, a Kijów podniósłby rwetes na cały świat? Owszem, tak by się stało, ale przynajmniej polskie firmy byłyby dumne ze swojego premiera. Ale, co charakterystyczne, upadający już rząd Morawieckiego tym razem przyjął inną strategię.

> Wkrótce okazało się to, co musiało się okazać. Ukraińskie ciężarówki zaczęły powtarzać niegdysiejszy sukces polskich ciężarówek

Otóż przez cały miesiąc eskalującego konfliktu rząd starał się umywać ręce i w zasadzie go nie dostrzegać. Co prawda kilkakrotnie odbyły się jakieś trójstronne spotkania pomiędzy urzędnikami unijnymi, polskimi i ukraińskimi z udziałem protestujących firm, lecz ani z nich nic nie wynikało, ani polski rząd nie naciskał na szybkie rozwiązanie problemu. To chowanie głowy w piasek można zresztą całkiem łatwo zrozumieć. Wiadomo przecież, że upadającemu rządowi, który właśnie przegrał wybory, nikt nie będzie czynić poważnych koncesji ani w Brukseli, ani w Kijowie. Morawiecki o tym wie, więc nie chce się wystawiać na sztych.

Lecz jest i drugi powód takiego postępowania: Morawiecki, angażując się w zaogniony konflikt, musiałby forsować interesy polskich firm. Ale przecież odchodzący polski premier doskonale zdaje sobie sprawę, że siłowa presja na ponowne wypchnięcie ukraińskich ciężarówek z ukraińskich dróg po to, by mogły tam wrócić polskie ciężarówki, jest obarczona polityczną i etyczną dwuznacznością. To przecież nic innego jak powtórka akcji Macrona przeciw polskim ciężarówkom, sprzeczna z wolnym handlem, jednolitym rynkiem, uczciwą konkurencją. I jeszcze używana wobec zaprzyjaźnionego kraju, który znajduje się w rosnącej opresji, bo już wie, że nie potrafi wyprzeć agresora ze swojego terytorium. Morawiecki postanowił nie odchodzić z etykietą ukrainożercy, więc wolał, trochę małodusznie, zastosować taktykę strusia. Powiem otwarcie, że go tu rozumiem i nie potępiam.

Skutki takiej decyzji jak w soczewce można było zobaczyć w toku środowej debaty, na którą marszałek Hołownia „zaprosił" Morawieckiego. Premier nie skorzystał jednak z zaproszenia, a na ostatnią prawdziwie doniosłą debatę sejmową za swej kadencji wysłał urzędnika Inspekcji Transportu Drogowego, którego poprzedniego dnia zrobił ministrem. Ów urzędnik, po raz pierwszy w życiu wystawiony nagle jako frontmen w wielkim politycznym konflikcie, w którym stawką jest geopolityka, wojna, interesy firm i polityka europejska, odczytał (i to myląc się ze zdenerwowania) jakąś urzędniczą informację o faktach, które wszyscy znają, kończąc konkluzją, że od polskiego rządu nic już nie zależy. Sprawa zezwoleń to bowiem kompetencja Komisji Europejskiej, a o włączeniu polskich ciężarówek do elektronicznej kolejki mogą zdecydować tylko Ukraińcy. Wypadło to fatalnie. Nie dziwota, że potem rozpoczęło się jednostronne walenie w rząd, na które oszołomieni posłowie PiS nie mieli żadnej odpowiedzi. Nie mieli, bo nie miał jej również ich gabinet. W poniedziałek 4 grudnia kryzys będzie omawiać Rada UE, a tydzień później powstanie w Warszawie nowy centrolewicowy rząd. To Tuska i UE czeka teraz żmudne zadanie doprowadzenia do zawieszenia broni w polsko-ukraińskiej „wojnie ciężarówek".

Reklama | 51/1023/F

eprasa.pl 2da195ac22

żabka

Własny biznes z doświadczonym partnerem?

MASZ TO JAK... W ŻABCE!

Od 25 lat na rynku



Otwórz sprawdzony biznes

zabka.pl/franczyza

eprasa.pl 2da195ac22

Rodzice nie będą się za mnie wstydzić



Fot. Facebook

Nie będę przepraszał, że wierzę w Boga i kieruję się systemem wartości. Ludzie mogą na mnie pluć, mogą mnie obrażać, mogą mnie atakować, ale nie zmienię się z tego powodu

Z Łukaszem Litewką, posłem Nowej Lewicy, rozmawia Dorota Łosiewicz

Czy psy z pańskich plakatów wyborczych znalazły domy?

Łukasz Litewka: Jeszcze podczas kampanii cztery z tych, które wystąpiły ze mną na banerach, znalazły dom. Dwa dni przed naszą rozmową dotarła do mnie wspaniała informacja, że kolejne dwa psy z plakatów znalazły swoich właścicieli. Cała akcja nie skończyła się wraz z kampanią, tylko informacje o psach szukających domu wciąż można było znaleźć w internecie. I jest kolejny sukces!

Skąd w ogóle pomysł, żeby robić kampanię z bezdomnymi psami?

Nie miałem ani billboardów, ani plakatów. Z nośników, które pojawiły się na mieście, miałem tylko banery. Projektując je, zauważyłem, że jest na nich bardzo dużo miejsca. Pomyślałem, że korona mi z głowy nie spadnie, jeśli przesunę się w lewo, a po prawej zostawię miejsce na coś fajnego. Zaraz za

eprasa.pl 2da195ac22

tym przyszła refleksja, że można by tę kampanię, skoro już trzeba ją prowadzić, wykorzystać na jakąś pożyteczną akcję, która przyniesie wymierną pomoc. A najlepiej umieścić tam tych, którzy już dawno powinni zostać wybrani, czyli psiaki ze schronisk. I to był strzał w dziesiątkę. Kampania się skończyła, a psy znalazły domy.

Kampania była skuteczna nie tylko w przypadku bezdomnych psów, lecz także w pańskim. Chyba nieco podpadł pan na starcie, osiągając w Sosnowcu z ostatniego miejsca wynik dwukrotnie lepszy niż lider partii Włodzimierz Czarzasty. To chyba nie tylko zasługa psiaków?

Przede wszystkim cieszy mnie, że w moim okręgu Lewica zdobyła aż dwa mandaty. To jedyny okręg w Polsce, gdzie doszło do takiej sytuacji. Mój wynik jest efektem ciężkiej pracy. Psy na banerach były fajnym pomysłem i jeszcze raz bym to powtórzył, ale na mój wynik największy wpływ miały lata systematycznej pracy, głównie bliskiego kontaktu z mieszkańcami. Ludzie mnie znają, mamy za sobą wiele wspólnych inicjatyw i akcji pomocowych. Numer na liście nie miał znaczenia. W moim przypadku wyborcy szli z pełną świadomością, na kogo chcą oddać głos.

Żałuje pan tego wyniku? Chyba na starcie więcej z nim problemów niż satysfakcji?

Bierze mnie pani pod włos [śmiech]. Nie żałuję. 40 tys. to świetny wynik, ale i ogromna odpowiedzialność. Powiem pani szczerze, że z liderem partii Włodzimierzem Czarzastym mam świetne relacje. Rozmawialiśmy o tym, pogratulowaliśmy sobie wzajemnie. W Lewicy nie ma złej krwi.

Mówi pan, że ten wynik to duża odpowiedzialność. Jaki pan ma pomysł na tę kadencję, co chce pan załatwić?

Podczas kampanii nie publikowałem swojego programu wyborczego i wiele osób mnie za to krytykowało. Gdybym chciał, mógłbym skopiować program ze strony Lewicy, wrzucić na swoje i nie byłoby problemu. Lecz ten zabieg był celowy. Chcieliśmy pokazać (mówię „my", myśląc Litewka Team), że można zrobić coś inaczej, że zamiast obiecywać, co zrobimy, można pokazać, co do tej pory zrobiliśmy. Dysponowaliśmy ogromnym kapitałem inicjatyw, które stworzyliśmy przez lata. Chcieliśmy pokazać, że to nie są czcze obietnice, tylko coś, co już się udało. Zaraz po wyborach opublikowałem program. Jest to program Lewicy, mam też swoje cztery zagadnienia, którymi chciałbym się zająć w X kadencji Sejmu. Po pierwsze, to prawa zwierząt, co wprost wynika z działalności mojego profilu. Jest to naturalne dla mnie i społeczności, którą zgromadziłem wokół siebie. Druga sprawa to Posiłek dla Seniora. Taki program pilotażowo odbył się w Dąbrowie Górniczej z wielkim sukcesem. Seniorzy otrzymywali bony na posiłki przygotowane przez dietetyków, więc były zdrowe. Poza tym zwiększyła się aktywność seniorów – mogli się poznać w restauracjach, wyjść do siebie, pobyć ze sobą. Chciałbym rozszerzyć tę inicjatywę na całą Polskę. Kolejna sprawa to Rower dla Ucznia. Skoro można było rozdawać tablety, to dlaczego nie szerzyć zdrowia i aktywności fizycznej, rozdając uczniom rowery na rozpoczęcie roku? Niech każdy z nich w miarę możliwości dojeżdża do szkoły rowerem, niech uprawia sport w wakacje. To samo zdrowie. W Polsce powstaje tak wiele ścieżek rowerowych, więc zacznijmy od najmłodszych. Czwarta sprawa, którą będę chciał się zająć, to jeszcze skuteczniejsza walka z alimenciarzami. Chciałbym zwiększenia uprawnień Państwowej Inspekcji Pracy. Alimenciarze często nie płacą, bowiem pracują na czarno. Gdyby PiP miała większe możliwości, ograniczylibyśmy ten proceder.

> Jeśli chodzi o aborcję, to usłyszałem, że jestem gorszy niż PiS. Tymczasem będę głosował jak moje koleżanki i koledzy z klubu. Podpisałem się pod dwoma lewicowymi projektami dotyczącymi aborcji

Zaraża pan optymizmem. Wygląda na to, że wszystko, czego się pan tknie, kończy się sukcesem. Mówi pan Litewka Team, lecz zgromadził pan wokół siebie setki tysięcy osób, które są w stanie uzbierać 8 mln zł na niefundowany lek, wyremontować pogorzelcom mieszkanie, dostarczyć do schronisk dla bezdomnych tysiące materaców albo zorganizować wyspecjalizowany wózek dla kobiety, którą spotkał pan podczas joggingu w parku. Wyliczam tylko niektóre inicjatywy, bo być może czytelnicy ich nie znają, a pan nieśmiało je wspomina. Lubi pan dokonywać niemożliwego?

To prawda, przez lata tych inicjatyw było bardzo dużo. Mam to wielkie szczęście, że o czym nie napiszę, za co się nie wezmę, wiem, że po drugiej stronie jest rzesza ludzi, którzy tylko czekają na to, by móc wesprzeć i promować kolejną inicjatywę. Przykro, że nie mogę pomóc wszystkim, często jest mi zwyczajnie smutno z tego powodu albo mam gorszy dzień. Lecz jednocześnie wiem, że udało się pomóc bardzo wielu osobom. Jestem pośrednikiem dobra, a ci, którzy borą udział w inicjatywach, są cichymi bohaterami.

Czy ta wrażliwość społeczna jest tym, co łączy pana z Lewicą?

Przez dwie kadencje byłem radnym miasta z ramienia Lewicy. W tej partii czuję się dobrze. Przede wszystkim jestem blisko ludzi, a kiedyś Lewica miała właśnie takie hasło. Jak słyszę, że nie jestem lewicowy, to odsyłam każdego na mój profil, żeby zobaczył, że pracuję dla ludzi. Nie wiem, czy jest drugi taki polityk, który jest tak blisko ludzi jak ja.

Zostańmy przy tej pana lewicowości. Zaczął pan od trzęsienia ziemi – mam na myśli wynik. Potem było tylko lepiej. Jako jedyny poseł Lewicy ślubował pan, wypowiadając zdanie: „Tak mi

eprasa.pl 2da195ac22



Fot. Facebook

dopomóż Bóg" i przyznał publicznie, że nie popiera aborcji na życzenie. To chyba nie ułatwia panu życia w klubie?

W klubie panuje świetna atmosfera. Rozmawiałem o tym z koleżankami i kolegami. Jeśli chodzi o słowa: „Tak mi dopomóż Bóg" – nie wstydzę i nie będę się wstydzić swojej wiary, nie odetnę się od wartości. Nie widzę nic złego w powołaniu się na Boga nawet w partii lewicowej. W niej każdy wierzy w to, co chce i nic nikomu do tego.

Podobno spełnił pan w ten sposób prośbę dziadka. To ważna postać w pana życiu?

Bardzo ważna. Rodzina jest dla mnie ważna. Dziadek niedawno skończył 88 lat, jest schorowany. Jednym z jego marzeń było to, żeby zobaczyć mnie w Sejmie. „Tak mi dopomóż Bóg" było dla niego ważne. Dla mnie też.

Jednak lewica, z którą się pan związał, chce m.in. rozdziału Kościoła i państwa, laicyzacji życia publicznego itd.

Jestem człowiekiem wierzącym, ale nie podoba mi się to, co się dzieje w Kościele, nie podobają się kolejne afery. Że Kościół ingeruje w życie państwa, a państwo w życie Kościoła. To powinny być rozdzielone sfery. Ale to nie ma nic wspólnego z wiarą i „Tak mi dopomóż Bóg" w niczym nie przeszkadza. Jeśli chodzi o aborcję, to usłyszałem, że jestem gorszy niż PiS. Tymczasem będę głosował jak moje koleżanki i koledzy z klubu. Podpisałem się pod dwoma lewicowymi projektami dotyczącymi aborcji.

Czyta pan komentarze na swój temat? Po ślubowaniu można było przeczytać: „Lewica to chyba wtoczyła konia trojańskiego do Sejmu"; „Piekło zamarzło. Lewicowcy chyba lekkiego szoku musieli doznać"; „Jak go do Lewicy wpuścili?" – pisali na Twitterze [dziś platforma X] internauci. Rusza to pana?

Raczej nie czytam i nie rusza mnie to. Wiem, jakim jestem człowiekiem, a ludzie, którzy to piszą, nie mają o tym pojęcia. Fajnie by było, gdyby ktoś w końcu docenił szczerość i mówienie tego, co się myśli, a nie tego, co wypada powiedzieć w danych okolicznościach. Słyszałem już, że powinienem być w Konfederacji, w PiS, w Trzeciej Drodze. Nigdzie się nie wybieram. Nie mam zamiaru. Muszę się tylko przyzwyczaić, że na tym poziomie, gdy jest się w Sejmie, nie ma zmiłuj, hejt z każdej strony będzie chlebem powszednim. Ale nie będę przepraszał, że wierzę w Boga i kieruję się systemem wartości. Ludzie mogą na mnie pluć, mogą mnie obrażać, mogą mnie atakować, ale nie zmienię się z tego powodu.

Gdy prosiłam pana o wywiad, powiedział pan, że lubi spokój. To po co panu właściwie ta polityka?

[Śmiech] To prawda, nie kłamałem. Po co mi polityka? Przyznam szczerze, że już kilkakrotnie wracając pociągiem z Warszawy do Sosnowca, zastanawiałem się nad tym. Patrzyłem na widok za oknem, na naszą piękną Polskę, piękny krajobraz i pytałem siebie: co ja właściwie zrobiłem? Gdy wysiadałem na sosnowieckiej ziemi, to dawno tak się nie cieszyłem jak po dwóch dniach spędzonych w Warszawie. Przyznaję, Sejm to inny świat. Tam nie ma zasad, panuje wolna amerykanka, nie wiem, czy jest miejsce na przyjaźń. Wszedłem do tej paszczy lwa, żeby zobaczyć, jak to jest. Ale jednego jestem pewien: rodzice mnie dobrze wychowali i nie będą się za mnie wstydzić. Pozostanę sobą. Myślę swoje i to się nie zmieni.

A co pana najbardziej zaskoczyło?

Chyba nie wszystko nadaje się do druku, ale najbardziej to wyczuwalna nienawiść, która panuje między ludźmi. Chyba tylko kamery i dobre maniery powstrzymują niektórych od rękoczynów. Nie mogłem też uwierzyć, gdy usłyszałem ministra Ziobrę, który na słowa: „Będziesz siedział", odpowiedział: „Mam nadzieję, że nie okażecie się fujarami". Nawet dopytywałem kolegów obok, czy te słowa faktycznie padły, czy mi się wydawało. Jak można na całą Polskę użyć takiego zwrotu? Usłyszałem, że to jeszcze nic. Jak to nic? Chyba bym się ze wstydu spalił, gdybym użył takiego języka.

Co pan lubi robić w wolnym czasie i jak pan dba o formę?

O! Ta forma to też powód wielu żartów, które ostatnio usłyszałem na swój temat. Lubię aktywność fizyczną, gram w piłkę nożną, chodzę na siłownię, czytam książki, oglądam seriale, spaceruję z psem. Po prostu żyję.

eprasa.pl 2da195ac22

W kilka minut straciła oszczędności życia.

JAK NIE DAĆ SIĘ OSZUKAĆ?

Na wnuczka, na policjanta, na wypadek, na wyjątkową okazję, na zwrot długu, na kuriera, na aktora z zagranicy. Oszuści zawsze są o krok przed policją i służbami, wymyślając nowe pomysły na kradzież. Dlatego tak ważne jest uświadamianie o zagrożeniach, jakie mogą nas spotkać każdego dnia. Szczególnie narażone na działania przestępców są osoby starsze, samotne czy nieporadne. Jak nie dać się oszukać? Co zrobić, jeśli padniemy ofiarą przestępstwa?

Wystarczyło dosłownie kilka minut, by pani Halina spod Warszawy straciła oszczędności swojego życia. Pewnego październikowego poranka zadzwonił do niej nieznany numer. Po drugiej stronie słuchawki odezwał się mężczyzna, który podał się za jej wnuczka. Poinformował „babcię", że dzwoni od kolegi, ponieważ chwilę wcześniej miał poważny wypadek i jego telefon uległ zniszczeniu. „Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale oba samochody są zupełnie zniszczone" – relacjonował w słuchawce roztrzęsiony „wnuczek". Poprosił przejętą emerytkę, by pożyczyła mu 50 tys. zł, mające pokryć koszty związane z wypadkiem. Kobieta, chcąc pomóc „wnuczkowi" zgodziła się na pożyczkę. Oszust poinformował, że pieniądze odbierze kolega, bo on sam musi zostać na miejscu zdarzenia.

Kilka minut później mężczyzna był w domu pani Haliny i odebrał od niej 50 tys. zł w gotówce. Dopiero kolejnego dnia, gdy „wnuczek" się nie odezwał, kobieta postanowiła zadzwonić do rodziny. Szybko okazało się, że nie było żadnego wypadku, a pieniądze trafiły w ręce przestępców.



JAK NIE DAĆ SIĘ OSZUSTOM?

Choć o podobnych przypadkach głośno jest od wielu lat, osoby starsze wciąż dają się nabrać i tracą w ten sposób oszczędności życia. Dlatego niezwykle ważne jest zapobieganie oraz uświadamianie o możliwych zagrożeniach. Porozmawiaj ze swoimi bliskimi, uprzedź rodziców, dziadków, sąsiadów o metodach działania oszustów. Specjaliści zwracają uwagę, że przestępcy najczęściej dzwonią i informują, że natychmiast potrzebują pieniędzy. Sposobów na wyłudzenie jest niezwykle dużo:

- na wnuczka – osoba, która dzwoni, podaje się za wnuczka i opowiada zmyśloną historię, zawsze prosi o natychmiastową pożyczkę;
- na policjanta – osoba, która dzwoni, podaje się za policjanta i przekonuje, że odbierający musi pomóc w akcji policji lub zatrzymaniu groźnego przestępcy i przekonuje, by oddać pieniądze w celu ich zabezpieczenia;
- na wypadek;
- na kuriera;
- na wyjątkową okazję;
- na zwrot długu;
- na aktora z zagranicy.

Jeżeli otrzymasz podejrzany telefon, zadzwoń do bliskich i opowiedz im o sprawie, nawet wtedy, gdy dzwoniący poprosi o zachowanie dyskrecji – taka sytuacja nie może być tajemnicą! Nie możesz się dodzwonić do rodziny lub bliskich? Zadzwoń na numer alarmowy i powiadom policję o zdarzeniu.

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI POMAGA OSOBOM POKRZYWDZONYM PRZESTĘPSTWEM

Jeżeli jesteś ofiarą lub świadkiem przemocy, nie bój się prosić o pomoc. Każde dziecko zasługuje na szczęśliwe i bezpieczne dzieciństwo, a każdy dorosły na spokojne i bezpieczne życie. Każdy pokrzywdzony przestępstwem, świadek oraz osoba im najbliższa mogą skorzystać z bezpłatnej pomocy w ramach Funduszu Sprawiedliwości. Jest ona udzielana w Lokalnych Punktach i Okręgowych Ośrodkach Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem, w całej Polsce funkcjonuje ich 305. Zajmują się tym specjaliści, którzy pomogą rozwiązać nawet najtrudniejsze sprawy – są wśród nich m.in. prawnicy, psychologowie, psychoterapeuci oraz psychiatrzy, doświadczeni także w pracy z dziećmi i młodzieżą. Placówkę blisko miejsca zamieszkania można znaleźć na stronie: https://www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/.

Do dyspozycji poszkodowanych jest także Całodobowa Linia Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem (222 309 900), adres e-mail: info@numersos.pl oraz specjalny czat online.

Nie bądź obojętny, reaguj na przemoc!
Nie bój się prosić o wsparcie!

Artykuł sponsorowany | 15/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22



Piękny umysł

Artur Baranowski, 28-latek ze Śliwnik, wykazał się wielką wiedzą w kultowym teleturnieju „Jeden z dziesięciu" i stał się bohaterem. „Dożyłem czasów, gdy człowiek skromny i inteligentny jest na ustach wszystkich Polaków. Oby więcej takich ludzi" – to jeden z wielu entuzjastycznych komentarzy, które zalały sieć po występie mieszkańca małej wsi w województwie łódzkim



GORAN ANDRIJANIĆ

Ośmiominutowy film, który TVP umieściła na swoim kanale YouTube, pobił rekordy oglądalności. W ciągu ok. siedmiu dni obejrzało go 2,5 mln osób.

Nie było to nagranie, na którym jakiś influencer wyjaśniał, co jadł tego dnia na śniadanie albo gdzie spędził sobotni wieczór. Na filmie można zobaczyć młodego człowieka, mieszkańca polskiej wsi, który w ciągu ośmiu minut wykazał się niespotykaną wiedzą encyklopedyczną.

Mowa oczywiście o Arturze Baranowskim i jego występie w kultowym teleturnieju Telewizji Polskiej „Jeden z dziesięciu". Ekonomista ze Śliwnik w 19. odcinku 140. serii teleturnieju w finałowym etapie odpowiedział na wszystkie pytania i zdobył 803 punkty. To rekord, który na zawsze zostanie zapisany w historii tego teleturnieju, emitowanego już od 1994 r. Jego występ jest naprawdę fascynujący, nawet dla tych, którzy nie przepadają za teleturniejami. W ciągu kilku minut Baranowski bez wahania odpowiedział na 40 pytań z najróżniejszych dziedzin. To prawda, że niektóre z nich nie były zbyt trudne (np. to, czy piosenkę „Let it Be" wykonują The Beatles czy The Rolling Stones), ale większość z nich jednak zmuszała do myślenia nawet dobrze wykształconą osobę.

„Mam wrażenie, że pańscy konkurenci trochę się nudzą, ale proszę bardzo" – powiedział Tadeusz Sznuk, legendarny prowadzący teleturniej, gdy Baranowski poinformował go, że znowu chce, aby to jemu zadać kolejne pytanie. Przeciwnikom nie pozostało nic innego niż stać i patrzeć, jak 28-latek pobija rekord programu i staje się jego legendą. „I to są wszystkie pytania jakie mogłem panu zadać. Pan Artur wygrał. Rekord, gratulacje!" – skomentował koniec serii pytań Sznuk.

JEDNYM SŁOWEM: GENIUSZ

Po emisji tego odcinka nastąpiła prawdziwa euforia, której bohaterem stał się mieszkaniec Śliwnik. Jego wizerunek nie schodził z pierwszych stron portali i gazet. Cała Polska komentowała jego występ. Mężczyzna

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 2da195ac22

został uznany za geniusza, a w mediach można było przeczytać komentarze psychologów, którzy przedstawiali swoje teorie na temat fascynującej wiedzy Baranowskiego. Część z nich twierdziła, że młody człowiek może być „sawantem". Sawant, jak to zdefiniował portal o zdrowiu Pacjenci.pl, jest „osobą w spektrum autyzmu, która wykazuje niebywałe zdolności umysłowe i umiejętności w konkretnej dziedzinie".

Inna część ekspertów próbowała uspokoić sytuację. „Nie próbujmy diagnozować tego człowieka; robienie tego za pośrednictwem telewizora jest błędem. Na pewno można mówić o jego fenomenalnej pamięci, na ekranie natomiast widziałem maksymalnie skupionego, skromnego i skrupulatnego człowieka, który starał się prawidłowo odpowiadać na zadawane pytania. Można tylko spekulować, czy na co dzień jest introwertykiem z charakterystycznymi dla takich ludzi »wysepkowymi zdolnościami«" – powiedział portalowi Pacjenci.pl dr Piotr Sulik, psycholog.

Rozmawialiśmy z jednym z uczestników teleturnieju, który pragnął zachować anonimowość. Był on obecny w studiu podczas bicia rekordu przez Baranowskiego. „Organizatorzy kręcą zwykle kilka odcinków na raz tego samego dnia. Baranowski wystąpił w odcinku przede mną, a ja czekałem, aż skończą się zdjęcia. Nagle, w trakcie nagrania, w studiu zrobiło się zamieszanie. Ktoś powiedział, że mody człowiek bije rekord w udzielaniu odpowiedzi na pytania. Wszyscy pracownicy studia rzucili się do monitorów. Ludzie byli naprawdę zdziwieni. Pytania te obejmowały szeroki obszar wiedzy i wydawało się niemożliwe, aby ktoś mógł odpowiedzieć na wszystkie. Później widziałem Baranowskiego na korytarzu. Wydawał się spokojny, ale trochę zamknięty w sobie" – mówi nam nasz rozmówca.

TEORIE SPISKOWE

Prawdziwe niespodzianki jednak dopiero miały się zacząć.

Po emisji „rekordowego" odcinka wszyscy z niecierpliwością czekali na finał, w którym ponownie wystąpić miał Baranowski. Tymczasem wydarzyło się coś niespodziewanego. W finale go zabrakło.

„Ogromnie żałujemy, że Pan Artur Baranowski nie pojawił się na nagraniu Wielkiego Finału. O swojej nieobecności poinformował nas telefonicznie w dniu nagrania. Wszyscy zawodnicy są informowani, że w przypadku niestawienia się na nagranie, tracą możliwość uczestnictwa w Wielkim Finale" – napisano w oświadczeniu, pod którym podpisała się Anna Brzywczy, prezes zarządu Euromedia TV, spółki produkującej teleturniej dla TVP.

Co się stało? Według wersji, która pojawiła się później w mediach, w drodze do Lublina, gdzie kręcono finał, Baranowskiemu zepsuł się samochód, przez co nie mógł na czas przybyć na zdjęcia. Niewielu wierzyło jednak w tę wersję wydarzeń. „Wersja z popsutym samochodem mnie również wydaje się mało prawdopodobna, ale nie wykluczam takiego rozwoju sytuacji – mówi nasz rozmówca. – Nie jest łatwo zorganizować finał, zebrać w jednym miejscu 10 osób z całej Polski. Jeśli ktoś nie dotrze na czas, jasne jest, że nie można z tego powodu opóźniać całego projektu. Jest to zatem możliwe. Istnieje teoria spiskowa, na co nie ma żadnych dowodów, według których zawodnik został po prostu wyrzucony z programu. Organizatorzy zdawali sobie sprawę, że taka osoba na pewno wygra i uznali to za nieuczciwe w stosunku do pozostałych uczestników. Nie twierdzę, że tak jest, ale istnieje też taka wersja wydarzeń".

Kolejną teorię spiskową można znaleźć w sieciach społecznościowych, według której Baranowski jakimś sposobem dotarł do pytań z programu i zapamiętał odpowiedzi na nie. Ponieważ nie znał jednak pytań z finału, postanowił go ominąć, aby nie narobić sobie wstydu. Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że to dość złośliwa teoria, stawiająca Baranowskiego w złym świetle.

Jest jeszcze jedna opinia, która nieco lepiej wyjaśnia przyczyny jego niestawienia się na finale. W czasach, gdy pisywały o nim wszystkie media, Baranowski musiał się mierzyć z niesamowitym zainteresowaniem opinii publicznej i dziennikarzy. Gdy ci, stojąc przed domem mężczyzny, nie doczekali się oświadczenia jego rodziny, zbierali zeznania sąsiadów, według których Baranowski „już w podstawówce pokazał, że jest niezwykle inteligentny".

Krótko skomentował całą historię ojciec Artura Piotr Baranowski, który powiedział mediom, że jest dumny z syna, ale i zaskoczony szumem medialnym stworzonym wokół niego. „Mieszkamy tu spokojnie, cicho. A tu nagle wszyscy chcą rozmawiać z synem. On nie ma na to siły, nie jest przygotowany. Nikt by tego nie wytrzymał, człowiek by zwariował" – powiedział Piotr Baranowski. Być może ta presja społeczna była dla introwertycznego Baranowskiego zbyt duża i postanowił po prostu ukryć się przed tym wszystkim?

Pytanie, czy mu się to uda.

PIENIĄDZE TO NIE WSZYSTKO

W mediach pojawiły się już spekulacje, że wystąpi w kolejnym popularnym teleturnieju – „Milionerzy", emitowanym w TVN. Niektóre media zacytowały jego przyjaciela, który temu zaprzeczał, wyjaśniając, że „Artur uważa, że zawarte tam pytania są głupie". Potem sam Baranowski musiał udać się do mediów i to dementować. Czy to oznacza, że mężczyzna jednak myśli o występie w programie, w którym nagroda pieniężna jest znacznie wyższa niż ta w teleturnieju TVP?

Nasz rozmówca, biorący udział w nagraniach „Jednego z dziesięciu", twierdzi, że udział w nim nie jest kwestią pieniędzy: „To jeden z bardziej inteligentnych programów tego typu, w którym udział nie polega na pokazywaniu odsłoniętych części ciała, ale na prawdziwej wiedzy. Ludzie oglądają ten program od lat. Poza tym prowadzący teleturniej to postać legendarna i wielu przychodzi do programu również po to, by spotkać się z Tadeuszem Sznukiem. Ktoś z rodziny Baranowskich też powiedział, że Artur chciał się z nim spotkać i dlatego się tam pojawił".

Zaskakujące na pewno było to, że w centrum zainteresowania mediów, przynajmniej przez chwilę, znalazł się ktoś, kto wyróżniał się wiedzą, a nie powierzchownością i umiejętnościami PR.

„Dożyłem czasów, gdy człowiek skromny i inteligentny jest na ustach wszystkich Polaków. Oby więcej takich ludzi". „W końcu idolem ludzi jest ktoś, kogo warto podziwiać". „Coś pożytecznego na YT. Mam dosyć tego youtubowego patostreamerstwa, ciągłego konsumpcjonizmu i tych głupich, wszechobecnych influenserów... Ukłon dla Pana i programu. Dzięki, że jesteście". To tylko niektóre komentarze, które pojawiły się w sieci pod nagraniem z Baranowskim.

Niektórzy twierdzą, że jego popularność wiąże się z tym, że media po prostu zdecydowały się narzucić jego historię. Może tak. Ważny jest jednak fakt, że opinia publiczna w dalszym ciągu dobrze reaguje na erudycję i wiedzę. To pokazuje, że w świecie dyktatury algorytmów te wartości nie zniknęły.

eprasa.pl 2da195ac22

Wygraliśmy z agenturą wpływu

Bartosz Kramek, Lyudmyla Kozlovska i Fundacja Otwarty Dialog próbowali zamknąć nam usta, a nawet puścić z torbami. Przed pięcioma laty skierowali do sądu prywatne akty oskarżenia przeciwko obu niżej podpisanym. Zabolał ich artykuł „Brudna kasa na polski Majdan" z 2018 r., obnażający ich powiązania i niejasne źródła finansowania. Przegrali, i to już prawomocnie



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

28 listopada br. Sąd Okręgowy Warszawa-Praga zakończył toczące się równolegle dwa procesy karne wytoczone przez ludzi Fundacji Otwarty Dialog. Były one próbą zakneblowania ust dziennikarzom ujawniającym szwindle „aktywistów". Miały też wywołać efekt mrożący wobec innych, dlatego domagano się gigantycznych kwot odszkodowania za rzekome zniesławienie. Od każdego z nas żądali po 300 tys. zł.

Niestety, proces odbywał się w trybie niejawnym, więc nie możemy szczegółowo opisać jego przebiegu ani nawet uzasadnienia wyroku wydanego przez sąd. A wyjątkowo interesujące byłoby upublicznienie metod, po jakie sięgali na sali rozpraw Bartosz Kramek oraz jego pełnomocnicy. Były one niegodziwe, bo oczerniano nieżyjące osoby, które w innych mediach publikowały artykuły bardzo niewygodne dla Otwartego Dialogu. Kozlovska nie pojawiła się na żadnej rozprawie, niemożliwe też okazało się jej przesłuchanie w trybie zdalnym.

Musimy zatem pozostać przy dość ogólnym stwierdzeniu, że sąd rozbił w pył zarzuty FOD i uznał, iż nasz artykuł w sferze faktografii opisywał prawdę, zaś stawiane przez nas tezy i wnioski były nie tylko uprawnione, lecz także niezbędne, bo opinia publiczna zasługiwała na informacje, czym dokładnie zajmuje się fundacja i kierujące nią polsko-ukraińskie małżeństwo oraz skąd pochodzą pieniądze na ich działalność.

NASZE ŚLEDZTWO

Tematem zajęliśmy się jeszcze w 2017 r., po tym, jak Bartosz Kramek wkroczył w politykę i opublikował swój manifest lipcowy, wzywający już w tytule: „Niech państwo stanie, wyłączmy rząd". Swoje postulaty opublikował na stronach fundacji, wciągając ją w działalność stricte polityczną. Podpisując się jako członek rady FOD, proponował wiele działań anarchistycznych i niemieszczących się w katalogu akceptowalnych w debacie publicznej. Wzywał m.in. do strajku generalnego nauczycieli oraz strajku sędziów (choć ci formalnie strajkować nie mogą), niepłacenia podatków (to już wprost formułowany postulat łamania prawa) czy do zakłócania miru domowego (poprzez protesty przed domami polityków, a zwłaszcza Jarosława Kaczyńskiego). Marzył mu się Majdan w Warszawie. Czy równie krwawy jak ten w Kijowie?

Gdy w sierpniu 2018 r. Lyudmyle Kozlovskiej odmówiono wjazdu do Polski, byliśmy już na końcu dziennikarskiego śledztwa, a państwowe służby tylko potwierdzały nasze ustalenia. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego wpisała jej nazwisko do Systemu Informacyjnego Schengen (co oznacza zakaz wjazdu na teren całej UE) z powodu stwarzanego przez nią zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa.

To zaś wiązało się z podejrzeniem nielegalnego finansowania fundacji. W trakcie pracy nad tekstem drobiazgowo prześledziliśmy działalność Kramka i Kozlovskiej, nagłą eksplozję ich popularności, dokumenty z KRS, sprawozdania finansowe, również materiały powstałe w innych państwach, w których działali mocodawcy FOD. Odbyliśmy też wiele spotkań. W efekcie dotarliśmy do informacji o kontrahentach należącej do Kramka spółki Silk Road. Poszliśmy tropem pieniędzy. Okazało się, że pajęczyna powiązań prowadzi do spółek z rajów podatkowych i zachodzi spore prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z praniem brudnych pieniędzy.

Przed publikacją zwróciliśmy się do Bartosza Kramka z pytaniami dotyczącymi najbardziej bulwersujących wątków. Nie odpowiedział i do dziś nie wyjaśnił,

eprasa.pl 2da195ac22



Lyudmyla Kozlovska i Bartosz Kramek

skąd pochodziły miliony, które jego spółka otrzymywała od firm krzaków.

OBRONA BOGATYCH

Sąd potwierdził, iż mieliśmy prawo napisać, że Fundacja Otwarty Dialog to platforma obrony postsowieckich oligarchów. Najgłośniejszym echem odbiły się zorganizowane przez Kozlovską i Kramka protesty w sprawie deportacji Muchtara Abliazowa, której domagały się władze Kazachstanu. Człowiek, którego FOD zaciekle broniła, zbiegł do Francji po tym, jak został oskarżony o miliardowe defraudacje z banku BTA, którym kierował. Od naszych informatorów dowiedzieliśmy się, że Abliazow wspierał fundację finansowo zarówno samodzielnie (Kramek i Kozlovska temu zaprzeczają), jak i przez podstawione osoby. To akurat potwierdza wpłata 20 tys. dol. od Leili Krapunowej, matki Ilii Krapunowa, który wziął ślub z Madiną Abliazową, córką Muchtara.

FOD broniła również przed ekstradycją z Austrii do Rosji Naila Maliutina, rosyjskiego biznesmena zamieszanego w wyprowadzenie setek milionów dolarów z państwowej spółki leasingowej FLC. W aferze, która miała przebieg w Rosji, Niemczech, Austrii i Hiszpanii, mieli mieć udział najwyżsi rangą rosyjscy politycy z Dmitrijem Miedwiediewem, Sergiejem Iwanowem, a nawet Władimirem Putinem. W tym przypadku do ekstradycji Maliutina jednak doszło.

Nie sposób wymienić wszystkich postsowieckich oligarchów, za którymi wstawiali się Kozlovska i Kramek z przyjaciółmi, ale nie można w tym miejscu pominąć powiązanego z rosyjskim establishmentem Wiaczesława Platona (vel Kobaliewa). Do 2016 r. był on większościowym udziałowcem mołdawskiego Moldindconbanku, którego rachunki służyły do wyprowadzana gigantycznych środków z mołdawskiego systemu finansowego. W 2017 r. sąd w Kiszyniowie skazał go na 18 lat więzienia za udział w procederze prania brudnych rosyjskich pieniędzy; do własnej kieszeni miał wziąć 50 mln dol. W październiku 2016 r. w Kijowie Lyudmyla Kozlovska przekonywała, że ekstradycja Platona z Ukrainy do Mołdawii była nielegalna.

Pod informacją o tym wydarzeniu na stronach fundacji podpisał się Bartosz Kramek. Adwokatem Platona była Ana Ursachi, mołdawska prawniczka blisko współpracująca z Fundacją Otwarty Dialog. Kilkakrotnie była w Polsce, z członkami FOD odwiedzała Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy, Parlament Europejski, uczestniczyła w konferencjach OBWE w Berlinie (2016) i Warszawie (2017). FOD stawał również w jej obronie jako rzekomo prześladowanej w Mołdawii. To nie koniec wątku mołdawskiego, wrócimy do niego za chwilę.

PIENIĄDZE Z RAJU

Jednym z najważniejszych darczyńców Otwartego Dialogu był również Petro Kozlovski (brat Ludmiły), który na konto fundacji wpłacał nawet milion dolarów rocznie. Siostra hojnego oligarchy (nie ma powodu, by go tak nie nazywać) twierdzi, że pieniądze pochodziły ze zbiórek albo należały do Petra, który miał się dorobić na interesach w rodzinnym Sewastopolu na Krymie. Przejął on gigantyczny zakład Majak, kiedyś produkujący oświetlenie dla branży okrętowej i właśnie ta działalność budzi nasze największe wątpliwości, bowiem wychodzi na to, że biznesmen zbił fortunę m.in. na produkcji oświetlenia dla objętego sankcjami rosyjskiego przemysłu okrętowego (stocznia marynarki wojennej w Kaliningradzie, stocznia okrętów atomowych w Siewierodwińsku, zakłady w Komsomolsku i Sankt Petersburgu). Mówimy tutaj o kontraktach wartych miliony rubli. To z tych pieniędzy była obficie wspierana Fundacja Otwarty Dialog.

Poza Kozlovskim największych wpłat na konto FOD dokonywali Lyudmyla Kozlovska, Bartosz Kramek i jego firma Silk Road. W ten sposób rysuje nam się system naczyń połączonych, wehikułu, który

Fot. East News

eprasa.pl 2da195ac22

polsko-ukraińskie małżeństwo stworzyło, by dobrze żyć i roztaczać nad sobą parasol dobroczynności. To nie przypadek, że nagłaśniana jest działalność fundacji, w którą przez lata angażowano wolontariuszy, pracowników oraz polityków różnych opcji, a zupełna cisza (aż do publikacji „Sieci" z sierpnia 2018 r.) miała panować nad biznesowym segmentem ich działalności. We wspomnianym tekście pytaliśmy więc o niejasne powiązania kontrahentów Silk Road. Sądy obu instancji przyznały nam rację – mieliśmy prawo zadawać pytania o pochodzenie majątku Kozlovskiej i Kramka, a wręcz naszym obowiązkiem było wskazywanie, że pochodzi on z podejrzanych źródeł.

Prawdą jest, że jeden z ważniejszych kontrahentów firmy Bartosza Kramka to Kariastra Project LP, zarejestrowana w Glasgow (wcześniej w Edynburgu) spółka, która przelała na konto Silk Road 3,2 mln zł (po przeliczeniu na złotówki wpłat w dolarach i euro). Ta firma nie miała nawet strony internetowej, numeru telefonu, nie wiadomo, czym się zajmowała. Znaliśmy tylko jej adres (są pod nim zarejestrowane setki innych firm).

Więcej wiemy o innej spółce z siedzibą w Szkocji. Stoppard Consulting LLP (istniała w latach 2010–2017) zasiliła konto Silk Road kwotą co najmniej 1,5 mln zł. Udziałowcami tego podmiotu były rejestrowane w rajach podatkowych: Erin Group Corp. (Belize), Carberry Investments Ltd. (Seszele), Wintor Associates Ltd. (Seszele), Maytree Overseas S.A. (Panama). Ta ostatnia pojawiła się w aferze Panama Papers, jej nazwę odnajdujemy w powiązaniach z całą siecią innych podejrzanych firm.

Wspomniane firmy z Seszeli wchodziły w skład spółek partnerskich Harwood United LLP, Harrogate Consulting LP i Rosslyn Trade LP. To moment, w którym należy wrócić do wątku mołdawskiego, bowiem właśnie te podmioty miały być elementami sieci przedsiębiorstw, za pomocą których z tamtejszego sektora bankowego wyprowadzono co najmniej 1 mld dol., stawiając państwo na krawędzi bankructwa. Ważną rolę w tej operacji miał odegrać wspomniany już Platon, ale mózgiem operacji miał być Ilan Shor, wówczas kierujący mołdawskim bankiem Banca de Economii (w wieku 27 lat). To jeden z najbogatszych Mołdawian, prezes klubu piłkarskiego Milsami Orhei (w 2015 r. zdobył on mistrzostwo kraju, jako pierwszy zespół spoza Kiszyniowa i Tyraspolu), prywatnie mąż rosyjskiej piosenkarki Jasmin. Shor został nawet osadzony w maju 2015 r. w areszcie domowym w związku z tymi podejrzeniami. Szybko został jednak zwolniony, by wziąć udział w wyborach na burmistrza miasta Orhei. Wygrał je, zdobywając 62 proc. głosów.

> W trakcie rozpraw poznaliśmy wiele więcej dokumentów z postępowań prokuratorskich oraz celno-skarbowych. Dały one sądowi ogromną wiedzę o podejrzanych interesach Kramka i Kozłowskiej. To sprawiło, że nasze wyroki uniewinniające zostały podtrzymane

Zdaniem Rumuńskiej Służby Wywiadowczej (SRI) Shor był powiązany z Rosją i reprezentował jej interesy w Kiszyniowie. Miał też pomóc wyprać ok. 20 mld dol. w latach 2012–2014, które z Rosji przez Mołdawię trafiły do spółek zarejestrowanych w rajach podatkowych i do Unii Europejskiej (przez państwa bałtyckie). Jak wykazało międzynarodowe śledztwo, prowadzone przez 61 dziennikarzy, część z tych pieniędzy trafiła do Polski (ok. 9 mln dol.), głośno było o dotacji (skromnej przy tej skali przekrętu) w wysokości 21 tys. zł dla Europejskiego Centrum Analiz Geopolitycznych Mateusza Piskorskiego (byłego polityka Samoobrony oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Rosji).

Jak się okazuje, część podmiotów wykorzystywanych do nielegalnego transferowania pieniędzy z Rosji była zarejestrowana pod tym samym adresem w Szkocji, co wspomniany kontrahent Kramka – Stoppard Consulting Ltd.

Przedstawione informacje zostały potwierdzone w trakcie naszych procesów w obu instancjach. Działając w interesie publicznym, mieliśmy prawo napisać o „fundacji finansowanej przez podejrzane spółki z rajów podatkowych" i „niejasnych kontaktach jej zarządu z oligarchami z postsowieckich republik". Jasne i zasadne stało się nasze pytanie: „Czy Fundacja Otwarty Dialog oraz kierujące nim polsko-ukraińskie małżeństwo to tylko agentura wpływu w rękach oligarchów z byłego ZSRS, czy coś więcej?".

To jednak nie wszystko, w trakcie rozpraw poznaliśmy o wiele więcej dokumentów z postępowań prokuratorskich oraz celno-skarbowych. Dały one sądowi ogromną wiedzę o podejrzanych interesach Kramka i Kozlovskiej. To sprawiło, że nasze wyroki uniewinniające zostały podtrzymane, a nas utwierdziło w przekonaniu, że praca, którą wykonaliśmy rzetelnie, była ważna z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Ta batalia sądowa trwała pięć lat, była wyczerpująca i obfitowała w potężne napięcia. Warto było jednak przejść tę drogę, a jedyne, czego żałujemy, to tego, że ze względu na wspomniane utajnienie przewodu sądowego nie możemy o tym wszystkim napisać ze szczegółami, które dla oskarżających nas osób okazały się po prostu nokautujące.



Cały tekst „Brudna kasa na polski Majdan" jest dostępny na portalu wPolityce.pl

eprasa.pl 2da195ac22

Spoiwem Rosji przyszłości będzie wojna

Kremlowi udało się narzucić społeczeństwu narrację, według której na Ukrainie Rosja toczy walkę z NATO i nie może jej przegrać bez katastrofalnych dla siebie następstw, dlatego należy być przygotowanym na długą, wieloletnią batalię



MAREK BUDZISZ

„Nie może być społeczeństwa bez ideologii" – powiedział w czasie jednej z niedawnych konferencji Aleksandr Bastrykin, przewodniczący Komitetu Śledczego rosyjskiej Prokuratury Generalnej, i zaproponował wprowadzenie stosownych zmian w konstytucji, w której od czasów Jelcyna znajduje się zapis o tym, że Federacja Rosyjska nie ma ideologii państwowej. Na tego rodzaju propozycję odpowiedział Andriej Kliszas, główny konstytucjonalista obozu władzy, który przygotował m.in. ostatnią nowelizację rosyjskiej konstytucji, umożliwiającą sprawowanie w praktyce dożywotniej władzy przez Putina. Napisał, że ustawa zasadnicza to „nie jest pomnik" i jeśli społeczeństwo opowiada się za takimi zmianami, można je będzie wprowadzić. Zdaniem obserwatorów sytuacji w Rosji mamy właśnie do czynienia nie tylko ze świadomym kształtowaniem przez władze „ideologii państwowej", określanej potocznie mianem „putinizmu", ale może nawet wręcz z powstawaniem nowej Rosji, państwa, w którym zmieni się wszystko, lecz przede wszystkim to, jak społeczeństwo postrzega swą przyszłość. Zarysy tej „nowej Rosji" już obecnie można starać się odczytać na podstawie badań opinii publicznej, deklaracji przedstawicieli władzy czy wystąpień intelektualistów. Nie jest to obraz sympatyczny czy skłaniający do optymistycznego patrzenia w przyszłość.



Fot. Degtyaryov Andrey/Shutterstock

eprasa.pl 2da195ac22

SPOŁECZEŃSTWO ZA WOJNĄ

I tak Denis Wołokow oraz Andriej Kolesnikow, socjologowie i specjaliści przez lata badający nastawienie rosyjskiej opinii publicznej, w swym ostatnim studium piszą o tym, że wojna doprowadziła do wykrystalizowania się znaczącego, bo skupiającego ok. 75 proc. Rosjan, obozu wspierającego władzę. W specjalnym raporcie napisanym przez nich dla Centrum Carnegie, w którym wzięli pod uwagę zarówno sondaże, jak i bardziej pogłębione badania fokusowe, napisali, że umowna „partia wojny" (grupa zwolenników wojny do końca, skłonnych usprawiedliwić każde bestialstwo) w rosyjskim społeczeństwie może być oceniana na 26 proc. 46 proc. Rosjan chce kontynuowania wojny, a pozostali popierają władzę i chwalą każdą decyzję Putina, wychodząc z założenia, że „prezydent wie lepiej". Kremlowi udało się narzucić społeczeństwu narrację, według której na Ukrainie Rosja toczy walkę z NATO i nie może jej przegrać bez katastrofalnych następstw dla siebie, dlatego należy być przygotowanym na długą, wieloletnią batalię. Przeciwników wojny jest w Rosji ok. 20 proc., ale nie mają oni zamiaru, jak piszą Wołkow i Kolesnikow, protestować. Władzy udało się opanować sytuację, społeczeństwo nauczyło się żyć w nowych realiach i nie ma co się spodziewać znaczących antyrządowych wystąpień.

PATRIOTYCZNA I ZMILITARYZOWANA EDUKACJA

Eksperci think tanku CSIS, którzy napisali specjalny raport na temat ewolucji rosyjskiego reżimu, zwracają uwagę na rozpoczęte w tym roku zmiany w systemie edukacji i wychowania młodzieży. Ma być ono teraz bardziej patriotyczne, bardziej zmilitaryzowane i przesiąknięte przekonaniem, iż Rosja jest oddzielną, znienawidzoną przez Zachód cywilizacją. Ministerstwo edukacji przyjęło koncepcję ujednolicenia tego, jak uczy się historii w rosyjskich szkołach podstawowych i na wyższych uczelniach. Po raz pierwszy od czasów ZSRR wprowadza się jeden obowiązujący podręcznik, autorstwa Władimira Medinskiego, byłego ministra kultury i ulubionego historyka Putina. Władze wydały nakaz, aby na początku każdego tygodnia w rosyjskich szkołach odbywały się uroczyste „patriotyczne" apele, połączone z wciąganiem flagi na maszt. W całym kraju zbudowano już 24 „parki historyczne", w których zabawa ma być połączona z wykładem miłej władzy narracji o rosyjskiej historii. Nie ma w niej wiele miejsca na opisywanie zbrodni stalinowskich, zresztą stowarzyszenie Memoriał, które przypominało czarne strony historii ZSRR, zostało uznane za „obcego agenta", a Stalina traktuje się już niemal wyłącznie w kategoriach twórcy wielkości rosyjskiego państwa. Za przyzwoleniem władz w proces edukacji i wychowania rosyjskiej młodzieży włączają się armia i organizacje paramilitarne. Nie chodzi tylko o to, że od 1 września wszystkie rosyjskie szkoły średnie mają uczyć, jak pilotować drony bojowe, ale w systemie edukacyjnym rośnie też aktywność organizacji Kozaków i rozmaitych grup nawołujących do wzmożenia wysiłków wojennych. Władza nie żałuje na to środków, bo budżet przeznaczony na „patriotyczne wychowanie młodzieży" wzrósł w tym roku sześciokrotnie, z 6,5 do niemal 40 mld rubli. W oficjalnych rejestrach Kozaków w całej Rosji jest już 750 tys. ludzi, a ich aktywność uzupełnia 26 tys. sprawdzonych i dopuszczonych do działania przez Gwardię Narodową klubów walki kultywujących rosyjskie tradycje patriotyczne.

> Suwerenność jest rozumiana przez rosyjskie elity w kategoriach zdolności i determinacji w użyciu siły, w tym wojskowej, dla realizacji swoich interesów

Niektóre z nich, takie jak choćby kluby kibica, wystawiają własne bataliony, uczestniczące w wojnie na Ukrainie. Do Espanioli, do której zaciągnęli się kibice petersburskiego Zenitu czy moskiewskiej CSKA przyjmowane są również kobiety, z których ma zostać docelowo utworzona specjalna grupa uderzeniowa. Inne, takie jak finansowana przez Gazprom grupa Reduta, również rekrutują do swych szeregów panie, służące jako operatorzy dronów czy strzelcy wyborowi.

LICZY SIĘ SIŁA

Militaryzacja rosyjskiego społeczeństwa nie jest związana wyłącznie z uczestnictwem Rosji w wojnie. W przyszłości siły zbrojne mają w państwie moskiewskim odgrywać jeszcze większą rolę niż obecnie. Eksperci Klubu Wałdajskiego w specjalnym raporcie, podsumowującym lekcję wojny z Ukrainą, napisali o „powrocie wielkich armii", a kurs na militaryzację w wymiarze społecznym wzmacniają już podjęte decyzje. Rosja nie tylko tworzy dwa nowe okręgi wojskowe, lecz także chce mieć po zakończeniu wojny armię liczącą 1,5 mln ludzi oraz przemysł pracujący na jej potrzeby. Dla przypomnienia – stan kadrowy rosyjskich sił zbrojnych przed wybuchem wojny liczył 900 tys. żołnierzy i oficerów, choć niektórzy analitycy, tacy jak Paweł Luzin, dziś na emigracji, byli przekonani, iż realna wielkość armii nie odpowiadała deklaracjom władz.

Siły zbrojne mają być rozbudowane, a społeczeństwo postawione pod bronią, bo Rosja przyszłości nie będzie państwem pokojowym. Wręcz przeciwnie. Suwerenność jest rozumiana przez rosyjskie elity w kategoriach zdolności i determinacji w użyciu siły, także wojskowej, dla realizacji swoich interesów. Siergiej Riabkow, rosyjski wiceminister spraw zagranicznych, w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Izwiestia" pod koniec listopada, powiedział nawet, że w nowych realiach Moskwa nie zadowoli się geostrategicznymi celami, które Putin nakreślił w tzw. propozycjach traktatów z grudnia 2021 r. (Rosja domagała się w nich wycofania sił NATO z państw Europy Środkowej). Teraz Moskwa będzie grała o większe stawki, choć Riabkow nie sprecyzował, jakie dokładnie zadania stawia sobie Kreml. Jeśli chodzi o Ukrainę, to cele specjalnej operacji wojennej nie uległy zmianie, co rosyjski wiceminister skwapliwie zaznaczył. W przypadku Polski też mamy jasność. Kilka tygodni temu Dmitrij Miedwiediew, były rosyjski prezydent, obecnie wiceszef Rady Bezpieczeństwa, zapowiedział, że Rosja będzie traktowała

eprasa.pl 2da195ac22

nas w kategoriach „historycznego wroga" i dążyła do ograniczenia naszych możliwości oraz powstrzymania planów umocnienia NATO w Europie Środkowej.

Nikołaj Patruszew, sekretarz Rady Bezpieczeństwa, uznawany przez wielu ekspertów za drugą po Putinie osobę w Federacji Rosyjskiej, w wielu ostatnich wystąpieniach publicznych wzywa do całkowitego przestawienia rosyjskiej gospodarki na potrzeby produkcji wojennej, a Dmitri Stefanowicz i Aleksandr Ermakow, eksperci Klubu Wałdajskiego, w specjalnej ekspertyzie postulują zacieśnienie współpracy przemysłów obronnych Rosji, Korei Płn., Iranu, a docelowo również Chin.

W polityce zagranicznej Rosja przyszłości nie tylko nadal ma być państwem rewizjonistycznym, chcącym odwoływać się do swego potencjału militarnego, lecz także aktywnie budującym sojusz krajów, przez niektórych amerykańskich ekspertów określanych mianem „nowej osi zła".

POD SPECJALNYM NADZOREM

W relacjach wewnętrznych nie ma co liczyć na złagodzenie kursu. Wręcz przeciwnie. Już obecnie liczba obywateli represjonowanych za poglądy przekroczyła wskaźniki z czasów ZSRR, a planuje się wprowadzenie systemu inwigilacji przypominającego rozwiązania chińskie. Władze Moskwy poinformowały właśnie o zwiększeniu o 146 proc. środków, które w przyszłym roku mają być wydane na budowę systemu kamer, mających stworzyć jedną sieć nadzoru, zaopatrzoną w elektroniczny system rozpoznawania twarzy. W rosyjskiej stolicy realizowany jest bowiem program „Bezpieczne miasto", który przewiduje nie tylko uruchomienie 200 tys. kamer śledzących każdy ruch mieszkańców, lecz także znaczące zwiększenie liczebności sił policyjnych i porządkowych. W ciągu dwóch lat wydatki na ten cel tylko w rosyjskiej stolicy wzrosły o 100 proc. i w 2024 r. wyniosą ponad 100 mld rubli, czyli więcej niż 1 mld dol. W całej Rosji działa już 500 tys. kamer elektronicznego nadzoru, ale do śledzenia obywateli zostały włączone też banki, bo o tego rodzaju aktywność mają być „wzbogacone" ich elektroniczne aplikacje, a także alternatywne do Ubera czy Bolta rosyjskie platformy zmawiania taksówek.

Władze dążą do wprowadzenia utrudnień dla chcących wyjechać z kraju. Ci, którzy nie mogą tego zrobić w świetle prawa, np. mający nieopłacone grzywny sądowe czy znajdujący się w grupie objętej poborem, w świetle ostatnich propozycji mają mieć zabrane paszporty. Każdy, kto wjeżdża do Rosji, będzie musiał – w myśl ostatnich propozycji – wypełnić specjalną „deklarację lojalności", w tym zobowiązać się, że nawet w rozmowach prywatnych nie będzie przedstawiał innej niż obowiązująca historii wojny ojczyźnianej czy krytykował Kremla za „specjalną operację" na Ukrainie.

Od kilkunastu tygodni w Rosji można też zaobserwować nowy trend. Władze wielu regionów zaczynają wprowadzać utrudnienia dla prywatnych klinik realizujących zabiegi przerywania ciąży. Jest to nie tylko ciepło przyjmowany przez władze zwrot w stronę „tradycyjnych wartości", lecz także przede wszystkim działania motywowane troską o to, aby „russkij mir" nie ulegał w przyszłości zmniejszeniu. Do tego sposobu myślenia odwołał się zresztą niedawno sam Władimir Putin w trakcie spotkania z liderami organizacji Światowy Sobór Rosyjski. Wspominając, że w przeszłości rosyjska rodzina miała po siedmioro, ośmioro dzieci, powiedział, że należy wrócić do tego modelu. Większą rolę w kształtowaniu „Rosjanina przyszłości" w procesie wychowania i edukowania młodego pokolenia winna, w świetle deklaracji Putina, odegrać Cerkiew i armia, harmonijnie łącząc tradycyjne wartości z miłością do sił zbrojnych i patriotyzmem.

> Kilka tygodni temu Dmitrij Miedwiediew, były rosyjski prezydent, obecnie wiceszef Rady Bezpieczeństwa, zapowiedział, że Rosja będzie traktowała Polskę w kategoriach „historycznego wroga" i dążyła do ograniczenia naszych możliwości oraz powstrzymania planów umocnienia NATO w Europie Środkowej

Rosyjscy intelektualiści w rodzaju Borysa Mežujewa mówią wręcz o budowaniu tradycyjnego rosyjskiego konserwatyzmu, w którym reaktywowana miałaby zostać triada pochodząca jeszcze z czasów Mikołaja I – prawosławie, samodzierżawie, ludowość (narodnost). W nowoczesnym wydaniu samodzierżawie miałoby być uznaniem dla autorytarnej władzy Putina i jego następców, bo w świetle tej teorii ani obywatele Rosji nie pragną demokracji, ani nie jest ona możliwa w państwach tej wielkości. Z kolei narodnost należałoby tłumaczyć w kategoriach przyjęcia ideologii państwowej, łączącej elity i naród. Jej głównym elementem miałoby się stać przekonanie o wyjątkowości Rosji, konieczności walki o jej interesy, na które dybie wraży Zachód i potrzebie rozbudowania siły wojskowej, której rola będzie rosła.

Rosyjscy eksperci w rodzaju Sergieja Karaganowa mówią też o pozytywnym zjawisku, które ich zdaniem polega na „unarodowieniu elity". W świetle tej narracji wojna postawiła wszystkich przed koniecznością dokonania wyboru – Rosja albo Zachód. Niektórzy z oligarchów oraz przedstawicieli świata nauki i kultury wyemigrowali, ale ci, którzy zostali będą budowali twierdzę Rosja, państwo zdolne nie tylko do prowadzenia długiej wojny na Ukrainie, lecz także takie, którego elity i społeczeństwo w wojnie będą upatrywały naturalnego porządku rzeczy. Dzięki wojnie Rosja będzie się rozwijać, konsolidować i troszczyć o przyszłość następnych pokoleń. Wojna już doprowadziła do bardziej sprawiedliwego podziału dochodu narodowego i to ona ma dać Rosji przyszłość. Rosja przyszłości będzie państwem zorganizowanym wokół idei wojny, zarówno wewnętrznej z „obcymi agentami", jak i przede wszystkim z wrogami zewnętrznymi, stojącymi na jej drodze do wielkości. Obok Ukrainy i Stanów Zjednoczonych Polska jest, jak się wydaje, w pierwszej trójce państw postrzeganych przez rosyjskie elity w kategorii egzystencjalnego przeciwnika.

eprasa.pl 2da195ac22



Separatyzm to rewolucja bogatych



Wyobraźcie sobie, że Śląsk podejmuje decyzję o opuszczeniu Polski w wyniku „demokratycznego referendum", lecz zorganizowanego tylko w tym regionie, bo Polacy z reszty kraju nie mieliby prawa opowiedzieć się przy urnie, czy chcą Polski bez Śląska. Pozwolilibyście na to, aby za pieniądze wszystkich Polaków ogłosili się jednostronnie „Republiką Śląską" wbrew konstytucji RP? Nie sądzę

Z Jesúsem Laínzem, hiszpańskim prawnikiem, publicystą, autorem książek historycznych i stałym felietonistą w „Libertad Digital", rozmawia Małgorzata Wołczyk

Mówią, że Hiszpania prześladuje Katalończyków, którzy szukają swojej dziejowej szansy na wyzwolenie od imperializmu hiszpańskiego.

Jesús Laínz: Jest w tym tyle samo prawdy co w stwierdzeniu, że Anglicy chcą wyzwolić się od szkockiego imperializmu. Propaganda żywi się ignorancją ludzi, a tę można leczyć tylko wiedzą, zwłaszcza że historia *magistra vitae est*. Katalończycy tak jak inni Hiszpanie uczestniczyli we wszystkich historycznych przedsięwzięciach narodowych: w rekonkwiście, odkryciu i zarządzeniu Ameryką, mieli swój udział w armiach imperialnych. Czy elegancka Barcelona, pełna przepychu, wygląda jak stolica uciskanego narodu? Miała generałów, admirałów i wicekrólów, cieszyła się uprzywilejowaną pozycją gospodarczą. Gdzie tu ucisk?

Madryt wiele stracił wizerunkowo podczas zamieszek w 2017 r. w Barcelonie. W świat poszedł przekaz o biciu Katalończyków.

Wyobraźcie sobie zatem, że Śląsk nagle podejmuje decyzję o opuszczeniu Polski w wyniku „demokratycznego referendum", lecz zorganizowanego tylko w tym regionie, bo Polacy z reszty kraju nie mieliby prawa opowiedzieć się przy urnie, czy chcą Polski bez Śląska. Pozwolilibyście na to, aby za pieniądze wszystkich Polaków ogłosili się jednostronnie „Republiką Śląską" wbrew konstytucji RP? Nie sądzę.

Co ważne, policja nikogo nie atakowała. Po prostu zapobiegła ustawianiu nielegalnych urn wyborczych w nielegalnym głosowaniu. Policjanci byli opluwani, bici przez separatystów, lecz w świat poszedł zafałszowany obraz. Jak przyznało później kilku liderów separatystów: „Zamach

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 2da195ac22

stanu nie zakończył się sukcesem, ponieważ nie udało się doprowadzić do niczyjej śmierci". Szukali prowokacji i ofiar, ale na szczęście im się nie udało.

Nasze katolickie kraje zawsze mogły liczyć na oczernianie ze strony propagandy protestanckiej. Lecz Katalonia też posługuje się skuteczną propagandą, również w Polsce. Nawet produkują filmy na temat swoich królów, kultury i języka.

Liderzy ruchu niepodległościowego robią, co mogą, by przekonać świat do swojej chimery. Katalonia nigdy nie miała królów, ponieważ nigdy nie była królestwem. Domniemani władcy byli po prostu królami Aragonii, której częścią były hrabstwa katalońskie. A nawet gdyby istniało królestwo katalońskie, cóż to zmienia? Czy w XXI w. mamy zmieniać granice i przyznawać prawo do secesji z powodu istnienia w odległej przeszłości? Czy ktoś wyobraża sobie dzisiaj prawo Bawarii lub Lombardii do secesji? Jednocześnie triumf katalońskich separatystów oznaczałby w całej Europie falę separatystycznych żądań opartych właśnie na istnieniu języka czy dawniej królestwa. Polacy to chyba rozumieją i nie są zainteresowani rewizjonizmem.

Katalończycy są bardzo widoczni na rynku książki i dlatego powstaje złudzenie, że odrębny język to powód do roszczeń niepodległościowych.

Owszem, w Katalonii od wielu stuleci mówi się dwoma językami, ale w Hiszpanii mówi się wieloma. We Francji czy Włoszech też istnieją języki regionalne. Dlaczego z faktu istnienia języka mamy więc wyciągać konsekwencje polityczne? Czy skoro na świecie istnieje 7 tys. języków, to trzeba wyodrębnić tyle samo krajów?

> Separatyści uważają, że można być katalońskim Arabem, katalońskim Pakistańczykiem, ale nie można być katalońskim Hiszpanem. Mają problem psychologiczny, ojkofobię

Dlaczego więc Hiszpania jest tak bezradna wobec propagandy separatystów?

Katalonia stworzyła istną machinę propagandową, czemu różne rządy w Madrycie przyglądały się bezczynnie – ze strachu, aby uniknąć oskarżenia o frankizm. To ważny fakt, który być może trudno zrozumieć za granicą: skoro antyfrankizm (walka z wyimaginowanym faszyzmem) jest mitem założycielskim obecnego reżimu, wszystko, czego bronił Franco, zostaje automatycznie skażone, łącznie z samym istnieniem narodu hiszpańskiego. I odwrotnie: wszyscy, którzy sprzeciwiali się Franco, automatycznie są herosami, w tym katalońscy spiskowcy zamachu stanu i baskijscy terroryści. Przekleństwa płynące z tzw. myśli postępowej spadną na każdego, kto odważy się bronić istnienia Hiszpanii w obliczu szaleństw separatyzmu. Obecnie jest wielu Hiszpanów, którzy utożsamiając Hiszpanię z gen. Franco, odrzucają swój naród, jakby był „wynalazkiem" generała. Zupełnie jakby był skazany na wieczne reprezentowanie jednego momentu historii. I w tej awersji do ojczyzny separatyści mają niezrównanego sojusznika – hiszpańską lewicę.

Tu dochodzimy do sedna sprawy: ustawy o amnestii dla separatystów, która wyprowadziła niedawno miliony Hiszpanów na ulice.

Tak. Lewica ma antyhiszpańską fobię, dlatego socjaliści i komuniści sprzymierzyli się z separatystami, by zniszczyć Hiszpanię.

Chyba wreszcie dzięki panu Polacy zrozumieli, na czym polega perwersja tego paktu o amnestii. A jeśli mówimy o Polakach, to niewielu nie uroni łzy, słysząc pierwowzór „Murów", tzn. „L'Estacę".

To jakaś kiepska ironia losu, że pieśń komunisty Lluísa Llacha stała się polskim hymnem antykomunistycznym. Fakt, że to właśnie ona każe bić polskim sercom w rytm solidarności z Katalonią, jest niedorzeczne. Tak się składa, że nie ma nikogo, kto by śpiewał o ucisku separatystów wobec większości Katalończyków, którzy nie chcą opuścić Hiszpanii. 900 cywilów zamordowanych przez baskijskich separatystów ETA też nie doczekało się barda z chwytliwą melodią. Polacy nie mają pojęcia o oczywistym fakcie: w Katalonii dyskryminowane są osoby mówiące w języku ojczystym, czyli po hiszpańsku, a nie po katalońsku. Niekonstytucyjna eliminacja hiszpańskiego w Katalonii powoduje dyskryminację większości hiszpańskojęzycznej: pierwsza czystka językowa na początku lat 80. polegała na odejściu 14 tys. hiszpańskojęzycznych nauczycieli, których zastąpiono agitatorami separatyzmu. Łatwo sprawdzić, że hiszpańskojęzyczni rodzice, domagający się dla dzieci prawa do lekcji w języku ojczystym, są prześladowani. Nie wspominając już o turystach – wielu z nich rozumie hiszpański, ale zmusza się ich do orientowania się w regionalnym, niepojętym dla nich języku.

Sporo tu miesza FC Barcelona ze swoim mottem „Més que un club" („Więcej niż klub").

Nieprzypadkiem słynny komunistyczny pisarz Vázquez Montalbán nazwał tę ekipę „armią rozbrojonego kraju", która za każdym razem, gdy pokonuje Real Madryt, mści się za rzekomą „klęskę Katalonii z 1714 r.". Totalitaryzm jest elementem wspólnym dla komunizmu i katalońskiego separatyzmu, wykorzystuje religię, kulturę i sport w swoim celu.

Skąd właściwie wzięło się to szaleństwo nienawiści do Hiszpanii? W Polsce też mamy ojkofobów.

Narodziło się wraz z utratą ostatnich prowincji zamorskich – Kuby i Filipin w XIX w. Znaczna część katalońskiej

eprasa.pl 2da195ac22

burżuazji uznała, że można już oddzielić się od kraju, bo pozostawanie jego częścią przestało być zyskowne. Niektórzy z nich rozpoczęli sianie nienawiści i pogardy wobec reszty Hiszpanów, jakoby mniej oświeconych od Katalończyków. To zaostrzyło wojnę domową (1936–1939), w której sojusz lewicowo-separatystyczny został pokonany przez stronę narodową pod dowództwem gen. Franco. Wykorzystuję tę wzmiankę o wojnie, aby lepiej wyjaśnić mit antyfrankistowski, o którym wspomniałem wcześniej. Bo istotą tego mitu jest *reductio ad Hitlerum*. Ponieważ hitlerowskie Niemcy i faszystowskie Włochy poparły Franco, strona narodowa z konieczności stała się synonimem zła. Z tego wynika, że wszystko, co wspierał Franco, było i jest złe, zwłaszcza wiara katolicka oraz patriotyzm.

Entuzjazm Polaków dla sprawy katalońskiej zniknął wraz z pojawieniem się informacji o kontaktach ich lidera Puigdemonta z Kremlem. Co dziś wiemy o pomocy gospodarczej, wojskowej i propagandowej udzielonej przez Moskwę katalońskim spiskowcom podczas zamachu stanu?

Uznaję, że jeśli Polacy mają sympatię dla katalońskich separatystów, to ma to wiele wspólnego z waszą hojną tendencją do stawania po stronie uciskanych przeciwko potężnemu ciemiężycielowi. Schemat ten jednak nie daje się zastosować do Katalonii i Hiszpanii. Przede wszystkim dlatego, że Katalonia jest jednym z najbogatszych regionów Hiszpanii, który od XVIII w. cieszył się hiszpańskim i amerykańskim rynkiem wewnętrznym w ramach reżimu quasi-monopolowego. Ne mając wiedzy, z zewnątrz można to interpretować jako romantyczną walkę o wyzwolenie uciskanego narodu, ale rzeczywistość jest znacznie bardziej prozaiczna: chciwość. Separatyzm to rewolucja bogatych.

Dobrze, ale co dziś wiemy na pewno o pomocy, jakiej Moskwa udzieliła katalońskim spiskowcom?

Jeśli chodzi o pomoc Kremla dla separatystów, bardzo trudno oceniać międzynarodowe intrygi, o których mamy niewiele jawnych informacji. Niepodważalne jest to, że separatyści cierpliwie tkali sieć międzynarodowego wsparcia, aby w decydującym momencie móc liczyć na pomoc zagranicy. Np. dużo harcowali w krajach bałtyckich i Finlandii, które oszukiwali fałszywym porównaniem między sprawą Katalonii a sprawą ich narodów poddanych carskiemu imperium, a później ZSRR.

Zarówno w hiszpańskich raportach policyjnych i sądowych, jak i w UE można znaleźć mnóstwo informacji na temat stosunków między separatystami a Kremlem zarówno przed zamachem stanu w 2017 r., jak i po nim. Jednym z objętych śledztwem wydarzeń jest spotkanie Puigdemonta z emisariuszem Kremla dzień przed ogłoszeniem niepodległości. Według niektórych źródeł mówiono wówczas o rosyjskim wsparciu gospodarczym i militarnym dla nowej, niepodległej Katalonii. Propagandowe media Moskwy promują wersję przedstawiającą państwo hiszpańskie jako opresora, a separatystycznych spiskowców zamachu stanu jako obrońców demokracji. Bruksela przygotowała raport potwierdzający ingerencję Kremla w destabilizację Hiszpanii, a w konsekwencji UE i NATO.

Czy amnestia dla separatystów udzielona przez rząd Sáncheza unieważni też śledztwo i badanie rosyjskich wątków w katalońskim ruchu niepodległościowym?

Oczywiście. Amnestia pozostawiłaby wiele przestępstw bez kary. A rząd hiszpański, dobrowolny sojusznik (lub mimowolny jeniec separatystów), nie wykazuje już zainteresowania śledztwem ani w Hiszpanii, ani poza nią.

Przejdźmy teraz do tematu zupełnie nieznanego nad Wisłą – artykułu byłego szefa katalońskiego rządu Quima Torry. To dowód ksenofobii i ekscentrycznych teorii o wyższości rasowej Katalończyków. Torra wyrażał chyba opinię wielu mieszkańców tego regionu, którzy czują się lepsi od „leniwych Andaluzyjczyków".

Poczucie wyższości objawiało się od początków separatyzmu w ostatnich latach XIX w. Ponieważ Katalonia była wówczas najbogatszym regionem Hiszpanii, niektórzy przedstawiciele burżuazji patrzyli z góry na innych Hiszpanów, których uważali za gorszych intelektualnie, moralnie i biologicznie. Było wielu separatystycznych ideologów, którzy bronili poglądu, jakoby Katalończycy byli Aryjczykami, a Kastylijczycy Semitami z powodu długiego kontaktu z Maurami w średniowieczu. Wśród wielu możliwych świadectw można wymienić to pochodzące od George'a Orwella, ochotnika w wojnie, który zaobserwował, że Katalończycy uważali Andaluzyjczyków za rasę „półdzikusów". Ten rasizm był wyraźny aż do II wojny światowej. Po niej z oczywistych powodów temat wyciszono i skupiono się na języku. Podczas wojny domowej katalońscy i baskijscy separatyści zaoferowali hitlerowskim Niemcom, Francji i Wielkiej Brytanii aneksję niektórych regionów Hiszpanii w zamian za ich wsparcie. Manewrowali więc po obu stronach.

Ze względu na poprawność dziś ta rzekoma wyższość nie jest deklarowana tak otwarcie, lecz pogarda dla reszty Hiszpanii jest jednym z kluczowych punktów ideologii separatystycznej.

Tak są czuli na swoje ponoć lepsze, europejskie pochodzenie, a jednocześnie 80 proc. meczetów Hiszpanii znajduje się w Katalonii.

To paradoks, że separatyści, przedstawiający się jako obrońcy katalońskiej istoty, są właściwie jej wrogami, bo od wielu lat promują masową imigrację z krajów azjatyckich i afrykańskich. Wolą te nacje od Latynosów, którzy mówią po hiszpańsku, bo wolą przybyszy łatwiejszych do zmanipulowania i przemienienia w separatystów. W rezultacie Katalonia jest najbardziej zislamizowanym regionem Hiszpanii. Separatyści uważają właściwie, że można być katalońskim Arabem, katalońskim Pakistańczykiem, ale nie można być katalońskim Hiszpanem. Mają problem psychologiczny, ojkofobię, a właściwie hispanofobię. Oby żaden region waszej Polski nie czerpał wzoru z obłędu separatyzmu, z którym Hiszpania zmaga się od dawna.

Reklama | 32/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22

POLSKA

BEZPIECZNA ENERGETYCZNIE



PGE

eprasa.pl 2da195ac22

Holenderski Trump idzie po władzę



Zwycięstwo Geerta Wildersa w wyborach parlamentarnych przyprawia liberalną i federalistyczną Europę o ból głowy. Dlaczego?



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Liberalni, zrelaksowani i kosmopolityczni – tak reszta Europy widzi Holendrów. Teraz wybory parlamentarne wygrał prawicowy populista Geert Wilders, który, odkąd jest w polityce, a jest już od ponad 25 lat, nie kryje niechęci do islamu, Unii Europejskiej i masowej imigracji. To wiele mówi o nastrojach w Królestwie Niderlandów i jest ostrzeżeniem dla liberalnych elit na Starym Kontynencie, szczególnie przed wyborami do Parlamentu Europejskiego.

Zdjęcia pokazujące Wildersa wiwatującego przed ekranem, na którym wyświetliły się wyniki exit poll, obiegły wszystkie media społecznościowe. PVV zdobyła 23,6 proc. głosów, czyli 37 mandatów w 150-osobowej izbie niższej Tweede Kamer. Oznacza to wzrost dla Partii Wolności (Partij voor de Vrijheid – PVV) o 20 mandatów więcej niż w poprzednich wyborach. „Numer jeden. Jesteśmy najlepsi" – radował się Wilders. A niejeden zastanawiał się w Hadze i Brukseli, jak to się stało.

AZYLOWE TSUNAMI I STAGNACJA

Bo choć Wilders jest od dawna obecny w polityce i zaczynał karierę od jak najbardziej mainstreamowej Partii Ludowej na rzecz Wolności i Demokracji (VVD), którą potem przez lata kierował „teflonowy premier" Mark Rutte, nie był traktowany do końca poważnie. Naśmiewano się z jego fryzury – coś pomiędzy uczesaniem Donalda Trumpa a XVIII-wieczną peruką – a on sam nie stronił od wygłupów. Ruttemu, dla którego w młodości był mentorem, polecił, by „wreszcie znalazł sobie dziewczynę" (były premier jest starym kawalerem), byłemu komisarzowi UE Fransowi Timmermansowi i liderowi Partii Pracy (PvdA) doradził dietę, bo jest „za gruby", a szefową Demokratów 66 Sigrid Kaag nazwał „wiedźmą". Wilders był tylko politycznym zjawiskiem, zawsze na drugim lub trzecim miejscu w wyborach, a nawet gdy PVV uczestniczyła w rządzie, jak w 2010 r. (nie wystawiając ministrów), to tylko na krótko. Lecz czasy się najwyraźniej zmieniły.

De Speld, holenderski portal satyryczny, zacytował liderkę VVD Dilan Yeşilgöz-Zegerius (zmyślonymi) słowami: „Prowadziliśmy wspaniałą kampanię, niestety nie dla naszej własnej partii". Kryje się za tym zarzut wobec pozostałych ugrupowań, szczególnie tych liberalnych i centroprawicowych, jak VVD czy zupełnie nowej na scenie politycznej Nowej Umowy Społecznej (Nieuw Sociaal Contract, NSC) Pietera Omtzigta, że usiłowały przejąć antyimigrancką retorykę Wildersa, napędzając mu poparcie, a jednocześnie nie oferując odpowiedzi na rosnący kryzys mieszkaniowy, inflację, malejącą siłę nabywczą i wysokie ceny energii. To wszystkie tematy, które Wilders podchwycił w kampanii. „Ludzie wolą głosować na oryginał, a nie na kopię" – podkreślił w rozmowie z „The Guar-

Fot. Jeroen Meuwsen Fotografie/Shutterstock.com

eprasa.pl 2da195ac22

dian" politolog z uniwersytetu w Rotterdamie Mark van Ostaijen. Głównym zobowiązaniem Wildersa w kampanii było powstrzymanie „azylowego tsunami", które obwiniał za różne problemy społeczne, w tym brak mieszkań w kraju i wysokie koszty opieki zdrowotnej.

Holenderski kryzys mieszkaniowy stale się pogłębia: według danych opublikowanych przez ABF Research do końca br. będzie brakowało ok. 390 tys. domów i mieszkań – to rekord w skali Europy. Ponadto kraj popadł w gospodarczą recesję. Według Monitora Światowego Handlu (CBP) w przyszłym roku 7 proc. dzieci będzie tam żyło w biedzie.

Jak wielkie było zdziwienie dziennikarzy „Guardiana", którzy udali się po wyborach do Rotterdamu, by przepytać muzułmanów, co sądzą o zwycięstwie Wildersa. Spodziewali się wszystkiego, ale nie tego, co usłyszeli. Okazało się bowiem, że wielu z nich głosowało właśnie na PVV. „Rotterdam to jedno z najbiedniejszych miast w Holandii. Liberałowie wiele obiecywali. Obniżkę podatków, lepszą opiekę zdrowotną, ale żadna z tych obietnic nie została spełniona" – podkreślił w rozmowie z gazetą członek zarządu miejscowego meczetu Essalam. „Muzułmanie też mają dość stagnacji" – dodał.

STRACONY MIESZCZAŃSKI ŚRODEK

Jeśli spojrzeć na mapę, niemal cała Holandia przyjęła barwy partii Wildersa. PVV umocniła się niemal we wszystkich regionach, także w zamożnych gminach. Ostrzeżenia przed „zagrożeniem" ze strony prawicowego populizmu niewiele pomogły, Wilders, którego w 2016 r. sąd skazał za dyskryminację i obrazę, po tym jak obiecał Holendrom „mniej Marokańczyków" w kraju, mocno złagodził swój ton. Lider PVV, który czuje się silnie związany z Izraelem (w młodości spędził kilka lat w kibucu), miał skręcić na kurs antyislamski po zamachu w 2004 r. na reżysera Theo van Gogha. Zabójca reżysera, 26-letni Holender marokańskiego pochodzenia, podciął mu gardło. Ze względu na swoją postawę Wilders od niemal dwóch dekad żyje pod ochroną policji. Wprawdzie ma on w programie zarówno tzw. nexit, czyli wyjście Holandii z UE, zakaz meczetów, koranu i samego islamu, ale jest mało prawdopodobne, by miał okazję te postulaty zrealizować, gdyby został premierem. W końcu będzie potrzebował koalicjantów, a ci ani o nexicie, ani o zakazie islamu słyszeć nie chcą. Zapewne ma on także świadomość, że wielu Holendrów głosowało na PVV w ramach protestu wobec dotychczasowych rządów (trwających 13 lat) Ruttego, naznaczonych korupcją i skandalami, oraz kłótniami w sprawie metod zatrzymania migracji. Przedwyborcze badania wykazały, że ponad 50 proc. z nich straciło zaufanie do politycznego establishmentu, a ponad 60 proc. jest zdania, że krajem rządzą nieudacznicy. Dla 80 proc. najważniejszym problemem stała się imigracja.

Mainstream utracił zaufanie tzw. mieszczańskiego środka, który wybrał Wildersa, a teraz oczekuje szybkich zmian. Tworzenie koalicji może jednak potrwać – ostatnia formowała się przez ponad 270 dni. Holenderska scena polityczna jest mocno rozdrobniona, a ponieważ nie ma progu wyborczego, partii w Tweede Kamer jest kilkanaście, zaś koalicje są zazwyczaj kruche. Jako koalicjanci w rachubę wchodzą zarówno Nowa Umowa Społeczna Omtzigta, jak i Ruch Rolników Obywateli (BBB), wyrosły na sprzeciwie wobec masowego, przymusowego wywłaszczania farmerów i niszczeniu holenderskiego rolnictwa.

Były komisarz europejski, a teraz szef koalicji socjalistów, komunistów i zielonych (GroenLinks–PvdA) Frans Timmermans, którego partia zajęła drugie miejsce w wyborach, wezwał oczywiście Holendrów do obrony demokracji, a partie do otoczenia Wildersa kordonem sanitarnym i nietworzenia z nim rządu. Problem w tym, że arytmetyka jest nieubłagana i jeśli rządzenie z Wildersem jest kontrowersyjne, to rządzenie bez niego jest w obecnym składzie niemal niemożliwe. Tymczasem sam lider PVV ogłosił, że jest gotów „zamrozić" swoje propozycje programowe w sprawie islamu i „być premierem wszystkich Holendrów". Na razie wiadomo, że Omtzigt jest gotów na negocjacje z nim, ale najpierw chce wyjaśnić kwestie sporne, jak choćby poparcie dla Ukrainy, które Wilders odrzuca, zakaz islamu i nexit, uważane przez NSC za „niekonstytucyjne". VVD postanowiła przejść do opozycji, lecz ciche wsparcie dla ewentualnego prawicowego rządu nie jest wykluczone. Pewny jest tylko udział BBB, ale partia ta zdobyła zaledwie 7 mandatów. Do większości w Tweede Kamer potrzeba 76.

KOSZMAR TIMMERMANSA

Problem w tym, że wrogowie Wildersa nie mogą zignorować nastrojów społecznych. Badania zrealizowane po wyborach przez instytut EenVandaag wykazały, że 84 proc. wyborców VVD chciałoby, aby partia weszła do gabinetu z PVV. Według ankietowanych prawicowa koalicja byłaby „uczciwym odzwierciedleniem wyniku wyborów". W skrócie: ludzie chcą tego, na co głosowali.

Jeszcze dwie dekady taką partię i takiego polityka jak Wilders można było ostracyzmować i sprawa byłaby załatwiona, jak widzieliśmy na przykładzie Partii Wolności Austrii (FPÖ) i Jörga Haidera w 2000 r. Dziś nie jest już to takie proste. Zwycięstwo Wildersa ma więc pewną wartość ostrzegawczą dla liberalnych, europejskich elit.

W czerwcu 2024 r. odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego, a prognozy są ponure. „Dojdzie do przesunięcia w prawo jakiego jeszcze nie było" – twierdzi Manuel Müller z Finnish Institute of International Affairs (FIIA). Według portalu Politico, który opiera się na regularnie realizowanych sondażach, frakcja Socjalistów i Demokratów (S&D) może spaść wyraźnie poniżej 20 proc. poparcia, daleko za chadecją z EPL (24 proc.) oraz prawicowymi frakcjami EKR i ID (22 proc.). Szczególnie dla Fransa Timmermansa fakt, że wybory w jego ojczyźnie, do której wrócił, by przewodzić sojuszowi Lewicy z Zielonymi w kampanii, wygrał polityk, który jest wrogo nastawiony do Europejskiego Green Dealu, chce wyjść z porozumienia paryskiego oraz zlikwidować krajowe prawodawstwo dotyczące ochrony środowiska, a przy okazji zatrzymać budowę wiatraków, musi być klęską. Na tym tle nawet to, że w porównaniu z wyborami z 2021 r., Partia Pracy podwoiła liczbę mandatów, wydaje się małym pocieszeniem.

eprasa.pl 2da195ac22



DARIUSZ MATUSZAK

Jeśli nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o władzę

Planowane zmiany w traktatach unijnych oznaczają nie tylko utratę suwerenności przez państwa, lecz także zagrożenie praw i wolności obywatelskich. Bruksela tworzy narzędzia do finansowego szantażowania poddanych. Jednym z nich jest cyfrowy pieniądz

Niemal wszystkie teorie spiskowe sprawdzają się. To tylko kwestia czasu i możliwości operacyjnych systemu budowanego przez władców i właścicieli świata. Sam termin „teoria spiskowa" jest stosowany, by zaliczać do grona paranoików np. ośmielających się wątpić w dobrą wolę czy kompetencje urzędników z Brukseli. Istnieje jednak amerykańskie powiedzenie: to, że masz paranoję, nie oznacza, że nikt cię nie śledzi. Można też sparafrazować prawo Murphy'ego i uznać, że jeśli coś może ograniczyć prawa i wolności, to ograniczy. Zamiast prychać lekceważąco, z całą podejrzliwością trzeba się zastanowić nad tym, co knuje Unia Europejska. Gdyby ktoś w 2013 r. mówił, że Bruksela wprowadzi przymusowe przesiedlanie imigrantów, spróbuje zmusić nas czy Słowaków do przyjmowanie muzułmanów, których nie chcą Niemcy, to pukalibyśmy się w głowy. Drogi, racjonalny czytelniku uwierz – eurokracja jest zdolna do wszystkiego.

Zmiany w unijnych traktatach mają nie tylko pozbawić państwa suwerenności, dać więcej władzy, lecz także narzędzia do kontroli obywateli, zmuszania ich, by przyjmowali choćby ideologię LGBT+ czy klimatyzm. Po to właśnie Brukseli własna armia, policja i środki szantażu – pieniądz cyfrowy. Nowy art. 7 traktatu o UE mówi, iż Bruksela będzie miała prawo pozbawiać należnych pieniędzy państwa nieprawidłowe, w których panują porządki niepodobające się jej, Berlinowi czy różnej maści aktywistom. Skoro można pozbawić pieniędzy całe nacje, co trenowaliśmy przy KPO, to dlaczego nie grupy obywateli czy określonych osobników? Jako wyznawca teorii spiskowych uważam, że ma temu służyć waluta cyfrowa.

PIENIĄDZ FIZYCZNY MA ZNIKNĄĆ

System się domyka. Od lutego 2024 r. wchodzą w życie nowe przepisy cenzorskie, są procedowane zmiany w traktatach, Parlament Europejski i Rada UE porozumiały się co do eID – centralnego, cyfrowego systemu identyfikacji poddanych, który będzie ich elektroniczną smyczą, a Christine Lagarde, szefowa Europejskiego Banku Centralnego (EBC), obwieściła wielki postęp w pracach nad walutą cyfrową. Dla porządku – to wieloznaczne pojęcie rozumiemy tak jak EBC: jako stosowane do płacenia jednostki zapisane na elektronicznym nośniku. Pieniądz fizyczny, banknoty, monety – jako środki płatności oraz przechowywania wartości – mają zniknąć. Jeśli były minister ukrył ileś euro w nogach od stołu albo w wersalce, to tam przechowywał majątek. Zapisu, człeku, w meblu nie schowasz.

Powodów, dla których pieniądz cyfrowy ma zastąpić fizyczny, jest kilka. Jest tańszy i bardziej „zielony" – nie trzeba produkcji, transportu, sejfów. Higieniczny – nie roznosi COVID-19. Ale najważniejszy argument, podawany przez władców świata, to zapobieganie praniu brudnych pieniędzy i finansowania terroryzmu. To clou. Obieg, a nawet wartość takiego pieniądza można kontrolować.

Najpierw Unia zlikwiduje waluty narodowe. Zmieniany art. 3 ust. 4 traktatu mówi: „Walutą Unii jest euro". Zmiany w traktatach przypieczętowują wyższość prawa brukselskiego nad naszym, więc w kwestii eliminacji złotego nic do powiedzenia nie ma prezydent, szef NBP itd. Gdy zapanuje jedna waluta, wprowadzenie cyfrowej będzie tylko kwestią technologii.



eprasa.pl 2da195ac22

W obronie gotówki konsekwentnie stają prezes NBP oraz prezydent Andrzej Duda, który w lipcu podpisał ustawę znoszącą wiele ograniczeń w jej stosowaniu. Badania NBP „Zwyczaje płatnicze w Polsce w 2020 r." wskazują, że 12 proc. pełnoletnich Polaków, w tym 28 proc. powyżej 65. roku życia, nie ma konta, zaś karty płatniczej – 18 proc. i 47 proc. seniorów. Wyeliminowanie gotówki oznaczałby nawet nie dyskryminację milionów osób, lecz wyrzucenie ich na margines życia społecznego.

W BANKU CZY W WERSALCE

NBP wskazuje na zagrożenia prawa do prywatności, o których mówi art. 76 konstytucji RP. Obrót bezgotówkowy pozwala bowiem w większym stopniu monitorować zakupy. Wiedza o tym, kiedy, ile, gdzie i na co Kowalski wydał pieniądze to wstęp do kontrolowania go. Pisze o tym m.in. Eswar Prasad, profesor Cornell University, w książce



„Przyszłość pieniądza. Jak rewolucja cyfrowa przemienia świat walut i finansów":

„Gdyby gotówka ustąpiła miejsca CBDC (pieniądz cyfrowy), a systemy płatności były w przeważającej mierze cyfrowe, wszelkie pojęcie anonimowości i prywatności w sprawach finansowych byłoby poważnie zagrożone [...]. W społeczeństwach autorytarnych pieniądz banku centralnego w postaci cyfrowej mógłby stać się instrumentem rządowej kontroli nad obywatelami".

Zanim przejdziemy do bytów autorytarnych, wspomnimy o innych zagrożeniach. Cybernetyczny atak na Estonię w 2007 r. na trzy tygodnie sparaliżował państwo. Awarie operatorów kart Visa i Mastercard w 2018 r. uniemożliwiały transakcje w Europie. Pomyślmy o sieciach energetycznych. Wyobraźmy sobie Ukrainę mającą tylko walutę cyfrową albo atak militarny Rosji na cyfrowego czempiona Estonię.

Cyfrowy pieniądz ma wady mogące przynieść katastrofalne skutki. Jest scentralizowany i przestaje przechowywać wartość. Niegdyś majątek można było gromadzić w pieniądzu opartym na parytecie złota. Zdeponowanie w banku ziemskim złotych 15-rublówek oznaczało wsadzenie ich do słoika i zakopanie w ogródku, by ocalić majątek przed bolszewikami czy innymi lewicowymi złodziejami. Podobnie można trzymać majątek w pieniądzu fiducjarnym. O tym zaświadczają europosłowie, którzy wziątki od Kataru chowali w walizkach, i jeden były minister, co miał go w wydrążonej nodze od stołu. Majątek był schowany i co ważne – rozproszony. Nie ma takiego guzika, którego naciśnięcie spowodowałby, że znikają słoiki, nogi od stołu, torby pieniędzy.

Inaczej w przypadku pieniądza cyfrowego, który jest zapisem „zdeponowanym" w miejscu, do którego dostęp mają tyrani, a nawet prawdziwie unijni złodzieje. W 2013 r. rząd Cypru na rozkaz tzw. Trojki z EBC okradł obywateli z 60 proc. oszczędności powyżej 100 tys. euro, zdeponowanych w Bank of Cyprus i banku Laiki. Chodziło o ratowanie kraju przed bankructwem. Słoik w banku ziemskim byłby więc lepszy. Unijni czy państwowi złodzieje mogą więc pozbawić majątku w pieniądzu cyfrowym. Władze mogą też zmuszać obywatela do posłuszeństwa.

W lutym 2022 r. uśmiechnięty reżim Kanady zablokował konta protestującym przeciwko restrykcjom covidowym. Na podstawie prawa o stanie wyjątkowym rząd Trudeau ogłosił, że banki na żądanie władzy mogą zablokować każde konto. Wspierających protesty zidentyfikowano na podstawie ich wpłat na konta organizacji organizujących zbiórki dla protestujących – tak wygląda anonimowość. Nie skończyło się jednak w 2022 r. Konta protestujących i rodzin zostały oznaczone oraz podlegają obserwacji. Bo to są prawicowi ekstremiści. W Brazylii czasowo pozbawiono pieniędzy wpierających byłego prezydenta Jaira Bolsonaro. HSBC, the Hongkong and Shanghai Banking Corporation, na polecenie władz Chin rutynowo blokuje konta nieposłusznym obywatelom.

ŻYWA GOTÓWKA

Pieniądz cyfrowy może być narzędziem zmuszającym do uczestnictwa choćby w kulcie klimatyzmu. Od dawna rozwijany jest koncept tzw. śladu węglowego. W skrócie polega na tym, by każdy miał przydział CO_2 – mógł kupić dobra, które wytworzyły określoną limitem ilość gazu. Po jego przekroczeniu traci się dostęp do pieniędzy i Kowalski nie kupi benzyny, podobnie mięsa, chyba że z przyjaznego klimatowi robactwa. Brzmi jak chore fantazje, lecz to rzeczywistość, trenowana w krajach postępu. Kanadyjski bank Vancity oraz australijski Commonwealth Bank wprowadziły karty zliczające ślad, jaki zostawiły kupowane za ich pomocą dobra. Trwają testy i jest kwestią czasu, kiedy takie karty zostaną wprowadzone przymusowo.

Pieniądz cyfrowy można też dowolnie skonfigurować. Nadać mu datę ważności, sprawić, że działa w określone dni, w pewnych miejscach. Nie trzeba zamykać ludzi w gettach 15-min miast. Wystarczy, że człek nie kupi niczego poza swoją zoną.

Czempionem takich pomysłów są Chiny. Tam system kredytu społecznego odcina obywateli od usług czy pieniędzy. Nie zapłaciłeś mandatu – nie kupisz biletu na pociąg. Podstawą są zintegrowane systemy permanentnej inwigilacji – uśmiechnij się do kamery, elektroniczne dokumenty, jak europejski portfel tożsamości cyfrowej i cyfrowy pieniądz.

Lecz jest dla nas nadzieja płynąca z Niemiec. Cyfrowo to bardzo zacofany kraj. Jeśli chodzi o dostęp do szybkiego internetu, jest na przedostatnim miejscu w UE. Zapłacenie tam kartą to problem, a 82 proc. firm, podobnie jak tamtejszy parlament, korzysta z faksów, więc przodownicy postępu z Bundestagu podjęli wyzwanie. Do 30 czerwca 2024 r. muzealne urządzenia mają zniknąć i komunikacja będzie cyfrowa. Alleluja, Niemcy odkryją e-mail i skanowanie. Jest nadzieja, że zanim się nauczą, rozbudują szczątkową infrastrukturę – nie ma komu kłaść światłowodów, to ludy eksperymentalne, np. Kanadyjczycy, pokażą wszystkie niebezpieczeństwa związane z cyfrowym pieniądzem i zbiorowa mądrość nie dopuści do nałożenia sobie kolejnej smyczy. Posłanka Hartwig z PO ma rację: „Tylko żywa gotówka!".

Fot. Shutterstock

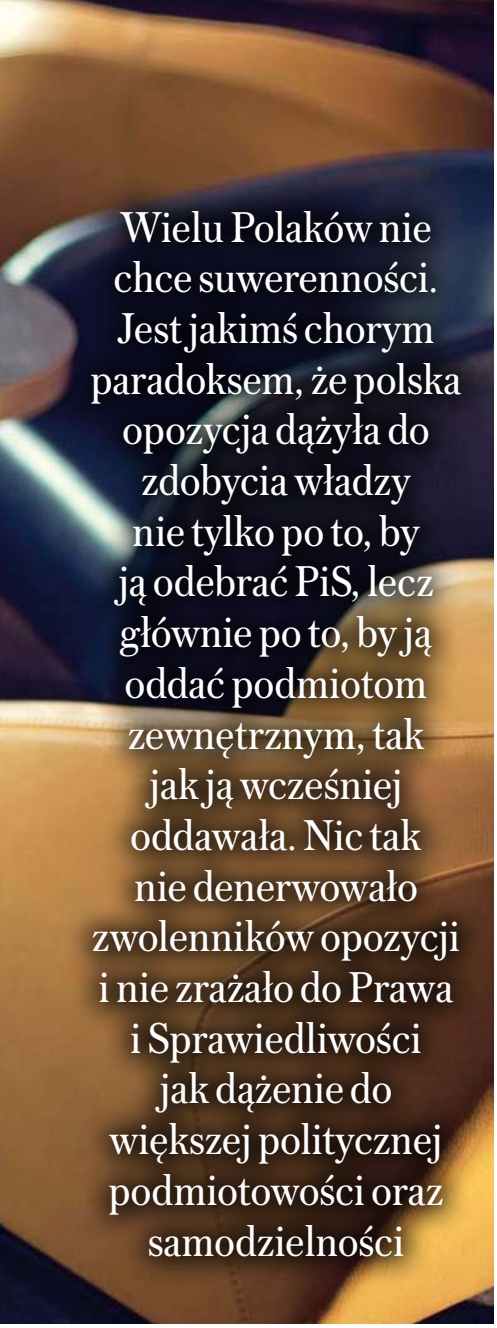
eprasa.pl 2da195ac22



Polska dusza cierpi na mikromanię

*Z prof. **Ryszardem Legutką**, filozofem, publicystą, posłem PiS do Parlamentu Europejskiego, rozmawia Jakub Augustyn Maciejewski*

eprasa.pl 2da195ac22



Wielu Polaków nie chce suwerenności. Jest jakimś chorym paradoksem, że polska opozycja dążyła do zdobycia władzy nie tylko po to, by ją odebrać PiS, lecz głównie po to, by ją oddać podmiotom zewnętrznym, tak jak ją wcześniej oddawała. Nic tak nie denerwowało zwolenników opozycji i nie zrażało do Prawa i Sprawiedliwości jak dążenie do większej politycznej podmiotowości oraz samodzielności

Fot. Andrzej Wiktor

Dlaczego Zjednoczonej Prawicy się nie udało w tych wyborach?

Ryszard Legutko: Również z tego powodu, że dusza polska jest chora. Zawsze była.

Zawsze?

Nie wiem, od jak dawna, ale przynajmniej od XVII w. już tak. Okresy stabilizacji i niepodległości były krótkie, a większość katastrof przychodziła na własne życzenie. I znowu tak się stało.

Pan profesor mówi tak, jakby to nie była wina błędów obozu niepodległościowego.

Oczywiście, że popełnialiśmy błędy – i wszystkie powinny iść do korekty – ale pamiętajmy, że stawaliśmy przeciw potężnym siłom. To nie tylko późne wnuki PZPR-owskiej Lewicy i „gazetowyborcze" salony, lecz także wielce wpływowe siły międzynarodowe z ich wszelkimi instrumentami władzy, które stosowano przeciw nam prawem i lewem, a głównie lewem. To przecież mocno wpływa na świadomość dzisiejszego Polaka.

Polska chyba jest ważniejsza dla międzynarodowego walca liberalizmu i lewicy, Węgry mogą sobie nieco odpuścić, nas nie.

To prawda. Od tego, co się stanie w Polsce, zależy wiele rzeczy w Europie. Zły geniusz Tuska uczynił nasz kraj terenem zimnej wojny domowej, choć gdy wybuchała, nie było ku niej podstaw. A gdy wybuchła, to osłabiła nasz kraj w relacjach z innymi.

Mówimy o 2005 r.?

Istniał wtedy szeroki ruch ku naprawie Rzeczypospolitej. I nagle Tusk wypowiada wojnę niemal kilka dni po wyborach, upokorzony podwójną porażką z budowniczego IV Rzeczypospolitej stał się śmiertelnym wrogiem naprawy państwa. Od tamtego czasu nienawiść jest jedynym wehikułem, jakiego używa – niestety dość skutecznie. Uważam, że aby wywołać takie piekło, trzeba mieć w sobie albo wiele zła, albo być zupełnie wypranym z dobra.

Nie przeceniamy jego roli? Może raczej jest tylko twarzą całego systemu powiązań i interesów, a nie jego motorem?

Ilość toksyn wstrzykniętych przez Tuska w Polskę jest niebywała. Na Zachodzie z kolei uchodzi za miłego misiaczka. Wszystkie obrzydliwości, których się dopuszcza w Polsce, od lat uchodzą mu bezkarnie, a swoich wyborców zainfekował tymi obrzydliwościami. Może zupełnie używać bezkarnie skandalicznych określeń. To on i jego zwolennicy uczynili z konkurentów politycznych seryjnych morderców kobiet, faszystów i nazistów, a z ich wyborców typy patologiczne, które chleją, biją kobiety i dzieci, a pracą się nie zhańbili. Jednocześnie bez zmrużenia oka może mówić o pojednaniu, polityce miłości i zasypywaniu podziałów. Nie tylko doprowadził do gigantycznej destrukcji sfery publicznej w Polsce przez wszechobecne agresję i kłamstwo, lecz także zaraził tym miliony. Ale wśród popierających go elit, widzę jeszcze jeden powód, który wprawia ich w ten stan nienawiści.

Jaki?

Wielu Polaków nie chce suwerenności. Jest jakimś chorym paradoksem, że polska opozycja dążyła do zdobycia władzy nie tylko po to, by ją odebrać PiS, lecz głównie po to, by ją oddać podmiotom zewnętrznym, tak jak ją wcześniej oddawała. Nic tak nie denerwowało zwolenników opozycji i nie zrażało do Prawa i Sprawiedliwości jak dążenie do większej politycznej podmiotowości oraz samodzielności. W konflikcie rządu z Brukselą, Berlinem czy Paryżem zawsze stawali przeciw polskiemu rządowi. Nikt mi nie wmówi, że nie mamy tu do czynienia z jakąś zbiorową chorobą.

Po stronie Niemiec?

Lepiej powiedzieć: po stronie Europejczyków. A co do Niemców, to rzeczywiście mają oni nieodpartą i nieustającą żądzę doradzania Polakom. Kiedy się zżymamy i mówimy, że nam się to nie podoba i żeby się odczepili, oni podnoszą krzyk, że w Polsce panują nastroje antyniemieckie wywołane obsesją Jarosława Kaczyńskiego. Ta sympatia do Europejczyków i silna niechęć do suwerenności pokazują, że elity polskiej opozycji, a także ich zwolennicy, pragną się zadowolić funkcją namiestników, podwykonawców brukselskich czy niemieckich projektów i z tego czerpią poczucie dumy. Jest to duma w stosunku do hołoty, która znajduje się, według nich, niżej, jest nieeuropejska i należy ją obsobaczać. Tak już często było w naszej historii – albo podrywamy naród do powstania, albo pełnimy rolę namiestników, jak Wielopolski czy politycy z Galicji. Jedni gorąco pragną suwerenności, aż do ofiary życia, inni jej nie chcą, bo się jej boją lub chcą zarobić na jej sprzedaży.

Nawet po fiasku PRL nie dało się sformatować naszego myślenia inaczej?

Pamiętam, jak po upadku komuny śp. ks. Józef Tischner opowiadał o mentalności człowieka sowieckiego, który boi się samodzielności. Te wywody bardzo się podobały środowisku „Gazety Wyborczej", tylko że to właśnie oni, a nie pogardzani

eprasa.pl 2da195ac22

mieszkańcy PGR najbardziej się boją Polski samodzielnej.

Krytycy PiS oceniają jednak, że wasze aspiracje były zbyt wielkie, megalomańskie.

Polska dusza nie cierpi na megalomanię, tylko na mikromanię. Mamy silne poczucie niższości oraz podświadomą pamięć o klęskach, okupacjach i niezliczonych ofiarach, jakie poniósł polski naród. Ale przecież aspiracje, które artykułował rząd Prawa i Sprawiedliwości, nie były żadnymi szalonymi projektami, np. odbudowy imperium I Rzeczypospolitej, prawda? To normalne zamiary średniego, silnego, dobrze rozwijającego się europejskiego kraju, świadomego swojej tożsamości i roli.

Stosunek do zagranicy też nie pomaga.

Skoro tak wielu Polaków nie chce suwerenności, to trudno się dziwić, że inni traktują samodzielne ambicje polskie jako niepoważne. Jest coś nienormalnego w tym, że ambasadorzy zaprzyjaźnionych z nami krajów zachowują się w Warszawie tak, jakby nami rządzili: łamią zasady, a my się im przymilamy, robimy fotki i dajemy nagrody.

Wyczuwam aluzję do Marka Brzezinskiego.

Amerykańscy ambasadorowie z tego słyną. Brzezinski zachowuje się jak Awierkij Aristow [ambasador ZSRS w PRL w czasach Gomułki]. Gdyby polski ambasador zachowywał się tak w jakimkolwiek innym kraju, zostałby uznany za szaleńca. Tymczasem w Polsce mamy jakąś barierę wewnętrzną, już na wstępie uniemożliwiającą opór. Ambasadorzy tak zaangażowali się we wspieranie opozycji, bo wiedzieli, że z tamtej strony spotkają się z odzewem dla osłabiania polskiego rządu i polskich aspiracji.

Czy uważa pan, że ten walec zmiany ustrojowej UE ruszył już na dobre i że nie da się go zatrzymać?

Bruksela zrobiła kolejny duży krok w tę stronę. Mieliśmy już wielką konferencję o przyszłości Europy, a także deklaracje ze strony przywódców najsilniejszych państw. Kierunek zmian w Unii, dokonujący się przynajmniej od ostatniego wielkiego rozszerzenia w 2004 r., jest szalenie niebezpieczny: silni stają się coraz silniejsi, a słabsi coraz słabsi. W UE mamy trzy formy rosnącej asymetrii. Po pierwsze, jest to rosnąca rola instytucji europejskich wobec państw członkowskich. Wszystkie one dążą do poszerzenia władzy, działają solidarnie, wzmacniając własne aspiracje, nawet, a może przede wszystkim przez łamanie traktatów. TSUE zawsze staje po stronie siostrzanych instytucji i ich kolejnych roszczeń

> Od 2005 r. nienawiść w polskiej debacie publicznej jest jedynym wehikułem, którego używa lider PO – niestety dość skutecznie. Aby wywołać takie piekło, trzeba mieć w sobie albo wiele zła, albo być zupełnie wypranym z dobra

do władzy. Druga asymetria to rosnąca rola silnych państw, głównie z Europy Zachodniej, wobec państw słabych, głównie z Europy Wschodniej. Ponieważ same instytucje nie mają władzy, będąc pozbawione legitymacji demokratycznej, dysponują jedynie tym, na co pozwalają im silne państwa, takie jak Francja i Niemcy. Trzecia asymetria to dominacja lewicy nad całym życiem w Europie. Najsilniejsza grupa polityczna, Europejska Partia Ludowa, do której należy PO i PSL, a którą kierował kiedyś Tusk, całkowicie skapitulowała przed lewicą i nie ma żadnego własnego programu. Czasami tylko łagodzi pomysły lewicowe – jak ostatnio Fit for 55 – ale z marnym skutkiem. Te trzy asymetrie tworzą więc strukturę, która jest oligarchiczno-despotyczna, a zapowiadany kierunek zmian w traktatach tylko wzmocni tę tendencję. Żyjemy więc w świecie, który może się stawać coraz bardziej zamordystyczny. Fatalnie to wróży Europie i Polsce.

Główny nurt w Polsce zachwala fakt, że znowu będziemy siedzieć przy głównym stole.

Co z tego, że niektóre elity siedzą przy głównym stole, skoro nie mają nic do powiedzenia. Platforma Obywatelska siedziała przy głównym stole z Donaldem Tuskiem na czele i co załatwiła? Co załatwiła dla Polski? Niemcy nie chcieli nawet rozmawiać o Nord Streamie. Nasi tam siedzą przy tym swoim „głównym stole" i tylko potakują. „Yes, sir", „Yes, ma'am" – i tak przez całe lata.

Ale konserwatyści swoją postawą też raczej niewiele wywalczyli.

Od samego początku cechowała nas naiwność w stosunku do Unii i tylko niewielu zdawało sobie sprawę z zagrożeń. W ostatnich latach może błędem było to, że nie traktowaliśmy UE jak wroga, podczas gdy Bruksela traktowała Polskę pod rządami prawicy właśnie w ten sposób. Pamiętajmy, że tak wielu Polaków ma pozytywny stosunek do Unii, a bardziej stanowczy rząd wywołałby niezwykle silny opór. Orbán rozegrał to sprytniej, twierdząc, że jest za Unią Europejską, a jedynie przeciw Brukseli. Rząd węgierski nigdy nie atakuje UE, jedynie Brukselę. To taki zabieg, ale skuteczny.

Czyli Unia Europejska stanie się superpaństwem? Nowym imperium z centrum i peryferiami?

Tak, superpaństwem, i to oligarchiczno-despotycznym. Liczba i rodzaj kompetencji, które planuje się odebrać państwom członkowskim, sprawi, że państwa – oczywiście te słabsze – przestaną być państwami. W przypadku naszego kraju o wszystkim będzie się decydowało poza Polską.

To oznacza nie tylko fatalną pozycję Polski, lecz także nie będzie dobre dla Wspólnoty, zarządzanej centralnie przez biurokratycznego molocha. Taka unifikacja i rozszerzanie cechuje cywilizacje upadłe, ratujące się jakąś pozorną konsolidacją.

Integracja europejska od samego początku opierała się na mętnym języku ojców założycieli. Chodziło o zakończenie sporów – w końcu Francja i Niemcy od dekad toczyły spektakularne wojny. To

eprasa.pl 2da195ac22

miało pewien sens, ale rozmaite grupy interesu chciały w to wprzęgnąć swoje plany, a tam byli i konserwatyści, i katolicy, i liberałowie, i nawet komuniści. To nie jest tak, że integrację wymyśliła grupa chadeków o zbliżonej wizji rozwoju. W dyskusji nad początkiem Wspólnoty wiele jest myśli mętnych i niespójnych: narody są dobre i będą istnieć, lecz także państwa narodowe znikną w ciągu 50 lat, zostaną zastąpione przez europejskie braterstwo. Bardzo szybko integracja zmieniła zresztą dynamikę: z jednej strony utonęła w biurokratycznych technikaliach, a z drugiej stała się wehikułem zdobywania władzy. Górnolotne cele już od dawna nie mają treści, wyparły je samonapędzająca się biurokracja oraz walka o wpływy. Nic więc dziwnego, że Unia stała się chorym człowiekiem Europy. Nie obowiązują w niej żadne z tych zasad, jakie wypracowano na Starym Kontynencie dla dobrego systemu politycznego – nie ma ani przejrzystości, ani czytelnej struktury władzy, ani odpowiedzialności demokratycznej, ani skutecznych mechanizmów kontroli i rozliczania, ani równowagi instytucjonalnej, ani trwałych granic kompetencyjnych między instytucjami, ani ochrony przed partyjnością. Na dodatek tym wszystkim rządzi tzw. główny nurt, nieuznający legitymacji żadnej innej orientacji politycznej poza własną (czyli lewicową) i dąży do wykluczenia wszelkiej alternatywy. Ta tendencja, czyli trwałe usunięcie konserwatyzmu z Unii, tylko wzmacnia rodzący się despotyzm.

Chyba pozostaje panu zakończyć rozmowę pożegnaniem z polską państwowością, nadzieją, że może część dzieci uda się ocalić przed tęczową indoktrynacją i refleksją, że może przejście na islam, niczym francuski filozof René Guénon w latach 30. XX w., uratuje religijność chociaż monoteistyczną, skoro konserwatywna wizja się rozpada?

Zakończymy inaczej. Pamiętajmy, że w Polsce udało się stworzyć wyjątkowo silny ruch konserwatywny związany z chrześcijaństwem, będący ewenementem w skali całej Europy. Często nie zdawaliśmy sobie sprawy, do jakiego stopnia polski rząd i polska prawica wywoływały podziw i nadzieję w Europie oraz poza nią w środowiskach, które główny nurt oraz lewica zepchnęła do kąta. Bez względu na wynik wyborów ciągle mamy wielki potencjał i zdolność działania. Skoro zmienia się nieco pejzaż polityczny w Europie i partie konserwatywne, niekiedy odmienne od naszych, odnoszą okazjonalne sukcesy, to ten rodzący nurt musimy traktować jako nowe możliwości oddziaływania. Nic nie wskazuje na to, że Unia dorośnie do krytycznej autorefleksji i zejdzie z drogi oligarchizacji. Prędzej się rozpadnie niż powstrzyma siły, które sama uruchomiła. Nie chcę popadać w patos, ale, jak to zdarzało się w przeszłości, Polska i ruch, jaki wszyscy tutaj tworzymy, ma szansę nadal inspirować zmiany na lepsze w Europie.

> Mamy silne poczucie niższości oraz podświadomą pamięć o klęskach, okupacjach i niezliczonych ofiarach, jakie poniósł polski naród. Ale przecież aspiracje, które rząd PiS artykułował, nie były żadnymi szalonymi projektami, np. odbudowy imperium I Rzeczypospolitej, prawda? To normalne zamiary średniego, europejskiego kraju

Co zatem mogą robić konserwatywni Polacy, którzy nie chcą czekać od wyborów do wyborów i są zaangażowani bardziej niż tylko oddawaniem głosu raz na jakiś czas?

Jest wiele możliwości działania. Mamy płaszczyznę ściśle polityczną, powyborczą, która wymaga odpowiedniej strategii. Czekają nas wybory samorządowe i europejskie. Jest wreszcie życie we własnych instytucjach i środowiskach, gdzie będziemy przedmiotem agresji i gdzie musimy trwać. Istnieje też nieustanna potrzeba samoorganizowania, którą z sukcesem realizowaliśmy w czasach poprzednich rządów PO. Chciałbym zwrócić uwagę na jeden aspekt, szerszy, bo dotyczący również spraw europejskich i nawiązujący do mojej tezy o tworzeniu się systemu despotyczno-oligarchicznego. Za sprawą dzisiejszej elity władzy w Unii i w krajach członkowskich żyjemy w świecie zbudowanym na kłamstwie. Podstawowe pojęcia – na co już dawno zwrócił uwagę Bronisław Wildstein – przybrały odwrotne treści. Demokracja nie oznacza już systemu reprezentacji, lecz mechanizmy wykluczania jednych przedstawicieli społeczeństwa przez innych. Różnorodność to ideologiczny monopol. Pluralizm to niszczenie środowisk konserwatywnych. Wolność słowa to ostry i często wulgarny antychrystianizm oraz cenzura wypowiedzi krytycznych wobec drugiej strony. Rządy autorytarne (takie jak PiS) to rządy, gdzie jest więcej wolności niż w jakimkolwiek innym kraju zachodnim. I tak dalej. W ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci zamordyzm i kłamstwo uczyniły duże postępy, w czym zresztą wyjątkowo niechlubną rolę odegrały uniwersytety oraz media. W dzisiejszym świecie liczba wrogów jest zresztą ogromna, znacznie większa niż w komunizmie. Mamy mizoginię, seksizm, rasizm, homofobię, transfobię, islamofobię, eurocentryzm, fallocentryzm, logocentryzm, binaryzm, populizm, nacjonalizm, ksenofobię, mowę nienawiści, eurosceptycyzm, dyskryminację, kolonializm, patriarchat, białą supremację i tuziny innych. Mając taką armię nieprzyjaciół, ludzie rządzący dzisiejszym światem muszą tworzyć coraz liczniejszą policję myśli i częściej stosować represje. Na naszych oczach odtwarza się schemat, kiedyś sformułowany przez Stalina. Obecnie brzmi on: wraz z rozwojem liberalnej demokracji oraz europejską integracją wzmaga się walka z wrogami. Nie bagatelizujmy zagrożenia, mówiąc, że kłamstwo, które nas otacza, brzmi głupio i trywialnie. Dzisiejszego Europejczyka, również tego polskiego, można scharakteryzować słowami Leo Straussa: „Rzępoli w czasie, gdy Rzym płonie. Tłumaczą go dwie rzeczy: nie wie, że rzępoli oraz nie wie, że Rzym płonie”.

eprasa.pl 2da195ac22

Apokalipsa, która nie nadchodzi

Konsensus naukowy twierdzący, że ocieplenie wywołała głównie działalność człowieka, nie ma naukowych podstaw. „Padliśmy ofiarą aktywizmu podającego się za naukę" – uważa Steven E. Koonin, fizyk, autor książki „Kryzys klimatyczny? Prawdy, półprawdy i kłamstwa". Wiedza naukowa jest niewystarczająca, aby przewidzieć, jakim zmianom ulegnie klimat w nadchodzących dekadach



MACIEJ WALASZCZYK

Ocieplenie klimatu jest faktem, wpłynięcie na zatrzymanie tego procesu jest jednak niemożliwością i niebezpieczną dla ludzi utopią. W 1982 r. Mostafa Tolba z programu Ochrony Środowiska ONZ zapowiadał katastrofę ekologiczną, która miała nastąpić już 23 lata temu. W ostatnich latach w podobnym tonie wypowiadało się wielu urzędników globalnych agend, polityków oraz naukowców. Jak doszło więc do tego, że klimatyczni alarmiści zdominowali politykę?

Steven E. Koonin jest zdania, że twierdzenie o „egzystencjalnym zagrożeniu dla ludzkości" nie ma naukowych podstaw. Dlaczego zatem pomysły w rodzaju Nowego Zielonego Ładu, nieliczące się topieniem miliardów dolarów, lekceważące międzypokoleniowe czy geograficzne realia, są tak bezwzględnie wprowadzane w życie? Autor przywołuje myśl Henry'ego L. Menckena, przed wojną znanego amerykańskiego dziennikarza, bystrego obserwatora życia politycznego, który ostrzegał, że głównym celem praktyki politycznej w masowej demokracji jest utrzymywanie domagającego się ochrony społeczeństwa (wprost pisał o „motłochu") w stanie paniki i mnożenie zagrożeń, z których większość jest fikcją. Mencken twierdził też, że dążenie do zbawienia ludzkości jest najczęściej maską, pod którą ukrywa się dążenie do zdobycia władzy. Walka o wykładnię „prawdy klimatycznej" to element ekonomicznej rywalizacji. Za jej pomocą *de facto* dokonuje się redystrybucji światowego bogactwa i zasobów,

eprasa.pl

transferu technologii, globalnego handlu, np. prawami do emisji CO_2. Dlatego uderzanie w apokaliptyczne tony, namawianie naukowców do przesady i manipulacji badaniami ma na celu wymuszenie zmian społecznych.

ZABETONOWANY „KONSENSUS"

Książka „Kryzys klimatyczny? Prawdy, półprawdy i kłamstwa" nie jest fragmentem naukowej debaty na temat zmian klimatycznych. Bo ta ostatecznie została zamknięta, a obowiązująca „prawda" na temat ich przyczyn zadekretowana. Autor książki jest fizykiem, był głównym naukowcem w koncernie paliwowym BP, w którym zajmował się energią odnawialną, a następnie podsekretarzem stanu ds. nauki w Departamencie Energii w administracji Baracka Obamy. Jego praca stanowi raczej świadectwo oporu części naukowców przeciw tzw. konsensusowi naukowemu, twierdzącemu, że działalność człowieka odpowiada za wzrost średnich temperatur na naszej planecie. Jest tym ciekawsza, że napisana przez zbiega z obozu amerykańskiej lewicy, dla której ów konsensus to jeden z dogmatów w sensie dosłownym. Choć jak sam przyznaje, naukowy konsensus to sprzeczność sama w sobie, bo sprzeniewierza się on powołaniu nauki, dla której czymś naturalnym powinno być stawianie pytań, rewizja dotychczasowych ustaleń i debata.

Ponad 10 lat temu w Niemczech wydano książkę „Zimne słońce. Dlaczego nie ma klimatycznej katastrofy" Fritza Vahrenholta i Sebastiana Lüninga. Vahrenholt to polityk SPD, należał do pionierów ruchu ekologicznego w Niemczech i był zwolennikiem tezy o zasadniczym wpływie dwutlenku węgla wytwarzanego przez człowieka na klimat. Dziś, jak się o nim mówi, „należy do mniejszości, która lekceważy globalne ocieplenie". Koonin przyznaje również, że gdy pracował w sektorze prywatnym, uważał, że ustabilizowanie oddziaływania człowieka na klimat poprzez ograniczenie emisji gazów jest pewnym „wyzwaniem". W czasie służby dla amerykańskiego rządu skłaniał się jednak ku poglądowi, że najwyżej istnieją takie „możliwości". Powrót do pracy naukowej utwierdził go jednak w przekonaniu, że jest to „praktycznie niemożliwe".

PRZERWANA ZMOWA MILCZENIA

Analizy i informacje na temat klimatu są gromadzone w różnego rodzaju raportach. Najważniejszy z nich jest ten tworzony pod auspicjami ONZ przez Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu (IPCC). Władze USA raz na cztery lata wydają także Krajowy Podsumowujący Raport Klimatyczny, którego częścią jest Specjalny Raport Klimatyczny (CSRR). Przybliżają one naukowe ustalenia przeciętnemu odbiorcy. Zdaniem Stevena E. Koonina celem tych sprawozdań jest jednak raczej przekonywanie, a nie informowanie. Badania ekspertów często były naciągane pod postawioną tezę, a informacje w mediach przygotowywane przez rządy i ONZ nie odzwierciedlały treści raportów.

Koonin twierdzi, że przypadkiem przerwał zmowę milczenia w sprawie odpowiedzialności człowieka za zmiany klimatyczne na Ziemi, mającą wszelkie znamiona mafijnej omerty. Po publikacji jego wątpliwości pojawiły się postulaty, by lepiej nie ujawniał swoich wniosków, że podważają one naukę i dają przeciwnikom broń do ręki. W końcu – że jego rodzimy uniwersytet powinien raz jeszcze przemyśleć jego umowę o pracę. Byli i tacy, którzy zrównywali go z negacjonistami Holokaustu.

Wszystko zaczęło się od tego, że pod koniec 2013 r. Koonin został poproszony przez Amerykańskie Towarzystwo Fizyczne o analizę najnowszych doniesień na temat klimatu. W ramach tego projektu wraz z innymi fizykami wziął więc udział w stress testach, mających za zadanie sprawdzić aktualny stan klimatologii. Chodziło o podsumowanie dostępnej wiedzy na temat klimatu panującego na Ziemi w przeszłości: jak się on zachowuje, z jaką precyzją można przewidzieć jego przyszłość. Okazało się, że badania nad klimatem są słabo zaawansowane, a wyniki konstruowanych przez międzynarodowe agendy komputerowych modeli klimatycznych różnią się od siebie. Każda ich generacja dawała coraz bardziej rozbieżne rezultaty. Im nowsze, tym paradoksalnie opis przewidywanej przyszłości okazywał się mniej pewny. Autor odkrył to dopiero po bardzo wnikliwych analizach. Pierwotnie różne modele dawały różne wyniki, w których średnia globalnej temperatury powierzchni różniła się aż o 3 st. C (!), a informacje przekazywane opinii publicznej to jedynie ich uśredniony obraz. Tymczasem ma to swoje konsekwencje, gdyż prognozowana wyższa temperatura musi mieć też wpływ na zakładaną mniejszą powierzchnię lodowców, pokrywy śnieżnej i znacznie mniejsze generowane przez nie odbijanie promieni słonecznych. To wszystko powinno więc dawać inny obraz prognozowanej przyszłości.

Zdaniem autora modele używane przez IPCC są zawodne bez względu na ilość wprowadzonych informacji i zwiększone moce obliczeniowe komputerów. Okazuje się bowiem, że im więcej zmiennych parametrów, tym większa liczba niepewności. Świat jest bardzo nieprzewidywalny. Symulacje nie potrafiły wyjaśnić przyczyn intensywnego ocieplenia, zaobserwowanego w przeszłości w latach 1920–1940. „Nie mają bladego pojęcia, co powoduje to niepowodzenie symulacji, nie potrafią powiedzieć, dlaczego klimat uległ zmianie" – zwraca uwagę Koonin. To ważne, bo zaobserwowane wówczas skokowe ocieplenie jest porównywalne z tym przewidywanym na koniec XXI w., a to raporty z dużym przekonaniem przypisują ludzkiej ingerencji. Skoro symulacje nie są w stanie odtworzyć warunków panujących w przeszłości, to znaczy, że podkopane zostało zaufanie do ich możliwości przewidzenia klimatu w przyszłości. Zwłaszcza odróżnienia wpływu człowieka od wpływu czynników naturalnych.

RAZ CIEPLEJ, RAZ ZIMNIEJ

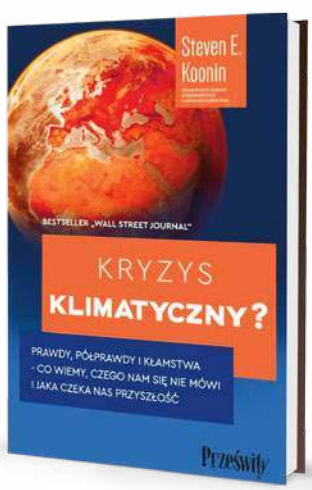
Klimat nie jest tożsamy z pogodą, panującą akurat w danej chwili za oknem. Temperaturę naszej planety ustala Słońce – jego światło ją ogrzewa, istnieje też promieniowanie wychładzające ją. Ludzie i natura również potrafią zakłócać ten balans, np. emitując gazy cieplarniane. Koonin przyznaje, że urbanizacja, rozwój przemysłu, eksploatacja paliw kopalnych

Fot. Shutterstock

oraz gwałtowny wzrost demograficzny spowodowały wzrost ich emisji. Powierzchnia Ziemi, szczególnie bliżej biegunów, ogrzewa się jednak szybciej niż wody oceanów. Zwłaszcza zimą. Cała planeta to przestrzeń zawierająca niepoliczalne ilości informacji i zmiennych. Koonin wielokrotnie zwraca uwagę, że wiedza na temat cech klimatu oraz oddziałujących na niego zjawisk naturalnych wciąż jest niewielka. Jeszcze mniejsza jest kontrola nad nimi, gdyż ziemski system klimatyczny wykazuje dużą wewnętrzną zmienność. Zauważalne lokalnie zmiany klimatu mają niewiele wspólnego z tym zjawiskiem w skali globalnej. Nie wykazano też zależności między działalnością człowieka a siłą huraganów, globalne ocieplenie nie wpływa zaś i nie wpłynie na stan gospodarki.

Najsłynniejszym wykresem, którym posługują się zwolennicy konsensusu klimatycznego, jest ten pokazujący, że od 1850 do 2010 r. średnia temperatura powierzchni ziemi wzrosła o 1 st. C. Koonin zauważył, że w ten sposób można otrzymać każdy wynik, w zależności od tego, jaki okres wybierzemy. Tak media manipulują danymi. W latach 1900–2020 średnia wynosiła 0,09 st. C, ale już w latach 1980–2020 0,2, a więc dwa razy więcej. Jednak w latach 1940–1980 było wręcz odwrotnie, -0,05 st. C. Co ciekawe, między 1910 a 1940 r. tempo wzrostu także było dwukrotnie wyższe, wynosząc dokładnie 0,17 st. C. Lecz Koonin pisze o jeszcze innych paradoksach. Zgodnie z badaniami geologicznymi najbliższy czasom obecnym ciepły okres rozpoczął się 127 tys. lat temu i trwał ok. 20 tys. lat. Średnia temperatura na Ziemi podniosła się wtedy o 2 st. C, a temperatura górnych warstw oceanów była o 2–3 st. wyższa niż dzisiaj. Fizyk dowodzi m.in., że zmiany klimatyczne na naszej planecie miały miejsce także 100, 500 czy 1500 lat temu. W jaki więc sposób mógł na nie wpływać człowiek sprzed ery przemysłowej, gdy liczba ludności, głównie trudniącej się rolnictwem, stanowiła kilka procent obecnej populacji?

> Koonin przerwał zmowę milczenia w sprawie odpowiedzialności człowieka za zmiany klimatyczne na Ziemi. Po publikacji jego wątpliwości pojawiły się postulaty, by lepiej nie ujawniał swoich wniosków, że podważają one naukę i dają przeciwnikom broń do ręki



Owszem, emisja dwutlenku węgla oraz innych gazów cieplarnianych, takich jak metan, oznon i tlenek azotu, wywołuje ocieplenie, lecz powstałe w ten sam sposób aerozole równocześnie dają efekt ochładzania. Bo Ziemia również oddaje nadmiar ciepła. Dodatkowo wyprodukowany przez człowieka CO_2 to relatywnie mały dodatek do trwającego rozległego naturalnego jego obiegu między skorupą ziemską, wodami, roślinnością i atmosferą. Człowiek odpowiada tylko za 1 proc. tego zjawiska. Co ciekawe, stężenie dwutlenku węgla przez miliony lat było dużo wyższe niż obecnie. W geologicznej przeszłości Ziemi tylko raz, w permie, 300 mln lat temu, atmosferyczny poziom CO_2 był tak niski jak obecnie. Fauna oraz flora rozwijały się szybciej, choć w innych warunkach stężenie gazu było nawet dziesięciokrotnie wyższe niż dzisiaj.

Jednym z głównych argumentów podnoszonych przez Koonina jest ten, że dwutlenek węgla wyemitowany do atmosfery będzie się w niej kumulował przez setki lat, zanim nie wchłoną go oceany i roślinność. Kosztowne ograniczenia, do jakich zmuszane są gospodarki narodowe, jedynie w niewielkim stopniu opóźniają jego wzrost, ale mu nie zapobiegną. Nie ma też możliwości ustabilizowania tej sytuacji. Np. ograniczenie emisji gazów cieplarnianych, w tym CO_2, oznacza również ograniczenie emisji schładzającego Ziemię aerozolu. Dlatego liczba ograniczeń i wymogów dla gospodarki przewyższa liczbę niepewnych korzyści. Bogate kraje mają oczywiście zasoby pozwalające na zmniejszanie emisji przy jednoczesnym utrzymaniu poziomu bogactwa, kraje rozwijające się nie mają jednak na to szans. Co więcej, ich potrzeby wynikające z konieczności rozwiązania wielu doraźnych problemów, takich jak budownictwo mieszkaniowe, transport czy energetyka, spowodują tylko wzrost emisji. Istnieją reguły wzrostu ekonomicznego i np. eksploracja nowych nośników energii wcale nie powoduje likwidacji dotychczas używanych. Np. w USA ilość energii pozyskiwanej z drewna w taki sposób jak w XIX w. jest obecnie taka sama, jak za czasów wojny secesyjnej.

Dziś Steven E. Koonin uważa, że to przede wszystkim naturalne fluktuacje systemu klimatycznego przyczyniają się do ocieplenia obserwowanego w ostatnich latach. Świat znajduje się jednak pod presją propagandy, której oś stanowi teza, że to działania człowieka, w tym głównie emisja CO_2 do atmosfery, powodują jej ocieplenie. Autor przekonuje, że nie ma wystarczających danych pozwalających rozróżnić, które zmiany spowodowane są działalnością człowieka, a które przez źle rozumiane procesy naturalne. Obecna wiedza naukowa jest niewystarczająca, aby przewidzieć, jakim zmianom ulegnie klimat w nadchodzących dekadach oraz jaki wpływ na nie będzie miał człowiek. Jako obywatel fizyk był zaniepokojony faktem, że publiczne i polityczne debaty na temat klimatu bazują na dezinformacji.

eprasa.pl 20



Tytułowa Golda mogłaby przynieść Helen Mirren kolejnego Oscara. W innych czasach może tak. Ale wojna w Strefie Gazy – i dla roli, i dla aktorki – stała się dziś bardziej obciążeniem niż atutem w drodze po statuetkę

Żelazna dama

Fot. mat. prasowe

eprasa.pl 2da195ac22



Fot. mat. prasowe

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Od czasu tegorocznego Berlinale, na którym witano ją po królewsku i gdzie po raz pierwszy przedstawiła swoje najnowsze aktorskie wcielenie, Helen Mirren nie wypowiadała się zbyt często na temat Goldy Meir. Nie komentuje też napiętej sytuacji w Strefie Gazy. Aktorka, która w ostatnich latach stała się specjalistką od kreowania królewskich ról, jak przystało na monarsze – choćby tylko ekranowe – doświadczenia, zachowuje wstrzemięźliwość w wyrażaniu opinii na temat kraju, w którego polityczną osobowość tak niedawno się wcieliła. Nie popełnia błędu narażającego kilka hollywoodzkich gwiazd na ostrą reakcję.

JEDYNIE SŁUSZNE

Wypowiedź na nowojorskim proteście przeciwko wojnie w Gazie sprawiła, że agencja, która od blisko dekady reprezentowała Susan Sarandon, zerwała z nią współpracę. Komentarze potępiające Izrael kosztowały Melissę Barrerę utratę roli w kolejnym horrorze z cyklu „Krzyk". Angelinę Jolie, gdy pochyliła się na Instagramie nad tragedią palestyńskich dzieci, zmitygował ostro jej własny ojciec Jon Voigh. Dostało się też wychowanej w Izraelu Gal Gadot. Odtwórczyni roli Wonder Women musiała się mocno tłumaczyć z powodu wpisu: „Modlę się za ofiary konfliktu". Oczekiwano od niej bezwarunkowego opowiedzenia się po „jedynie słusznej" stronie.

Taka presja sprawia, że film, który mógłby stać się ważnym dopełnieniem czy nawet komentarzem do dzisiejszych napięć i wojennych działań w Strefie Gazy, raczej nie może spełnić podobnej roli. Chyba też nie bez powodu w krajach, w których nie udało się wprowadzić obrazu Guya Nattiva na duże ekrany przed atakiem Hamasu, „Golda" zamiast do kin trafiła na platformy medialne.

NOWY WYMIAR

A miał to być obraz (w 75. roku istnienia państwa Izrael) przypominający wydarzenia sprzed równo pół wieku, gdy 6 października wybuchła wojna Jom Kippur. Szefem izraelskiego rządu była wtedy Golda Meir.

Nikt się nie spodziewał, że hołd dla oddanej państwu i narodowi bohaterki, kobiety sprawczej, silnej i bez wahania podejmującej rozliczenia z tymi, którzy stanowią zagrożenie dla Izraela, zyska nowy wymiar. I – jak na ekranie – służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo Izraela znów zostaną zaskoczone. W 1973 r. skoordynowaną napaścią Egiptu i Syrii, 7 października 2023 r. atakiem terrorystycznym Hamasu.

Izraelski reżyser Guy Nattiv (rocznik 1973) podjął się przywołania ważnych dla jego kraju wydarzeń, używając najlepszego z możliwych filtra. Opowiedział o nich przez pryzmat losów i działań charyzmatycznej bohaterki. W Izraelu wciąż kontrowersyjnej, więc reżyser i scenarzysta dokonali wielu starań, by Golda Meir zaistniała na ekranie nie tylko jako twardy polityk, lecz także szanująca wartości kobieta i cierpiący na nieuleczalną chorobę człowiek, który jednak dobro kraju przedkłada nad swoje zdrowie.

ODWAŻNA I ODDANA

Fabuła „Goldy" skupia się na trwającej niecałe trzy tygodnie wojnie Jom Kippur, a także na migawkach z 1974 r., kiedy Meir po politycznych rozliczeniach ustępuje ze stanowiska premiera oraz cztery lata później, gdy przegrywa walkę z rakiem.

Podczas Berlinale Helen Mirren podkreślała, że jej bohaterka była bardzo odważna i całkowicie oddana swojemu państwu. „W tym sensie granie jej przypominało mi trochę rolę Elżbiety I, której zaangażowanie w sprawy kraju i narodu było olbrzymie. Co więcej, osiągnęła to, nie będąc dyktatorem. Miała też w sobie duże pokłady macierzyńskich uczuć. Chętnie gotowała, uwielbiała nowoczesny sprzęt kuchenny. Zresztą jest to coś, co nas łączy, bo ja też ciągle kupuję nowy sprzęt do kuchni".

Akcja „Goldy" toczy się głównie w gabinetach, więc ciężar filmowego przekazu spoczywa przede wszystkim na głównej bohaterce i grającej ją aktorce. Mirren, zmieniona nie do poznania przez charakteryzację, wywiązuje się z zadania oscarowo. Maluje portret „żelaznej damy Izraela" tak, że chwalą ją nawet ci, którym nie podobało się, że nie-Żydówka zagra Meir. Choćby nawet była to aktorka nagradzana za królewskie role (nominacja do Oscara za królową Charlottę w „Szaleństwie króla Jerzego", 1994; Złoty Glob za tytułową „Elżbietę I", 2005; Złoty Glob i Oscar za rolę Elżbiety II w „Królowej", 2006; nominacja do Złotego Globu za tytułową „Katarzynę Wielką", 2019).

RODZINNE POWIĄZANIA

Czy z powodu wspomnianej niechęci podczas festiwalu filmowego w Jerozolimie w lipcu 2023 r. zdecydowano się przedstawić odkrycia strony internetowej zajmującej się genealogią? Ogłosiła ona, że Helen Mirren jest spokrewniona z Goldą Meir. Podobnie jak z dwoma prezydentami Izraela oraz z rodzinami królewskimi Europy, co „czyni z królowej Elżbiety II jej 14. kuzynkę". Wszystko to za sprawą linii ze strony ojca. Helen Lydia Mironoff jest córką Angielki i Rosjanina, jej dziadek był rosyjskim arystokratą.

Aktorka tak skomentowała genealogiczne rewelacje: „To tylko pokazuje, że wszyscy jesteśmy tak naprawdę jedną rodziną [...]. W czasach podziałów i konfliktów byłoby bardzo dobrze, gdybyśmy wszyscy o tym pamiętali".

eprasa.pl 2da195ac22

Kaszubi kontra junkrzy: serial „Kamerdyner”

TVP odniosła frekwencyjny sukces prościutkim, ale urokliwym romansem „Dewajtis” według Marii Rodziewiczówny. Teraz przyszedł czas na coś bardziej skomplikowanego. „Kamerdyner” Filipa Bajona to film z 2018 r., który otwierał wtedy festiwal w Gdyni. Teraz przerobiono go na serial. Jestem po czwartym, przedostatnim odcinku.

To przypadek współdziałania ponad przepaściami. Głównym producentem jest Filmicon, lecz serial koprodukuje Next Film z grupy Agory i prawicowa TVP. Film został wsparty nie tylko przez PISF, lecz także resort kultury. Głównym sprawcą był wiceminister Jarosław Sellin, polityk PiS i Kaszub. Jak widać, ich etos nie musi mieć jednej barwy politycznej.

„Kamerdyner” to saga dziejąca się między 1900 i 1945 r. Bohaterami są z jednej strony niemieccy junkrzy, rodzina Kraussów, z drugiej Kaszubi: miejscowy lider Bazyli Miotke i Mateusz, nieślubny syn hrabiego von Kraussa, w kilku momentach kamerdyner na dworze. Sellin dojrzał w tej opowieści wartości historyczne – obraz przywiązania kaszubskiej społeczności do polskości, za którą optuje Miotke, czy przypomnienie masakry kaszubskiej elity w Piaśnicy w 1939 r. O tym fragmencie skomplikowanej, wielobarwnej, lecz jednak polskości mało kto pamiętał.

Zarazem nie jest to film nie czarno-biały. Bajon już w „Magnacie” (i jego serialowej wersji „Biała wizytówka”) ujawnił fascynację polsko-niemieckim pograniczem. Tam chodziło o rodzinę księcia Pszczyńskiego na Śląsku, tu o pruskich ziemian otoczonych kaszubskim żywiołem na Pomorzu. W obu przypadkach mamy do czynienia z przekonaniem, że były to relacje oparte na konflikcie, lecz chwilami także na symbiozie. Kraussowie są portretowani z niejaką sympatią, w czym zasługa aktorów, zwłaszcza Adama Woronowicza (Krauss) i Anny Radwan (żona hrabiego). Przeciwstawiona jest im charyzma Miotkego (w tej roli ponadsiedemdziesięcioletni Janusz Gajos, grający w początkowych sekwencjach mężczyznę w sile wieku) i sympatyczna natura Mateusza (Sebastian Fabijański), żyjącego jakby na pograniczu dwóch narodowych świadomości.

Czy to prawdziwy obraz? Możliwe, że animatorami zemsty na Kaszubach w 1939 r. byli naprawdę miejscowi niemieccy plebejusze, nie junkrzy. Mnie jednak to szukanie polsko-niemieckiej symbiozy wydało się miejscami zbyt cukierkowe. Zarazem Bajon nie uniknął historycznych nieścisłości. Kraussowie wydają swoją córkę za innego Prusaka w katolickim kościele, a powinni być, na co wszystko wskazuje, protestantami. Sekwencja kościelna jest jednak potrzebna do fabularnego udramatyzowania akcji.

Serial tak jak film jest ładnie inscenizowany, świetnie grany, choć dziwne przeskoki czasowe bez ostrzeżenia (w czwartym odcinku z 1923 do 1934 r., a potem 1939 r.) nie ułatwiają ogarnięcia akcji, a klimat jest zimniejszy niż w „Magnacie”. Większą wątpliwość budzi co innego. Mateusz jest w domu hrabiego początkowo traktowany niemal jak członek rodziny, bękart pana domu. Problemy zaczynają się, gdy dochodzi do romansu między nim i córką Kraussa Maritą (Marianna Zydek). To budzi opory, lecz klasowe i narodowościowe. A przecież są rodzeństwem. Kazirodztwo było wtedy jednym z największych tabu.



Zarazem Bajon, liberał, ale starej daty, spotkał się z krytyką innego rodzaju. Syn hrabiego Kurt (Marcel Sabat) jest nazistą, a także homoseksualistą, toteż niektórzy zarzucili reżyserowi stworzenie karykatury geja. Z podobną krytyką spotkał się Janusz Majewski za innego homoseksualnego hitlerowca – w „Czarnym mercedesie”. Grał go, *notabene*, także Sabat. Tak oto polityczna poprawność zawitała i do nas, w najbardziej niemądrej postaci.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Niech ogarnie nas wieczność



ROBERT TEKIELI

Czy budzisz się bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem? Czy masz tendencję do niekończenia czynności? Czy w twoim życiu wszystko się raczej rozkłada niż składa, czy seriami dzieją się nieszczęścia, tragedie? Czy nie możesz znaleźć radości w życiu, mimo że po ludzku masz wszystko: pieniądze, sukces, szczęście, ludzi kochających i do kochania? Czy nie masz z czego żyć? Czy trudy życia sprawiają, że boisz się rano wstawać? Czy spowiadasz się ciągle z tych samych grzechów? Czy czujesz oschłość, mimo że według jesteś wszystkich blisko Boga? Czy jesteś niewolnikiem czasu, czy nieba? Zagubiłeś się w sukcesie? Czy zwyczajnie nie wiesz, co masz dalej z życiem robić? Czy jesteś szczęśliwy?

Czas adwentu jest nie tylko oczekiwaniem na kolejne narodzenie się Kosmicznego Jezusa, tego nie-do-ogarnięcia-umysłem, tego, który naprawdę umiera w każdej ofierze mszy świętej i który raz do roku naprawdę znów się rodzi. Adwent to również przypomnienie, że czas tylko pozornie kołem się toczy. Przypomnienie, że koniec świata nastąpi. Że zobaczymy Jezusa Zwycięskiego, Jezusa Końca Czasów, Jezusa-Boga w całym majestacie i niewyobrażalnej potędze.

Dla każdego z nas Jezus jest pokornym włóczęgą, nieśmiało pukającym do naszych drzwi, jak akwizytor prawdy, która cię wyzwoli. O ile zechcesz go wysłuchać i pójść za jego opowieścią. Dziś Jezus jawi się jako ktoś bezsilny, bo możesz go odrzucić jednym skinieniem woli. Ba, jeśli od długiego czasu żyjesz poza zasięgiem Bożych przykazań, od dawna możesz już nie słyszeć jego pukania i głosu. Ale Jezus pokazuje się nam taki tylko po to, by nie łamać naszej wolnej woli. Bo on jest wszechmocny i w czas adwentu, czyli czas przyjścia, przybycia, mówi nam, że takim niewyobrażalnie potężnym go zobaczymy. Przyjdzie moment, kiedy skończy się czas i wszystkich ogarnie wieczność.

Nie widzimy jasno spraw tego świata. Ale to jest pewne, że będzie sąd, będzie sprawiedliwość. Drugie pewne, że kto zaufa Bogu, nie zawiedzie się. Zostanie wybawiony ten, kto o pomoc prosi. Lecz czas jest nam nieznany.

Dlaczego tak łatwo lekceważyć grzech? Ile wymówek, technik wypierania, fałszywego minimalizowania jego konsekwencji potrafię stosować? I jak dobrze się widzi rzeczy, jak łatwo się oddycha, gdy jest się w sobie jednoznacznym?

Nie widzimy jasno spraw tego świata. Ale to jest pewne, że będzie sąd, będzie sprawiedliwość. Drugie pewne, że kto zaufa Bogu, nie zawiedzie się. Zostanie wybawiony ten, kto o pomoc prosi. Lecz czas jest nam nieznany

Jednocześnie tak łatwo przecenić grzech i wpaść w rozpacz. Ale trzeba widzieć zło oczyma Jezusa, nie oczyma swego przerażenia. Pamiętać, że Jezus zniszczył śmierć.

Czas adwentu to okres, w którym łatwiej jest nam poddać się Bożemu oczyszczeniu. To czas wielkiej łaski. Jest wiele sposobów, dzięki którym możemy się na nią otworzyć. Przykazania i błogosławieństwa nadają miłości konkretny kształt. Dając, otrzymujemy; wybaczając, zyskujemy przebaczenie; umierając dla bliźnich, ograniczając swój egoizm, rodzimy się do wiecznego życia.

Okres adwentu to czas oczekiwania na Jezusa, na wysłannika Ojca. Stworzyciela ładu, prawdy i miłości. Miłość nie wyrządza zła bliźniemu. Cierpieć i nie szukać odwetu – to jest naśladowanie Jezusa. Przerywa się wtedy łańcuch, spirala przemocy. Lecz żeby wejść w zażyłą więź z Bogiem, muszę uznać za śmieci wszystko co mam, czego pragnę. Uznać życie za wyłączny dar od Boga. To jest prawdziwa wolność, ale ma ona wielką cenę. Cierpienie, trud, ofiara, zapominanie o sobie. Nie potrafię zrezygnować ze swego egoizmu. Wszystko we mnie buntuje się, nie chcę nieść swojego krzyża. Zawsze wypatruję drogi na skróty, nieuporządkowanego pocieszenia, ucieczki od wysiłku.

Adwent jest czasem radosnego oczekiwania, ale jednocześnie powinien budzić otwarcie się na perspektywę śmierci. Zdarzało mi się rozmawiać z umierającymi. Zbliżająca się śmierć kazała im pytać o sprawy zasadnicze. I przez te cztery tygodnie adwentu każdy z nas jest pytany o sprawy zasadnicze. Czy możesz spokojnie umrzeć? Nie znamy dnia ni godziny. Dla każdego z nas przygoda z tym najlepszym ze światów może się skończyć w każdej chwili.

Wiara jest łaską, trzeba o nią prosić. Jest drogą do szczęścia. Wiara umożliwia smakowanie dobroci Boga.

eprasa.pl 2da195ac22

WOJNA CYWILIZACJI



POPKULTURA

Warte Wielkim pozytywnym zaskoczeniem był dla mnie film ***„Sicario”*** w reżyserii Denisa Villeneuve. Sięgnąłem po niego, widząc w obsadzie nazwisko Benicia Del Toro, którego kariery nigdy nie śledziłem, a który zachwycił mnie swoją rolą w thrillerze pt. „Gad”. Villeneuve stworzył fabułę lśniącą jak czyste ostrze. Walka z kartelami w Meksyku jest właściwie pretekstem, obraz świata, jaki odsłania „Sicario”, otwiera oczy.

Ktoś może powiedzieć, że jest to opowieść o cenie moralnych kompromisów. Doskonała Emily Blunt jako idealistyczna agentka z FBI rzeczywiście toczy wewnętrzną walkę, szukając większego dobra, co nie jest łatwe, bo specjalna jednostka antynarkotykowa, do której została dokooptowana, walczy z czystym złem, co oznacza, że wszyscy jej członkowie podążają ku jądru ciemności. Ale to nie jest istotą przesłania filmu Denisa Villeneuve. Nie chcąc spojlerować, ujmę rzecz w sposób następujący: w scenie zamykającej film były meksykański prokurator, któremu szef kartelu zamordował żonę, a córkę rozpuścił żywcem w kwasie, radzi agentce: „Przeprowadź się do małego miasta, gdzie wciąż istnieje prawo. Tutaj nie przetrwasz. Nie jesteś wilkiem. A teraz to ziemia wilków”. Ta rada ma wielką wartość dla każdego polityka, dziennikarza, policjanta czy prokuratora pod każdą szerokością geograficzną. W pewnym momencie człowiek dotyka granicy, po przejściu której nie może już wieść normalnego życia, mieć rodzinę, żonę, dzieci. I musi podjąć decyzję.

„Sicario” to doskonałe kino, film warto obejrzeć choćby dla samych sekwencji eskortowania członka kartelu przez zakorkowane Juárez oraz dla sceny ataku na konwój na granicy. Juárez, miasto bestia, w którym w biały dzień wiszą nagie trupy, pozbawione głów, rąk, nóg, to tylko spektakularna odsłona świata, w którym żyjemy. Lecz pamiętajmy, są jeszcze małe miasteczka.

POPKULTURA

Niekoniecznie ***„Morbius”*** jest filmem z uniwersum Marvela, tytułowy bohater to jeden z mniej ważnych przeciwników Spider-Mana. Ten „żyjący wampir” dostał ponad 100 min tylko dla siebie, jednak twórcom nie udało się stworzyć historii naprawdę wciągającej. Jared Leto nie wykreował również postaci na miarę sztandarowych produkcji Marvela. Nie pomaga też kulawy scenariusz. Film dla fanów.





Podobnie jest z thrillerem SF zatytułowanym ***„Anon”*** w reżyserii Andrew Niccola, pomysłodawcy i scenarzysty „Truman Show”, reżysera i scenarzysty filmu „Gattaca – szok przyszłości”. „Anon” nie porywa, fabułę próbują ratować Clive Owen („Tożsamość Bourne'a”, „Sin City”) i Amanda Seyfried („Mamma Mia!”, „Mank”), walcząc z na kolanie zdałoby się napisanym scenariuszem. Jedyne, co ratuje tę produkcję, to klimat, zimne zdjęcia, sterylna scenografia miasta przyszłości. Kino noir w stylu SF, jeśli komuś wystarczy.

Równie nijaki, choć z zupełnie nieźle zakręconą historią, jest horror SF pt. ***„Black box”***. Mamy tu grzebanie się w podświadomości i ciekawą ideę łączącą hipnozę z rzeczywistością wirtualną, a intryga trzyma w napięciu aż do samego finału. Niestety, rzecz kładzie aktorstwo. Dość powiedzieć, że na tle bohaterów pierwszoplanowych błyszczy Phylicia Rashad, najbardziej znana z roli miłej żony w serialu „Bill Cosby Show”, a przecież nie dałoby się wyobrazić jej w dialogu z Johnem Malkovichem czy Anthony Hopkinsem.



Przy okazji czytelników moich pozytywnych recenzji „The Walking Dead” ostrzegam przed oglądaniem spin-offu tego serialu, który został zatytułowany „Fear the Walking Dead”. Jak nieumarli, wyżera oczy.

Na koniec zaś nie podam nawet tytułu filmu, którego ścieżka dźwiękowa zaczyna się od słów: „Źródła podają, że światowe źródła energii wyczerpią się w ciągu pięciu lat”, a nie jest to komedia. Dalej jest jeszcze lepiej: „Ziemia zniknęła. Ale to dopiero początek...”.

Robert Tekieli, *Polskie Radio*

Wonne eseje węgierskiego Hioba

To eseje pisane z wiedzą filozofa i lekkością poety – podpowiada nam autorka przekładu. To prawda. Autor dodaje też, jak postępować z tą książką. Radzi, by w ogóle nie trzymać jej w bibliotece. „Nawet nie warto jej tam czytać. Daje przyjemność jedynie w korzennym zapachu drzew laurowych. Najlepiej po kawie, kiedy człowiek spoczywa na leżaku, zaciąga się wonnym papierosem, przeczyta półtorej strony i zapada w słodką drzemkę" – pisze Béla Hamvas. Pisarz, który na Węgrzech wciąż jest odkrywany, pozostawił po sobie bogatą spuściznę zachwycającą stylem i delikatnością. Od 1951 do 1964 r. pracował na wielkich socjalistycznych budowach jako robotnik, mieszając zaprawę murarską lub wydając cement z magazynu, a nawet przygotowując towarzyszy pracy do matury. Siedząc w swoim baraku o świcie lub wieczorem, ciągle coś podczytywał, uczył się hebrajskiego, sanskrytu, tłumaczył z chińskiego, pisał. Świadomie usunął się ze świata. W ten sposób powstawały jego powieści i wspaniałe eseje.

Zanim stał się ofiarą marksistowskiego filozofa Györgya Lukácsa – bo to on w imieniu komunistycznych władz wydał polecenie, by wyrzucić Hamvasa z pracy w bibliotece, wysłać na przemiał wszystkie jego książki, głównie filozoficzne, i pozbawić go możliwości wykonywania jakiejkolwiek pracy umysłowej – został doświadczony w jeszcze inny sposób. Zimą 1945 r. w czasie oblężenia Budapesztu bomba trafiła w jego dom, zniszczona została wtedy jego bogata biblioteka wraz z tysiącami stron rękopisów. „[...] z przerażenia i bólu ryczałem jak Hiob. [...] Ale dość prędko zrozumiałem, że człowiek może wstąpić w świat bytowania dopiero po utracie posiadania" – pisał. Rzeczywiście, jak informuje w posłowiu tłumaczka Teresa Worowska, odtąd nigdy już nie gromadził książek i nie dorobił się własnego mieszkania.

W okresie międzywojennym Béla Hamvas tworzył wraz ze znanym również w Polsce religioznawcą Károlym Kerényim grupę Wyspa (Sziget). Zajmowała się ona badaniem kultury klasycznej Grecji, tradycyjnych religii indoeuropejskich. Po jakimś czasie rozeszła się jednak, a sam Hamvas skupił się na pisaniu, m.in. odkrywaniu dla czytelników nowych wówczas autorów, takich jak Joyce, Huxley, Eliot.

W Polsce dostajemy dopiero drugą książkę tego autora. Pierwsza, „Filozofia wina", ukazała się ponad 20 lat temu, miała dwa wydania (ostatnie przed czterema laty), ale jest już bardzo trudno dostępna, nawet w antykwariatach. W 1994 r. jeden z jego tekstów poświęcony Juliusowi Evoli, ojcu tradycjonalizmu integralnego, ukazał się we „Frondzie", a „Literatura na Świecie" drukowała fragmenty powieści „Karnawał".

Starannie wydana i znakomicie przełożona „Księga gaju laurowego" pęka wręcz od cudownych esejów, m.in. przedwojennych, które zawierały zeszyty periodyku „Sziget", takich jak „Platonizm pisania", „Listy Rilkego" czy „Bruegel". Hamvas uważał, że sztuka kieruje życiem ludzi, stojąc przed rzeczywistością i prawami fizyki, a Bruegel wyznaczył jej próg, nad którym jest piękno, a pod nim powszechne dzisiaj diaboliczne, deformujące i wpędzające w depresję „szpetne oblicze" brzydoty. Współczesny człowiek rozpoznaje je w tysiącach filmideł, muzyce, klipach, sztuce nienawiści klasowej, powszechnym braku gustu. W strachu, który – jak pisał Hamvas – przyciąga strach i przerażeniu przyciągającym przerażenie. W innym miejscu autor podpowiada, że zwycięstwa orężem mobilizują pokonanych do odwetu, przez co „wszystko zaczyna się od początku". Dlatego radzi natychmiast zawrzeć pokój i oddać wrogowi wszystko. Karmiłby go, tuczył, chwalił, aż ten tak by się rozleniwił, stał lekkomyślny, głupi i ospały, że nie trzeba byłoby zwoływać przeciw niemu żadnej wyprawy. „Dobrobyt okazywał się, jak dotąd, zgubą każdego ludu" – przestrzega filozof.



Béla Hamvas, „Księga gaju laurowego i inne eseje", Warszawa 2022



Maciej Walaszczyk

Rockowa esencja

Ten album zabiera nas w podróż po 50-letniej historii Aerosmith i największych przebojach zespołu – dziś klasyków esencjonalnego, amerykańskiego i wyrastającego z bluesa hard rocka, będącego wypadkową stylów Rolling Stones i Led Zeppelin. Zbiór ten dowodzi również, jak umiejętnie przez te lata Aerosmith ślizgali się między wyrafinowaniem, surowością i kiczem.

W 1973 r. ukazała się pierwsza płyta zespołu, który pojawił się w momencie, gdy większość gigantów przełomu lat 60. i 70. odeszła (Hendrix, Morrison) albo miała już za sobą swoje najważniejsze dokonania (The Beatles). Tymczasem paradoksalnie Aerosmith im byli starsi, tym lepsi, a ich najważniejsze płyty, jak „Permanent Vacation", „Pump" i „Get A Grip", ukazały się dopiero na przełomie lat 80. i 90. Co więcej, Steven

eprasa.pl 2da195ac22

Namalować Boga



„Warto opowiedzieć sobie na nowo w naszym pokoleniu tę historię” – uważa bp prof. Jacek Grzybowski. Przypomina, że od czasów katakumb do dziś artyści próbowali dotrzeć do sedna spotkania, które stało się punktem zwrotnym w dziejach zbawienia. Scena zwiastowania – bo o niej mowa – opisana w Ewangelii św. Łukasza zawiera sporo wskazówek dla malarzy. W centrum takiego obrazu muszą się znajdować Najświętsza Maryja Panna i anioł, biała lilia jako symbol dziewictwa, długie szaty, chusta. Jak się okazuje, nie musi być to takie dosłowne, choć wskazówki teologiczne są konieczne do tego, by sakralny obraz w ogóle mógł powstać. Juliusz Gałkowski, krytyk i filozof, tłumaczy, że służą one temu, byśmy wysłuchali przemawiającego do nas Boga, dlatego ich obecność w muzeach jest nieporozumieniem.

W podziemiach katedry św. Floriana odbywa się wernisaż 20 obrazów przedstawiających tę scenę w interpretacji współczesnych polskich malarzy. Wszystkie są na sprzedaż – połowa ma trafić do świątyń, a połowa do użytku prywatnego. To kontynuacja projektu „Namalować katolicyzm od nowa”, w ramach którego rok temu podjęto próbę, może niezbyt udaną, ponownego namalowania Jezusa Miłosiernego z wizji św. Faustyny Kowalskiej. Zwiastowanie Najświętszej Maryi Pannie to zaś pierwszy krok przewidzianego na 20 lat cyklu poświęconego kolejnym tajemnicom Różańca.

Jak więc malować obrazy, przed którymi ludzie będą się modlić? Artyści nie mogą działać szablonowo, ale dając nam obraz, muszą pomagać w medytacji, a więc prowadzić człowieka do spotkania, którego dalszej części nie mogą już wyrazić. Tak twierdzi dominikanin Jacek Hajnos OP. Mówi on, że dopiero obraz zachowujący równowagę między indywidualnością malarza a teologiczną prawdą jest próbą wyrażenia wrażenia piękna, jakie Bóg wywarł na człowieku.

Wystawę można oglądać do 31 stycznia w podziemiach katedry diecezji warszawsko-praskiej przy ul. Floriańskiej 3 w Warszawie. Od poniedziałku do soboty w godz. 12.00–20.00, w niedziele w godz. 8.00–21.30.

Tyler, lansując drapieżne, ale melodyjne harmonie wokalne, dołączył do grona słynnych rockowych głosów, a gitarzysta Joe Perry do klasyków gatunku, słynąc z osadzonych w hardrockowym rdzeniu bluesowych riffów, oryginalnych pomysłów brzmieniowych oraz gitary Les Paul z 1959 r.

Wydawnictwo jest zbiorem najsłynniejszych kawałków zespołu i jednocześnie zapowiedzią jego pożegnalnej trasy koncertowej. W październiku została ona jednak przerwana przez kłopoty zdrowotne Tylera – uszkodzoną krtań i struny głosowe. W końcu 75 lat to sporo jak na rockowego frontmana. Ale nie dziwmy się, bo okazuje się, że np. sponsorem przyszłorocznej trasy koncertowej The Rolling Stones jest AARP, czyli Amerykańskie Stowarzyszenie Emerytów.

Na „Greatest Hits” mamy więc wspaniałą melodię pierwszego przeboju „Dream On”, „Mama Kin”, piorunująco granego potem na koncertach przez Guns N’ Roses, „Walk This Way”, także w pierwszej wersji i znacznie lepszej niż wylansowany potem przez MTV remiks z udziałem raperów z RUN-D.M.C. Szkoda, że takich piosenek, jak „What It Takes” „Amazing”, „Cryin”, „Crazy”, „Love In An Elevator”, nie gra się już w radiu zbyt często.

Na koniec coś, co trzeba koniecznie przypomnieć. Matka Tylera była półkrwi Indianką, a w połowie Polką, z rodzinnymi korzeniami tkwiącymi daleko nad Berezyną. Kto czytał cudowną opowieść „Nadberezyńcy” Floriana Czarnyszewicza, ten zrozumie czułość, z jaką można myśleć o tym świecie, który uległ całkowitej zagładzie w wyniku tragicznych rozstrzygnięć pokoju ryskiego i dokonanych w jego wyniku sowieckich zbrodni. Dziadkiem Tylera był bowiem brat pisarza Feliks Czarnyszewicz, który wraz z rodziną zdążył przed wojną wyemigrować za ocean. Polska krew płynie więc także w żyłach jego córki, aktorki Liv Tyler.



eprasa.pl 2da195ac22

KGHM POLSKA MIEDŹ



Polscy górnicy mają powody do świętowania Barbórki

Polskie górnictwo przetrwa nawet w obliczu transformacji energetycznej i polityki klimatycznej. Nie ogranicza się bowiem tylko do wydobycia węgla, choć najczęściej z tym jest utożsamiane w powszechnej, społecznej świadomości. Choć określenie „Polska górnictwem stoi" faktycznie bardziej pasuje do sytuacji sprzed pół wieku, to jednak wydobycie surowców wciąż jest i będzie jedną z kluczowych gałęzi gospodarki kraju, zapewniając miliardy złotych wpływów do budżetu państwa

Wbrew utartym stereotypom górnictwo ma przecież różne oblicza i bez wątpienia jest inne niż w końcu ub.w. – znacznie nowocześniejsze i co szczególnie istotne, może się przyczynić do rozwoju technologii służących ochronie klimatu. A to wobec światowych tendencji gospodarczych i budowy nowych gałęzi przemysłu ma olbrzymie znaczenie dla rozwoju państwa w kolejnych dekadach.

Jednocześnie górnictwo tradycyjne – węglowe – pozostaje jednym z elementów gwarantujących stabilne dostawy energii z elektrowni konwencjonalnych, opartych właśnie na węglu kamiennym i brunatnym. Tak będzie również w kolejnych latach ze względu na specyfikę krajowego bilansu energetycznego. W kontekście bezpieczeństwa surowcowego tak samo istotne jest własne wydobycie ropy i gazu ziemnego na tyle, na ile będzie to jeszcze możliwe.

Wszyscy polscy górnicy wciąż mają zatem powody do świętowania Barbórki, bo surowce z głębi ziemi były, są i będą potrzebne jeszcze przez lata.

STRATEGICZNY BIZNES

Unia Europejska stawia na rozwój rodzimego przemysłu surowców krytycznych jako niezbędnego elementu wielkiej transformacji gospodarczej Starego Kontynentu. Zalicza do nich nie tylko pierwiastki i metale ziem rzadkich, takie jak lit, grafit czy nikiel, lecz także – co z punktu widzenia polskiej gospodarki jest wyjątkowo istotne – miedź, srebro i węgiel koksujący. Krajowi potentaci tej branży, czyli KGHM Polska Miedź, Jastrzębska Spółka Węglowa, a także PGE oraz inne spółki energetyczne i surowcowe, jak choćby PGNiG mają zatem bardzo duże szanse rozwoju w kolejnych dekadach.



Miedź jest tak szeroko wykorzystywana na świecie, że oprócz metali żelaza i aluminium uchodzi za najbardziej użyteczny metal. Przyszłość także należeć będzie do miedzi, biorąc pod uwagę plany rozwoju energetyki odnawialnej, nie tylko w Europie, lecz także na świecie. Sama wspólnota w ramach planu RePowerEU, zakładającego odejście (w szybkim tempie) od importu paliw kopalnych z Rosji, liczy na przyspieszenie oraz zwielokrotnienie instalacji OZE, i to zarówno gdy chodzi o farmy słoneczne, jak i wiatrowe. Do wytworzenia pojedynczej turbiny wiatrowej o mocy 3 MW potrzeba 4,7 t miedzi, a w przypadku paneli słonecznych na 1 MW mocy potrzeba od 3,1 do 4,5 t tego metalu.

O tym, jak duże będzie zapotrzebowanie na miedź w kolejnych latach, świadczą także plany związane z rozwojem sieci energetycznych, na które sama Unia Europejska zamierza przeznaczyć ponad 0,5 bln euro w ciągu kilku lat. W strategii transformacji jest także rozwój elektromobilności, który bez miedzi byłby niemożliwy, skoro wykorzystywana jest ona w akumulatorach i systemach sterowania oraz infrastrukturze ładowania. Auta elektryczne potrzebują cztery razy więcej miedzi niż te z silnikami spalinowymi.

KGHM jest obecnie w czołówce światowych producentów miedzi i srebra. W dotychczasowej historii w lubińskim kombinacie wydobyto ponad 1 mld t złóż, zalegających na głębokości od kilkuset do 1,5 tys. m; w sumie dotąd na rynek trafiło 20 mln t miedzi. W ub.r. firma dostarczyła łącznie 1,3 tys. t srebra i w rankingu opublikowanym w branżowym „World Silver Survey" została wiceliderem globalnego wydobycia tego metalu szlachetnego. Jednocześnie okazało się, że polska spółka jest właścicielem największej kopalni srebra na świecie (produkcja odbywa się w Hucie Miedzi Głogów).

Według danych Głównego Instytutu Geologicznego „łączne zasoby bilansowe złóż miedzi wynoszą 563,2 mln ton rudy o zawartości 8,1 mln ton miedzi". A dodatkowo „udokumentowano także zasoby pozabilansowe wynoszące łącznie 809 mln ton rudy, zawierającej 13 mln ton miedzi". Potencjał jest zatem ogromny. Jednocześnie ze względu na typ złóż występujących w naszym kraju „w znaczących ilościach towarzyszą im minerały ołowiu, cynku, kobaltu, molibdenu, niklu, selenu, renu, złota oraz platyny". Większość tych minerałów także znajduje się na unijnej liście surowców strategicznych.

Podobnie jak węgiel koksowy, stanowiący podstawę wytwarzania stali, a w którego produkcji europejskim liderem jest Jastrzębska Spółka Węglowa. Jej przedstawiciele często podkreślają więc, że „zielona transformacja energetyczna zaczyna się kilometr pod ziemią" – skoro do wyprodukowania 1 t stali potrzeba ok. 560 kg węgla koksowego, a na jeden wiatrak zużywa się ok. 140 t stali.

Dane o stanie zasobów, czyli 1,2 mld t tego surowca należących do JSW, wskazują, że złoża zapewnią jej działalność co najmniej na pięć dekad. Polska pokrywa ponad jedną czwartą unijnego zapotrzebowania na ten surowiec (26 proc.).

Choć wszystko wskazuje na to, że producenci surowców i minerałów niezbędnych dla „unijnej zielonej zmiany" oraz ich pracownicy mogą się czuć bezpiecznie, to wyzwań nie brakuje. Bruksela stawia wysokie wymagania, gdy chodzi o obniżenie poziomu emisji zanieczyszczeń oraz wykorzystanie odnawialnych źródeł energii. W tej sytuacji nie zaskakują opinie, że Polska musi zjednoczyć siły z innymi krajami w podobnej sytuacji, by przekonać Komisję Europejską do utrzymania i wspierania produkcji własnych surowców. Bo tylko dzięki nim Wspólnota nie popadnie w zależność od importu, choćby z Chin, które są absolutnym potentatem w produkcji wielu minerałów niezbędnych do wytwarzania zielonych technologii.

BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE

Zielona transformacja jednoznacznie kojarzy się z dekarbonizacją – ograniczeniem zużycia węgla i przestawieniem krajowych sektorów energii na odnawialne źródła. Jest to jedno z największych wyzwań stojących przed Polską, w której ok. trzy czwarte potrzebnej energii dostarczają elektrownie węglowe. Co ważne dla przyszłości górnictwa węgla kamiennego i brunatnego, nie ma możliwości szybkiego, czyli z roku na rok, dokonania zmiany. Nadrzędnym celem jest bowiem zapewnienie bezpieczeństwa energetycznego. Energetyka wiatrowa i słoneczna zależą od pogody, dlatego elektrownie węglowe i gazowe są swoistymi stabilizatorami produkcji energii w Polsce – utrzymanie wydobycia węgla jest zatem niezwykle ważne. Zgodnie z obowiązującymi jeszcze planami rządu ma ono trwać do 2049 r., choć oczekiwania Komisji Europejskiej są zupełnie inne. Mimo to – jak zapewniał w wywiadzie dla „Sieci" były minister energii Krzysztof Tchórzewski – w efekcie uzgodnień z Brukselą działa mechanizm pozwalający na utrzymanie pracy elektrowni węglowych co najmniej do 2035 r.

Polska ma olbrzymie zasoby węgla – umownie szacuje się, że wystarczą na 200 lat. Konkretnie to ok. 64 mld t węgla kamiennego i 36 mld t brunatnego. W praktyce wydobycie jest ograniczane w związku z polityką dekarbonizacji i stopniowego odchodzenia do tego surowca w całej Unii Europejskiej. W ub.r. polskie kopalnie dostarczyły ok. 53 mln t węgla kamiennego, zaś w pierwszym półroczu br. ponad 23 mln t, zdecydowaną większość na potrzeby energetyki i ciepłownictwa. W górnictwie pracuje obecnie ok. 75 tys. ludzi.

Zasoby węgla brunatnego w naszym kraju (tzw. geologiczne bilansowe) szacuje się natomiast na ponad 23 mld t, lecz koncesje wydobywcze opiewają na znacznie mniejsze ilości i stosunkowo krótki czas eksploatacji, który na przykład w rejonie elektrowni Turów obowiązuje do 2044 r. W zeszłym roku kopalnie dostarczyły ponad 54 mln t surowca i choć są zwykle na cenzurowanym w Brukseli, to nie Polska jest liderem w wydobyciu w Europie, lecz Niemcy – tamtejsze zakłady dostarczyły ponad 130 mln t węgla brunatnego.

Zdjęcia: KGHM

eprasa.pl 2da195ac22



Przyszłość polskiej branży górniczej będzie zależeć przede wszystkim od tempa zielonych zmian w energetyce i podejścia do tego problemu kolejnych rządów. Eksperci doradzający obecnej opozycji sugerują znacznie szybszą rezygnację z produkcji „brudnej energii", niż wynikałoby to z dotychczasowych ustaleń tak z Komisją Europejską, o których mówił Krzysztof Tchórzewski, oraz wewnątrzbranżowych umów społecznych. Wydaje się, że sugestie i zapowiedzi, które pojawiły się przed październikowymi wyborami, mają mniejsze znaczenie wobec tego, że na liście priorytetów każdego rządu, bez względu na to, jakie opcje polityczne reprezentuje, jest zapewnienie stabilnych dostaw energii po akceptowalnych cenach. To elementy składające się na bezpieczeństwo energetyczne, które w opinii wielu ekspertów powinno być także powiązane z wykorzystaniem własnych zasobów surowcowych.

> Unia Europejska stawia na rozwój rodzimego przemysłu surowców krytycznych jako niezbędnego elementu wielkiej transformacji gospodarczej Starego Kontynentu. Zalicza do nich nie tylko pierwiastki i metale ziem rzadkich, takie jak lit, grafit czy nikiel, lecz także – co z punktu widzenia polskiej gospodarki jest wyjątkowo istotne – miedź, srebro i węgiel koksujący

GÓRNICY W BRANŻY NAFTOWO-GAZOWNICZEJ

Obraz górnictwa w Polsce uzupełnia branża naftowo-gazownicza. Jeszcze zanim kraj odzyskał niepodległość w 1918 r., na ziemiach polskich trwała eksploatacja złóż naftowych i obecne rejony południowo-wschodnie należały wtedy do światowej czołówki pod tym względem. Teraz krajowe zasoby ropy pokrywają minimalną część potrzeb kraju, dostarczając ok. 3 proc. surowca zużywanego przez rafinerie w Gdańsku i w Płocku.

Wydobycie ropy i gazu z krajowych złóż prowadzi obecnie Grupa ORLEN, która w ub.r. przejęła Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo, a wcześniej Grupę LOTOS (wraz z Petrobaltic, spółką operującą na Bałtyku). W przypadku gazu ziemnego Polska również opiera się na imporcie, ale eksploatacja krajowych złóż pokrywa kilkanaście procent popytu (do 20 proc.). W sumie zasoby gazowe (nadające się do wydobycia obecnie) szacowane są na blisko 90 mld m^3, lecz nie jest to znacząca wielkość wobec zapotrzebowania na poziomie ok. 18–20 mld m^3 rocznie.

W Polsce znacznie większe, lecz trudniejsze do pozyskania są złoża łupkowe i poza kilkoma próbami nie udało się uruchomić eksploatacji na skalę przemysłową. Rewolucja łupkowa, która 10 lat temu dała Stanom Zjednoczonym impuls gospodarczy, setki tysięcy miejsc pracy i duże dochody z eksportu, w Polsce mimo wielkich nadziei nie dokonała się. W kolejnych latach wraz z unijnym planem rezygnacji z paliw kopalnych zużycie gazu (choć jest mniej emisyjny niż węgiel) ma być ograniczane.

Górnicy sektora naftowo-gazowego pracują w 52 kopalniach w kraju. Choć większość z nich jest zlokalizowana w południowo-wschodniej Polsce, to główną produkcję zapewniają złoża na zachodzie – w województwach zachodniopomorskim, lubuskim i wielkopolskim.

BARBÓRKOWE ŻYCZENIA

Co roku 4 grudnia, w dniu św. Barbary – patronki trudnej i niebezpiecznej pracy – składamy życzenia górnikom. To święto wszystkich osób związanych z górnictwem i wydobyciem paliw kopalnych. To również dzień, w którym wspominamy tych, którzy odeszli na wieczną szychtę, poświęcając życie niezwykle ciężkiej pracy. Górnicy, wykonujący jeden z najtrudniejszych zawodów, zasługują dziś na wyjątkowe podziękowania i życzenia.

Szczęść Boże!

(oprac. AŁ)

eprasa.pl 2da195ac22

Miedziowi też świętują w dzień św. Barbary



4 grudnia, wspomnienie św. Barbary w Kościele katolickim i doroczne święto górników, to wyjątkowy dzień w kalendarzu wszystkich ludzi oraz organizacji związanych z pracą pod ziemią. W powszechnym odbiorze osób niezwiązanych z branżą wydobywczą Barbórka najmocniej kojarzy się z górnikami pozyskującymi węgiel kamienny w kopalniach Górnego Śląska. Jednak górnicy to nie tylko węgiel i Górny Śląsk, lecz także inne bogactwa skryte pod ziemią, takie jak miedź. 4 grudnia to wielkie święto także dla wszystkich pracowników największej polskiej firmy miedziowej – KGHM



Tradycje górnicze w KGHM są równie bogate jak historia Zagłębia Miedziowego. Choć główne złoże rud miedzi odkryto tu dopiero w 1957 r., z biegiem lat wzbogacano zwyczaje, wartości i dziedzictwo kulturowe związane z Barbórką.

Zaczyna się od tego, że 4 grudnia rano ulice miast Zagłębia Miedziowego wybrzmiewają dźwiękami orkiestr górniczych, grających tradycyjne melodie. Zatrzymują się one przed domami dyrektorów, budzą ich, grając aż do momentu, gdy ci wyjdą, dziękując orkiestrze i częstując ich „czym chata bogata". To początek obchodów Barbórki. Tego dnia ci, którzy pracują na dole, proszą o opiekę św. Barbarę, a ich rodziny i znajomi mają szczególną okazję do wyrażenia szacunku dla trudnej pracy górników.

W tradycji górniczej Zagłębia Miedziowego istnieje ceremonia skoku przez skórę, pochodząca ze Styrii w Austrii. Uczniowie szkół górniczych, zwani młodymi lisami, są przyjmowani do stanu górniczego poprzez symboliczny skok przez skórę, nawiązujący do tradycyjnej skórzanej łaty, będącej symbolem przyjęcia do tego stanu. Niegdyś służyła ona górnikom na dole, była to bardzo wszechstronna osłona. Taką skórę górnik podkładał sobie pod kolana, gdy musiał pracować w pozycji klęczącej, okrywał się nią, gdy ze stropu lała się woda, siedział też na niej przy posiłku. Z tego powodu stała się ona symbolem przyjęcia do stanu górniczego.

Kolejną istotną tradycją jest wręczanie szpad i kordzików górniczych za wybitne osiągnięcia oraz długoletnią pracę w KGHM. Szpady, nawiązujące do historycznej roli górnika, są nadawane podczas specjalnych ceremonii.

Podczas tzw. karczmy piwnej, ważnego punktu barbórkowych obchodów, górnicy biorą udział w biesiadzie, podsumowującej ich pracę. Dawniej odbywały się one według stałego rytuału, dziś to zabawa z konkursami i gadżetami. Podobnie tzw. combry babskie są spotkaniami tylko dla kobiet. W KGHM od 1985 r. panuje także zwyczaj organizacji uroczystości pod pomnikiem Jana Wyżykowskiego, odkrywcy polskiej miedzi.

Górnicze tradycje w KGHM są kultywowane ze szczególną starannością. Do dziś istotne znaczenie mają patroni, opiekunowie, szacunek do munduru i górniczej szpady, wspólne biesiady, uroczystości oraz górnicze pozdrowienie: „Szczęść Boże!".

Miłym elementem górniczych tradycji w KGHM są spotkania dyrekcji kopalń z matkami trzech lub więcej synów górników. Odbywają się one z reguły na terenie kopalń, gdzie panie są podejmowane poczęstunkiem i upominkami.

Drugi element rodzinny to zjazdy najbliższych członków rodzin górników na dół. Oczywiście aby poznać specyfikę pracy ojca, męża czy brata trzeba być dorosłym i gotowym na doświadczenie trudu pracy górników miedziowych. Wycieczka pod ziemię zawsze jest wielkim przeżyciem, z tej możliwości korzystają głównie kobiety. W towarzystwie pracowników KGHM „cywile" zjeżdżają górniczą klatką kilkaset metrów w dół i zwiedzają kopalniane rewiry.

Artykuł sponsorowany | 47/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22

Forum wGospodarce.pl

Transport równomiernie rozwijany, czyli zrównoważona transformacja

Transformacja polegająca na ograniczaniu emisji CO_2 w transporcie drogowym powinna przebiegać w sposób zrównoważony, tj. tak by nie narazić obywateli, klientów oraz przewoźników na intensywny i nieakceptowalny wzrost kosztów. Tak można podsumować wnioski z debaty zorganizowanej przez redakcję ekonomiczną Grupy Fratria w ramach V Forum wGospodarce.pl

W debacie zatytułowanej „Wyzwania i szanse dekarbonizacji ciężkiego transportu drogowego w Polsce" wzięli udział Kosma Złotowski – europoseł, Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy, Prawo i Sprawiedliwość, Albert Kania – senior new mobility manager w Polskim Stowarzyszeniu Paliw Alternatywnych, Jan Buczek –prezes Zrzeszenia Międzynarodowych Przewoźników Drogowych, Piotr Szymański – public policy manager Amazon, Krzysztof Zgorzelski – prezes Pekao Leasing oraz Jacek Rutkowski – członek zarządu PKP CARGO ds. handlowych.

Nawiązując do raportu „Elektryfikacja sektora drogowego transportu ciężkiego", przygotowanego przez Polski Instytut Ekonomiczny i PSPA, prowadzący debatę Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej", zacytował zdanie z wniosków tego dokumentu: „Elektryfikacja sektora drogowego transportu ciężkiego jest szansą dla Polski na zachowanie pozycji lidera w tym segmencie gospodarki unijnej". Podczas debaty wielokrotnie padało pytanie, co zrobić, by faktycznie było szansą, a nie barierą obniżającą naszą konkurencyjność poprzez opłaty emisyjne i inne „zielone" podatki, które wyeliminują polskich przewoźników z europejskiego rynku.

Pierwsze w historii normy emisji CO_2 dla pojazdów ciężarowych w Unii Europejskiej zostały wprowadzone 14 sierpnia 2019 r. Nowe propozycje Komisji Europejskiej zgłoszone w br., są krokiem w kierunku przyspieszenia procesu przejścia transportu na paliwa niskoemisyjne i nieemisyjne. Ponieważ Polska jest liderem w UE pod względem liczby osób zatrudnionych w sektorze TSL, jesteśmy też jednym z liderów całej branży. Każda zmiana jest dla polskich przewoźników elementem gry konkurencyjnej, wspierającym lub zagrażającym naszej pozycji. Jak oceniać to wyjątkowo ambitne przyspieszenie i co może, a co powinno się wydarzyć, żeby zakończyć procesy legislacyjne w UE, by polscy transportowcy mogli spokojnie planować przyszłość swoich biznesów?


Kosma Złotowski

– Cóż, najlepiej byłoby pewnie zmienić Komisję Europejską... Mamy dobry sygnał, bo nie ma już w europejskiej polityce Fransa Timmermansa. Rewolucyjne propozycje napędzane ideologią zmiany klimatu głównie pod wpływem człowieka i emisji CO_2. A przecież tych czynników jest znacznie więcej. W niesławnym pakiecie mobilności chodziło o obniżenie rentowności przedsiębiorstw transportowych z Europy Wschodniej, byliśmy dla naszych sąsiadów zbyt szybko rosnącą konkurencją – mówił europoseł Kosma Złotowski. – Dziś propozycje Zielonego Ładu to stawianie czysto ideologicznych barier i uderzenie w cały transport w Unii. Są jednak pewne sygnały, że europarlamentarzyści zaczynają patrzeć na politykę klimatyczną bardziej realistycznie. Zdają sobie sprawę, że zielona zmiana – od budownictwa po transport – będzie niezwykle kosztowna. I te koszty sprawią, że zwykli ludzie będą musieli wydać mnóstwo pieniędzy. Zdrożeje transport – zdrożeje wszystko, co jest transportowane. Dlatego w kontekście zbliżających się wyborów do Parlamentu Europejskiego (czerwiec 2024 r.) słyszymy, że może trzeba zwolnić z nierealistycznymi założeniami i ambicjami.

eprasa.pl 2da195ac22



POTRZEBNY ROZSĄDEK

Tempo transformacji staje się faktycznie zabójcze, a wprowadzanie nakazów i zakazów nie sprzyja swobodnemu, akceptowalnemu rozwojowi zielonych technologii. Stąd pytanie, czy przejdziemy ostatecznie z zielonej rewolucji do tak często postulowanej przez Polskę ewolucji.

– Potrzebny jest rozsądek, a to niestety w europarlamencie towar deficytowy. Rzeczywistość przedstawiona choćby w Pakiecie Mobilności nijak ma się do realiów. Wydaje mi się, że podobnie będzie z założeniami szybkiego obniżenia emisji CO_2 w transporcie drogowym – mówił europoseł Złotowski.

Pytanie zatem o realne możliwości dywersyfikacji – ewolucji transportu drogowego w kierunku „paliw" niskoemisyjnych. Samochody elektryczne, wodorowe – wszystko to bardzo ładnie brzmi w projektach, lecz ostatecznie o biznesie decyduje cena zakupu i infrastruktura. A w tych dziedzinach wciąż mamy sporo do zrobienia. Zwłaszcza że, jak wynika z raportu PIE i PSPA, „polscy przewoźnicy wykonują większą liczbę długich przejazdów niż przewoźnicy w innych krajach europejskich". Jak to wpłynie na rozwój elektromobilności w transporcie?

– Dziś jest to duże wyzwanie, biorąc pod uwagę, że elektryczne pojazdy ciężarowe mogą być wyposażone w akumulatory o pojemnościach przekraczających 600 kWh, a obecnie w Polsce nie ma żadnej stacji dla eHDV, gdzie można byłoby je szybko naładować. Tu jednak pojawia się światełko w tunelu – AFIR, unijne rozporządzenie ws. rozwoju infrastruktury paliw alternatywnych, nakłada na każde państwo członkowskie obowiązek stworzenia takiej infrastruktury. Do 2025 r. punkty ładowania dla eHDV muszą pojawić się na 15 proc. długości bazowej sieci TEN-T, a do 2030 r. powinny być oddalone od siebie maksymalnie co 60 km – wyjaśniał Albert Kania z PSPA. – To być może ostatecznie rozwiąże problem kury i jajka, czyli nie ma stacji ładowania, bo nie ma samochodów elektrycznych, a nie ma samochodów elektrycznych, bo brakuje stacji ładowania. Pamiętajmy też, że przedsiębiorstwa mające w strategiach osiągnięcie neutralności klimatycznej coraz częściej analizują obniżenie śladu węglowego transportu swoich produktów, także na trasach międzynarodowych. Jednak aby wynikiem tych analiz był zakup elektrycznych ciężarówek, konieczne jest jak najszybsze wdrożenie systemu dopłat dla eHDV. Już dziś takie programy funkcjonują na czterech z pięciu wiodących rynków drogowego transportu ciężkiego w UE. Niestety jedynym wyjątkiem w TOP 5 pozostaje Polska.


Albert Kania

Albert Kania zwracał też uwagę na znaczenie rozbudowy sieci elektroenergetycznych – to dziś bodaj największe wyzwanie e-mobilności i transformacji energetycznej.

– Stacje ładowania muszą być zlokalizowane przy drogach, gdzie często nie ma odpowiedniej sieci energetycznej dostarczającej odpowiednią moc – mówił Kania. – Kilkugodzinne ładowanie samochodu ciężarowego to realny problem blokujący rozwój. Ładowanie musi zająć nie więcej niż kilkanaście, może kilkadziesiąt minut, a do tego potrzebna

eprasa.pl 2da195ac22

jest duża moc. Dziś wciąż jesteśmy czarną plamą na mapie infrastruktury ładowania. Nie możemy czekać na to, co zrobi Europa i potem gonić. Jesteśmy liderami w transporcie drogowym – aby utrzymać tę pozycję, konieczne są zdecydowane, kompleksowe działania. Administracja publiczna musi wspierać konkurencyjność naszego rynku, m.in. poprzez wdrożenie dopłat do zakupu elektrycznych pojazdów ciężarowych, rozwój sieci elektroenergetycznych, a następnie rozbudowę ogólnodostępnej infrastruktury ładowania. W przeciwnym przypadku pozycja polskich przedsiębiorstw będzie poważnie zagrożona na europejskim rynku.

INWESTYCJE JUŻ SĄ

Zlecające przewozy, a także organizujące transport światowe przedsiębiorstwa, takie jak Amazon, już zareagowały na tę zieloną zmianę. Raportowanie ESG wymaga analizy śladu węglowego na wszystkich etapach produkcji i dostawy, także na etapie transportu produktów.

– Amazon stawia sobie ambitne cele w obszarze zrównoważonego rozwoju. Znalazło to odzwierciedlenie m.in. w Deklaracji Klimatycznej (Climate Pledge), czyli zobowiązaniu do osiągnięcia zerowej emisji CO_2 netto do 2040 r. w całej naszej działalności. Dotyczy to oczywiście także transportu, w przypadku którego drogą do uzyskania neutralności klimatycznej jest elektryfikacja, ewentualnie inne rozwijane obecnie bezemisyjne technologie. W samej Europie w ciągu pięciu lat, licząc od 2022 r., chcemy zainwestować ponad 1 mld euro właśnie w elektryfikację floty, w tym w elektryczne samochody dostawcze, ciężarówki i niskoemisyjne centra paczek w całej Europie, przyspieszając osiągnięcie zerowej emisji dwutlenku węgla – mówił Piotr Szymański z Amazon. – Mamy oczywiście świadomość, że choćby ze względów kosztowych to znacznie trudniejsze wyzwanie dla małych przewoźników. Trzeba jednak wiedzieć, że nie ma odwrotu z tej drogi. Należy się zastanowić, jak osiągnąć założone cele, a nie kwestionować cały proces. Raportowanie śladu węglowego staje się nie tylko prawnym wymogiem, lecz także coraz częściej jest żądaniem klientów, którzy chcą korzystać z „zielonych" produktów i usług.


Piotr Szymański

Piotr Szymański podkreślał, że niezbędne jest stawianie ambitnych celów klimatycznych i nieustanne poszukiwanie nowych rozwiązań, w tym wykorzystania wodoru, by transport stawał się coraz bardziej zrównoważony.

– Dlatego ważne jest, by przepisy zostały przyjęte jeszcze w tej kadencji Parlamentu Europejskiego. Zmiany będą nabierać tempa i tu potrzebna jest właśnie pomoc państwa, żeby koszt zakupu elektrycznego samochodu ciężarowego był, po uzyskaniu dotacji, porównywalny z kosztem samochodu z napędem konwencjonalnym. Nie można bowiem przenieść całego kosztu transformacji na przedsiębiorców, w szczególności na MŚP. Dotacje, zwolnienia podatkowe to niezbędny wkład państwa w ten proces. Jeśli nie podejmiemy kroków w kierunku elektryfikacji, polscy przewoźnicy za kilka, kilkanaście lat przestaną być konkurencyjni – wskazywał przedstawiciel Amazon.

A może błąd, który popełniamy w całym procesie transformacji energetycznej, to właśnie obciążenie odpowiedzialnością i kosztami użytkowników i przedsiębiorców?

– To trochę tak, jakby w latach 90. XX w. nakazać używania drogich wówczas telefonów komórkowych mimo niedoskonałości sieci i kosztów oraz karać użytkowników za korzystanie z analogowych aparatów. Tymczasem rozwój sieci komórkowych odbywał się ewolucyjnie. Czy tak samo nie mogłoby stać się z elektrycznym transportem, który wybierzemy sami, bo będzie wygodniej, szybciej i konkurencyjnie? – pytał prowadzący debatę Maciej Wośko. – Może to producentom samochodów powinno bardziej zależeć na zmianie?

– Oczywiście, że lepiej wspierać producentów, niż karać konsumentów. Problem w tym, że dziś w KE panuje przekonanie, że stoimy o krok od katastrofy i trzeba transformować wszystkie dziedziny życia natychmiast, bez oglądania się na koszty – wyjaśniał europoseł Kosma Złotowski. – Stąd nakazy, zakazy wjazdów dla samochodów konwencjonalnych, kary i wysokie opłaty. W ciągu 20 lat chcemy dokonać zmiany, która po wynalezieniu silników spalinowych zajęła cały wiek.

ZA ILE TEN SAMOCHÓD?


Krzysztof Zgorzelski

Transformacja mimo wszystko nadal jest kosztem, choć wielu pewnie powie, że to inwestycja. Wyzwaniem jest zatem cena – koszt wymiany floty. Czy inwestycja w samochody elektryczne jest kosztem, czy jednak inwestycją?

– Oczywiście, że to inwestycja. Koszty pojawią się później, jak już zostanie ona zrealizowana – odpowiadał prezes Pekao Leasing Krzysztof Zgorzelski. – Lecz niezbędne jest także wsparcie. Przykładowo w Norwegii rezygnacja z dotacji do zakupu samochodu elektrycznego spowodowała spadek sprzedaży o 95 proc. z miesiąca na miesiąc. To wskazuje, że wciąż potrzebujemy wymiernego wsparcia transformacji. Dekarbonizacja w postaci nie tylko elektryfikacji, lecz także zeroemisyjności jest i musi być traktowana jednak jako inwestycja. Chcąc wyjść naprzeciw polskim przedsiębiorcom, jako Pekao Leasing współpracujemy z instytucjami, takimi jak Bank Rozwoju Rady Europy (CEB) oraz Europejski Bank Inwestycyjny (EBI), które wspierają tego typu zakupy inwestycyjne. Ponadto NFOŚiGW od 2021 r. wprowadził ofertę dla firm leasingowych poprzez Bank Ochrony Środowiska w postaci

eprasa.pl 2da195ac22

programu „Mój Elektryk", dzięki temu firmy leasingowe przy wyższym pułapie podatkowym mogą taniej leasingować zakup samochodów elektrycznych, także przy pewnych korzyściach podatkowych.

Należy jednak mieć na uwadze, iż z 22,3 proc. 12,8 proc. emisji CO_2 przypada na samochody osobowe i na tym powinniśmy się skupić, a nie tylko w obszarze transportu ciężkiego. Samochody elektryczne to niejedyne rozwiązanie, możemy również myśleć zarówno o wodorze, jak i o silnikach hybrydowych, co też znacząco przyczynia się do zmniejszenia emisyjności.

Pekao Leasing wspiera polskich przedsiębiorców w zakresie inwestowania w zeroemisyjność – nie tylko elektryczne, lecz także nisko- lub zeroemisyjne zielone aktywa.

Według danych ACEA w latach 2021–2022 w UE zarejestrowano 2903 ciężarówki elektryczne i 103 hybrydowe. W procesie elektryfikacji floty ciężkiego transportu dominują Niemcy, odpowiadając za 63 proc. unijnych rejestracji (1816 rejestracji ciężarówek elektrycznych w latach 2021–2022), Szwecja (226), Holandia (220), Francja (215), Hiszpania (179) – łącznie 2656 pojazdów elektrycznych, tj. 91 proc. wszystkich rejestracji w UE. Według ACEA w Polsce w 2022 r. zakupiono 6 ciężarówek elektrycznych, a rok wcześniej 5. Czy nasi sąsiedzi z Zachodu próbują wygrać rynek, grając na „zielonych" przepisach?


Jan Buczek

– Ambitny proces dekarbonizacji musi być dociśnięty, bo inaczej nie odczujemy jego skutków. To jednak nie może się odbyć kosztem obywateli. Przewoźnicy nie są w stanie kupić ciężarówki elektrycznej, bo problem zaczyna się już na etapie dostaw energii, w dostępności infrastruktury ładowania. To wciąż plany i projekty. Tak jak nierealne jest moim zdaniem przeniesienie transportu towarów na tory – mówił Jan Buczek, prezes Zrzeszenia Międzynarodowych Przewoźników Drogowych. – Obecnie w transporcie dalekobieżnym, międzynarodowym potrzebujemy zupełnie nowego napędu, nowej technologii. Napędzanie silników akumulatorami nie wchodzi w grę. Nawet jeśli się okaże, że ładowarki są ustawione gęsto, czas ładowania rujnuje logistykę. To nie brak infrastruktury nam przeszkadza, ale brak technologii. Dlatego wiele obiecujemy sobie po technologii wodorowej, zwłaszcza w systemie wodorowego ogniwa paliwowego. To jednak nie daje przewagi konkurencyjnej ze względu na koszt zakupu i utrzymania takiego pojazdu. Czekamy więc na systemy wsparcia dla przedsiębiorców. To zadanie dla UE – równomierne rozłożenie kosztów zakupu, utrzymania i w końcu dostępu do infrastruktury.


Jacek Rutkowski

A MOŻE POCIĄG?

Równomierne wspieranie innowacji, producentów i użytkowników staje się zdaniem uczestników debaty kluczowym wyzwaniem dekarbonizacji. Jest też element, który może ułatwić transformację – to transport intermodalny, przenoszący transport dalekobieżny na tory.

– PKP Cargo stawia na transport intermodalny. Kontener jest uniwersalnym narzędziem w logistyce, a wykorzystanie platform intermodalnych znacznie obniża koszty transportu. Największy problem stanowią jednak wysokie stawki dostępu do sieci kolejowej. Barierą jest też liczba terminali w Polsce – mamy ich ok. 40, podczas gdy Niemcy dysponują siecią 170 intermodalnych terminali – wyliczał Jacek Rutkowski, reprezentujący PKP Cargo. – To pole do rozwoju. Multimodalny terminal w Duisburgu otrzymał od niemieckiego rządu dofinansowanie na poziomie 90 proc. My oddaliśmy niedawno do użytku terminal w Karsznicach, który dostał 40 proc. dofinansowania z UE. Mierzymy się z takimi wyzwaniami, bo potrzeby są ogromne. Za nami prace koncepcyjne PKP, w wyniku których wskazano już 25 lokalizacji wymagających pilnego postawienia terminali intermodalnych. Można więc zakładać, że to się będzie działo. Jednocześnie wiele firm zlikwidowało w ostatnich latach bocznice kolejowe w związku z niezwykle wymagającymi i kosztochłonnymi przepisami unijnymi.

Pytanie zatem, jak tworzyć przepisy, by wspierać transformację? Dość powiedzieć, że elektryfikacja polskiej sieci kolejowej to 65 proc., gdy w Niemczech to tylko 62 proc. Testujemy już lokomotywy wodorowe Newagu czy bydgoskiej Pesy.

– Nie ma więc powodu do wstydu. Mamy elektryczną, elektromobilną kolej, z której można korzystać – konstatował prezes Rutkowski. – A tani, opłacalny i produkowany w Polsce wodór rzeczywiście może zmienić transport.

Podsumowując debatę, uczestnicy podkreślali znaczenie nieustannego poszukiwania nowych technologii, konieczność zmian, w tym wdrożenia dopłat do zakupu elektrycznych pojazdów ciężarowych, dostępność zero- i niskoemisyjnych samochodów, a także dialogu prawodawców z obywatelami i przedsiębiorcami. Trzeba pamiętać o konkurencyjności polskiej branży transportowej – w biznesie bariery stawiane przez legislatorów mogą zrujnować programy wsparcia oferowane przez państwa czy instytucje finansowe. Stąd waga równomiernego, zrównoważonego rozwoju – sieci, infrastruktury i dostępnych nowoczesnych pojazdów.

– Stawianie dziś krótkich terminów na zmiany technologiczne to zmuszanie rynku i ludzi do czegoś, czego nie akceptują, nie rozumieją. Kierunek transformacji jest wyznaczony i tego nic nie zmieni, ale trzeba brać pod uwagę równomierne rozłożenie kosztów i czasu potrzebnego na zmianę – apelował europoseł Kosma Złotowski.

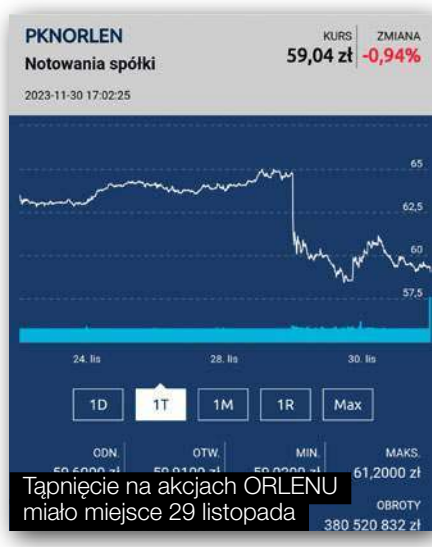
(red)

eprasa.pl 2da195ac22

Jak Krawiec ceny kraje..., by Tusk był zadowolony

Alarmy niemal codziennie wszczynane przez dyrektora ds. sprzedaży detalicznej na stacjach w sprawie nieuzasadnionych ekonomicznie i szkodliwych dla spółki działań przynoszących jej wielomilionowe straty oraz brak jakichkolwiek sensownych procedur regulujących proces ustalania cen paliw – tak przedstawiały się działania ORLENU za prezesury Jacka Krawca w czasie kampanii wyborczej do parlamentu w 2011 r.

W 2011 r. pod hasłami: „Nie róbmy polityki, budujmy...” Donald Tusk poprowadził PO do drugiej kadencji za sterami Polski. Zorganizowane 9 października wybory poprzedził długi okres wyjątkowej promocji cenowej na stacjach ORLENU. Dziś już wiadomo, że sztuczne utrzymywanie cen paliw kosztowało spółkę kilkaset milionów zł, a polityka ta realizowana była na polecenie samego prezesa ORLENU Jacka Krawca. Ówczesny dyrektor wykonawczy ds. sprzedaży detalicznej Marek Podstawa wielokrotnie w swoich e-mailach prosił o zgodę na podwyżkę cen paliw, lecz bezskutecznie. Swoje prośby adresował bezpośrednio do Grażyny Piotrowskiej-Oliwy, która w zarządzie PKN ORLEN odpowiadała za sprzedaż, załączając w kopii wiadomości samego Jacka Krawca. Odpowiedź przed wyborami zawsze była jednak taka sama – na podwyżki nie ma zgody. Z powodu tej polityki największe straty ORLEN ponosił 6–28 września 2011 r., a najwięcej tracił na sprzedaży benzyny E95. Np. 12 września każdy sprzedany na stacjach ORLEN litr tego paliwa wiązał się ze stratą 8 gr!



Tąpnięcie na akcjach ORLENU miało miejsce 29 listopada

TERAZ MOŻE BYĆ I PO 7 ZŁ

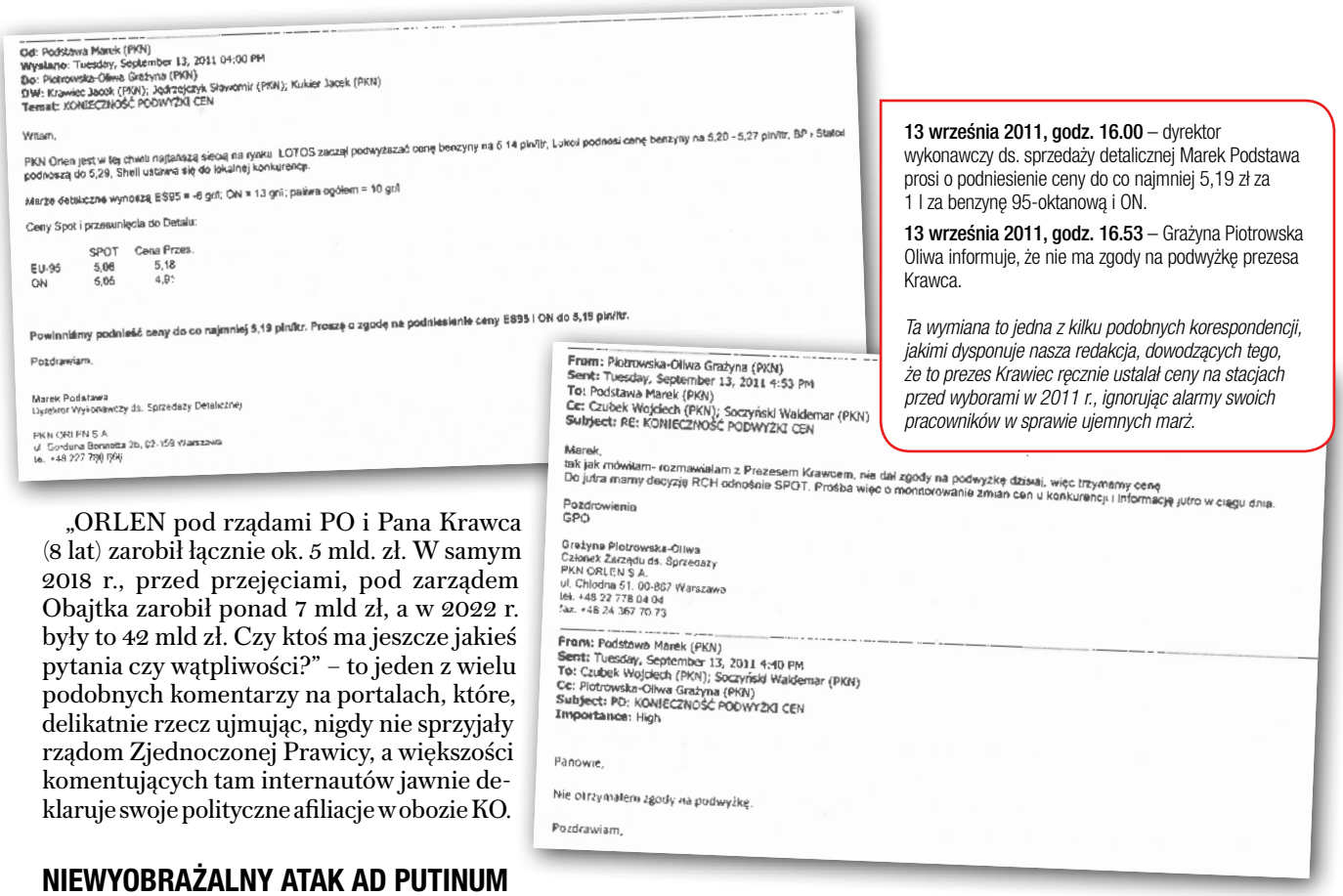
Sprawa ręcznego sterowania cenami przez Krawca przed wyborami 2011 r. miała już swoje medialne pięć minut w 2014 r., kiedy tygodnik Wprost publikował zapisy kelnerskich podsłuchów z restauracji Sowa & Przyjaciele. W czasie jednej z zarejestrowanych rozmów, jaka odbyła się pomiędzy zaufanym Donalda Tuska Pawłem Grasiem i Jackiem Krawcem, ówczesny prezes ORLENU wyznał, że tuż po wyborach w 2011 r. premier Tusk powiedział mu, iż „teraz benzyna może być i po 7 zł”. Już to zdanie sugerowało w sposób jednoznaczny, że przed wyborami w 2011 r. sztucznie zaniżano ceny na stacjach.

Nieoficjalnie wiadomo, że ta sprawa była przedmiotem wewnętrznego audytu przeprowadzonego w ORLENIE w 2018 r. Dowiedzieliśmy się, że jasno wykazano, iż przed wyborami w 2011 r. za zgodą i wiedzą ówczesnego kierownictwa firmy, a więc przede wszystkim prezesa Jacka Krawca, ceny na stacjach spadły do poziomów poniżej opłacalności, narażając koncern na straty. Audyt potwierdził również, że osoby odpowiedzialne za utrzymywanie rentowności sprzedaży paliw w koncernie alarmowały o tych wynikach prezesa, lecz nie wyrażał on zgody na podwyżkę cen w okresie przedwyborczym. Ten sam człowiek, czyli Jacek Krawiec, po 12 latach od tamtych wydarzeń mówi dziś w wywiadach prasowych bez zająknięcia m.in.: „Jak spojrzymy historycznie, to można bardzo łatwo zaobserwować, że ORLEN za pana Obajtka nie ma żadnej polityki cenowej. Zastąpiły ją, jak to nazywam, telefon od przyjaciela z Nowogrodzkiej albo polityka robienia dobrze PiS. [...] Stosowanie ujemnej marży to niegospodarność i działanie na szkodę spółki. To są przestępstwa z Kodeksu karnego”. To fragment wywiadu, niedawno udzielonego przez Krawca „Forbesowi”. Nieprawdopodobna bezczelność czy zaniki pamięci? Trudno rozstrzygnąć.

LICZBY NIE KŁAMIĄ

Tymczasem to właśnie Jacek Krawiec, o którego dokonaniach dla zwiększania potencjału rozwojowego firmy nie można zbyt wiele powiedzieć i który zarabiał za to na tym samym stanowisku znacznie więcej niż prezes Obajtek, bez żadnych oporów atakuje obecne kierownictwo ORLENU. Jest to zaskakujące nawet dla wielu wyborców Tuska, przynajmniej tych, których szare komórki rozeznają jeszcze ciut więcej niż tylko osiem gwiazdek.

eprasa.pl 2da195ac22



Od: Podstawa Marek (PKN)
Wysłano: Tuesday, September 13, 2011 04:00 PM
Do: Piotrowska-Oliwa Grażyna (PKN)
DW: Krawiec Jacek (PKN); Jędrzejczyk Sławomir (PKN); Kukier Jacek (PKN)
Temat: KONIECZNOŚĆ PODWYŻKI CEN

Witam,

PKN Orlen jest w tej chwili najtańszą siecią na rynku. LOTOS zaczął podwyższać cenę benzyny na 6 14 pln/ltr, Lukoil podniósł cenę benzyny na 5,20 - 5,27 pln/ltr, BP i Statoil podnoszą do 5,29, Shell ustawia się do lokalnej konkurencji.

Marże detaliczne wynoszą ES95 = -6 grl; ON = 13 grl; paliwa ogółem = 10 grl

Ceny Spot i przesunięcia do Detalu:

	SPOT	Cena Przes.
EU-95	5,08	5,18
ON	5,05	4,9[illegible]

Powinniśmy podnieść ceny do co najmniej 5,19 pln/ltr. Proszę o zgodę na podniesienie ceny ES95 i ON do 5,19 pln/ltr.

Pozdrawiam,

Marek Podstawa
Dyrektor Wykonawczy ds. Sprzedaży Detalicznej

PKN ORLEN S.A.
ul. Gordona Bennetta 2b, 02-159 Warszawa
tel. +48 227 7[illegible]

From: Piotrowska-Oliwa Grażyna (PKN)
Sent: Tuesday, September 13, 2011 4:53 PM
To: Podstawa Marek (PKN)
Cc: Czubek Wojciech (PKN); Soczyński Waldemar (PKN)
Subject: RE: KONIECZNOŚĆ PODWYŻKI CEN

Marek,
tak jak mówiłam- rozmawiałam z Prezesem Krawcem, nie dał zgody na podwyżkę dzisiaj, więc trzymamy cenę
Do jutra mamy decyzję RCH odnośnie SPOT. Prośba więc o monitorowanie zmian cen u konkurencji i informację jutro w ciągu dnia.

Pozdrowienia
GPO

Grażyna Piotrowska-Oliwa
Członek Zarządu ds. Sprzedaży
PKN ORLEN S.A.
ul. Chłodna 51, 00-867 Warszawa
tel. +48 22 778 04 04
faks +48 24 367 70 73

From: Podstawa Marek (PKN)
Sent: Tuesday, September 13, 2011 4:40 PM
To: Czubek Wojciech (PKN); Soczyński Waldemar (PKN)
Cc: Piotrowska-Oliwa Grażyna (PKN)
Subject: PD: KONIECZNOŚĆ PODWYŻKI CEN
Importance: High

Panowie,

Nie otrzymałem zgody na podwyżkę.

Pozdrawiam,

13 września 2011, godz. 16.00 – dyrektor wykonawczy ds. sprzedaży detalicznej Marek Podstawa prosi o podniesienie ceny do co najmniej 5,19 zł za 1 l za benzynę 95-oktanową i ON.

13 września 2011, godz. 16.53 – Grażyna Piotrowska Oliwa informuje, że nie ma zgody na podwyżkę prezesa Krawca.

Ta wymiana to jedna z kilku podobnych korespondencji, jakimi dysponuje nasza redakcja, dowodzących tego, że to prezes Krawiec ręcznie ustalał ceny na stacjach przed wyborami w 2011 r., ignorując alarmy swoich pracowników w sprawie ujemnych marż.

„ORLEN pod rządami PO i Pana Krawca (8 lat) zarobił łącznie ok. 5 mld. zł. W samym 2018 r., przed przejęciami, pod zarządem Obajtka zarobił ponad 7 mld zł, a w 2022 r. były to 42 mld zł. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania czy wątpliwości?" – to jeden z wielu podobnych komentarzy na portalach, które, delikatnie rzecz ujmując, nigdy nie sprzyjały rządom Zjednoczonej Prawicy, a większości komentujących tam internautów jawnie deklaruje swoje polityczne afiliacje w obozie KO.

NIEWYOBRAŻALNY ATAK AD PUTINUM

Widać, że pewien poziom hipokryzji czy ordynarnego kłamstwa nawet dla nich jest nie do przełknięcia. Jacek Krawiec dawał już jednak w przeszłości przykłady tego, że jeśli chodzi o krytykę Daniela Obajtka, nie będzie miał najmniejszych zahamowań. Przyzwoitym ludziom trudno było np. pojąć, jak człowiek, za którego prezesury niemal 100 proc. zaopatrzenia ORLENU w paliwa pochodziło ze źródeł rosyjskich, nazywa obecnego prezesa, który doprowadził do uniezależnienia się koncernu od rosyjskich surowców, „oligarchą Putina".

Im wyraźniej widać, ile udało się zrobić dla podniesienia pozycji finansowej Polski przez ostatnie osiem lat, tym więcej niepokoju budzi to, co z tym dorobkiem zrobi rząd PO-Trzecia Droga-Lewica. Rozpoczęty projekt CPK, wielkie projekty gazowe czy coraz silniejszy na międzynarodowych rynkach ORLEN, wzmocniony dzięki fuzji z LOTOSEM i PGNiG, mogły nadal służyć potencjałowi rozwojowemu Polski, lecz doświadczenie z lat 2007–2015 budzi bardzo uzasadnione obawy, że tak się nie stanie. Pierwszą próbkę „możliwości biznesowych" nowej koalicji sejmowej mieliśmy już w zeszłym tygodniu, kiedy zapowiedziano wprost, że zamrożenie cen energii w 2024 r. po prostu sfinansuje ORLEN kwotą 15 mld zł. Dla notowanej na giełdzie spółki taki pomysł zakończył się obniżką wyceny w kulminacyjnym momencie o 9,46 proc. W godzinę wartość koncernu spadła o prawie 6 mld zł. Czy to pierwsze przymiarki do prywatyzacji najcenniejszej polskiej firmy?

CO ZROBIĄ Z NASZYM DOBREM NARODOWYM?

Stojący na czele ORLENU od 2018 r. prezes Daniel Obajtek zwielokrotnił zyski firmy, bo nigdy nie unikał odpowiedzialności i nie uchylał się od podejmowania odważnych decyzji biznesowych. Stąd coraz większa rozpoznawalność marki ORLEN na świecie i coraz większe przychody z rynków poza Polską. Obecny prezes koncernu zdecydowanie więcej mówi o planach rozwojowych i przyszłości, mimo że z pewnością miałby bardzo wiele do opowiedzenia, o tym jak fatalnie ORLEN był zarządzany w przeszłości. Audyt przeprowadzony w 2018 r. został utajniony i nigdy nie posłużył prezesowi Danielowi Obajtkowi do atakowania swojego poprzednika z czasów rządu PO-PSL. Jednocześnie wyniki finansowe koncernu pokazują, że podobna niegospodarność z pewnością nie miała miejsca przed tegorocznymi wyborami, mimo że pod koniec października ceny paliw rzeczywiście wzrosły. Nie zapominajmy jednak, że zbiegło się to z początkiem konfliktu w Izraelu, który miał duży wpływ na ceny paliw na świecie. Dodatkowo w 2023 r. ORLEN nie kupił już ani kropli tańszej ropy z Rosji, lecz zaopatruje się w droższy surowiec. Jednocześnie Daniel Obajtek wielokrotnie podkreślał, że bez względu na to, czy okres jest przed-, po- czy śródwyborczy, będzie robił wszystko, aby Polacy mogli zaopatrywać się w paliwa po najbardziej korzystnych cenach w Europie. Dzięki takiemu podejściu i takiej polityce cenowej, bardziej restrykcyjnej jeśli chodzi o rynki zagraniczne, w naszym kraju mogliśmy korzystać na rosnącej pozycji koncernu w regionie i tankować taniej niż Czesi, Niemcy czy inni Europejczycy, a jednocześnie stale imponowały zyski naszego narodowego czempiona, jakie w czasach Jacka Krawca były po prostu nieosiągalne.

Niestety, istnieje ogromne ryzyko, że zwiększona w ostatnich dniach aktywność medialna Jacka Krawca jest spowodowana właśnie tym, że ma on ochotę na powrót na stanowisko prezesa ORLENU. Czy trzeba pisać, czym dla polskiej najcenniejszej firmy w szczytowym okresie jej rozwoju byłby powrót za stery tandemu Tusk–Krawiec? Oszczędźmy sobie tej wizji.

ZB

eprasa.pl 2da195ac22



Coraz młodsi ludzie decydują się na kredyty ratalne – wyniki raportu Alior Banku

Kredyty ratalne Alior Banku interesują coraz młodszych klientów – osoby w wieku 26–35 lat stanowią 32 proc. konsumentów korzystających z takiego sposobu finansowania swoich zakupów. Największą popularnością cieszą się one w województwie mazowieckim, ale to mieszkańcy lubelskiego wnioskują o najwyższe kwoty kredytów. Kredytobiorcy najczęściej decydują się na 20 rat, a średnia kwota zobowiązania wynosi ok. 3,7 tys. zł. To kluczowe wnioski z raportu o kredytach ratalnych w Alior Banku

Artykuł sponsorowany | 59/1023/F

eprasa.pl 2da195ac22



Fot. Shutterstock

W trzecim kwartale 2023 r. odnotowano wzrost sprzedaży kredytów ratalnych w stosunku do analogicznego okresu w 2022 r. z najwyższym wynikiem w sierpniu. Najpopularniejsze były zobowiązania na sumy od 1 do 3 tys. zł, stanowiące ok. 44,5 proc. wszystkich udzielonych kredytów.

Najwięcej kredytów ratalnych udzielono w województwie mazowieckim – stanowiły one ponad 15 proc. wszystkich zobowiązań. W najmniejszym stopniu zainteresowani tego typu finansowaniem byli mieszkańcy województwa świętokrzyskiego (2 proc.). Z kolei najwyższa średnia kwota kredytu jest widoczna w województwie lubelskim i wynosi ok. 4 tys. zł. Co ciekawe, kredytobiorcy najczęściej wybierają opcję rozłożenia spłaty na 20 rat o średniej wysokości 221 zł.

– Dostrzegamy duży wzrost zainteresowania niskokwotowymi kredytami ratalnymi, dlatego pozostajemy w pełnej gotowości na dostarczenie usług najwyższej jakości w tym zakresie. Nasze elastyczne podejście do cen, wygoda procesu wnioskowania, szybkość decyzji kredytowych i indywidualizacja oferty umożliwiają klientom realizację zakupowych celów. Jesteśmy dumni z naszych osiągnięć jako lidera w dziedzinie kredytów ratalnych i chcemy pozostawać niezawodnym partnerem finansowym, gotowym sprostać wyzwaniom oraz spełniać zmieniające się oczekiwania klientów teraz i w przyszłości – mówi Marcin Goderski, Dyrektor Zarządzający Pionem Rozwoju Produktów KI i Consumer Finance.

Kredyt ratalny z wykorzystaniem potwierdzeń sms czy formularzy elektronicznych jest obecnie najbardziej popularny. Niemal wszystkie procesy sprzedaży tego produktu w województwie pomorskim odbywały się bez użycia papieru. Ze wszystkich regionów Polski najrzadziej korzystano z tej formy w województwie lubelskim, ale mimo wszystko stanowiły one aż 96 proc. wszystkich procesów. W trzecim kwartale 2023 r. w stosunku do analogicznego okresu w 2022 r. bank zaobserwował wzrost udziału sprzedaży o 70 proc. w kanałach online. Odzwierciedla to trend cyfryzacji usług finansowych i preferencje klientów dotyczące wygody oraz szybkości obsługi.

– Dzięki zaangażowaniu zespołu UX proces rat online charakteryzuje się przejrzystością i dostępnością. Na każdym etapie wniosku użytkownik jest w jasny sposób informowany o jego przebiegu. Nasi klienci doceniają to rozwiązanie, o czym świadczą wyniki regularnych badań NPS, które nigdy nie spadły poniżej 80 proc. Wierzymy, że proces online, dostępny obecnie oraz doskonalony w przyszłości, pozwoli na utrzymanie przez Alior Bank roli lidera na polskim rynku kredytów ratalnych – mówi Marcin Baś, Dyrektor ds. Kluczowych Kontrahentów w Alior Banku.

Kredyty ratalne cieszą się takim samym zainteresowaniem wśród kobiet i mężczyzn. Ponad 60 proc. kredytobiorców to ludzie w wieku 26–45 lat. Najstarsi zamieszkują województwa świętokrzyskie i lubuskie (średnia wieku 42 lata), a najmłodsi podkarpackie i pomorskie (średnio 40 lat). Młodsi klienci (18–25 lat) częściej decydują się na mniejsze kwoty, oscylujące ok. 3,2 tys., natomiast kredytobiorcy w wieku 56–65 lat decydują się na zobowiązania w wysokości ok. 5 tys. zł.

Zdecydowanie dominują konsumenci z umową o pracę, stanowiący 71 proc. Ok. 22 proc. z nich utrzymuje się z emerytury lub prowadzenia działalności gospodarczej. Najmniej kredytobiorców zarabia na pracy w gospodarstwie rolnym lub otrzymuje rentę.

Najwyższe dochody deklarują kredytobiorcy z województwa mazowieckiego, których średnie zarobki netto wynoszą 6,8 tys. zł, najniższe –mieszkańcy województwa podkarpackiego i świętokrzyskiego (średnio niewiele ponad 5 tys. zł netto). Blisko 23 proc. klientów wykazuje dochód pomiędzy 3 a 4 tys. zł netto, a 22 proc. kredytobiorców pomiędzy 4 a 5 tys. zł netto.

Warto zauważyć, że klienci różnią się stanem cywilnym, a także stopniem wykształcenia. Ponad połowę stanowią osoby w związku małżeńskim. Blisko jedna trzecia to kawalerowie i panny. Z kredytów niemal w ogóle nie korzystają pary przebywające w separacji lub małżonkowie, którzy wspólnie rozliczają PIT. Jeśli chodzi o edukację, to 40 proc. z klientów posiada wykształcenie średnie, a 32 proc. wyższe z tytułem magistra. Najrzadziej na zobowiązania finansowe decydują się osoby z tytułem doktora.

Klienci Alior Banku głównie biorą kredyty na zakup AGD, telefonów i urządzeń GPS. Kredytem ratalnym klienci finansują także narzędzia, książki, sprzęt fotograficzny i kamery. Wysokie kwoty kredytu są przeznaczane na zakup mikroinstalacji fotowoltaicznych, pomp ciepła czy mebli.

Szczegółowe informacje dostępne są w raporcie: https:// www. aliorbank.pl/

eprasa.pl 2da195ac22



Farma wiatrowa Wojciechowo, fot. PGE

Zielona transformacja polskiej energetyki

Polska gospodarka, aby pozostać konkurencyjną potrzebuje czystej, bezpiecznej, zielonej i taniej energii. Aby to osiągnąć konieczna jest sprawiedliwa transformacja energetyczna realizowana przez polskie firmy

PGE prowadzi w zielonej zmianie, będąc już teraz największym producentem zielonej energii w Polsce i dysponując 21 lądowymi farmami, 31 farmami fotowoltaicznymi, 29 wodnymi elektrowniami przepływowymi i 4 wodnymi elektrowniami szczytowo-pompowymi. Łączna moc zainstalowana wszystkich obiektów wynosi obecnie ok. 2520 MW. Pomimo wysokich nakładów inwestycyjnych – przez 9 miesięcy 2023 r. PGE zainwestowała 6,6 mld zł – utrzymanie tempa transformacji zależy od wydzielenia z Grupy PGE aktywów węglowych. Z jednej strony zwiększy to bezpieczeństwo energetyczne, bo skupione w jednym miejscu – pod kontrolą państwa – aktywa konwencjonalne będą dostarczać energię elektryczną, do momentu ukończenia ogromnych inwestycji w odnawialne źródła i energetykę jądrową. A z drugiej strony spółki bez aktywów węglowych uzyskają możliwość finansowania kontynuacji transformacji polskiej energetyki, ponieważ z punktu widzenia instytucji finansowych aktywa węglowe stanowią dla firm energetycz-

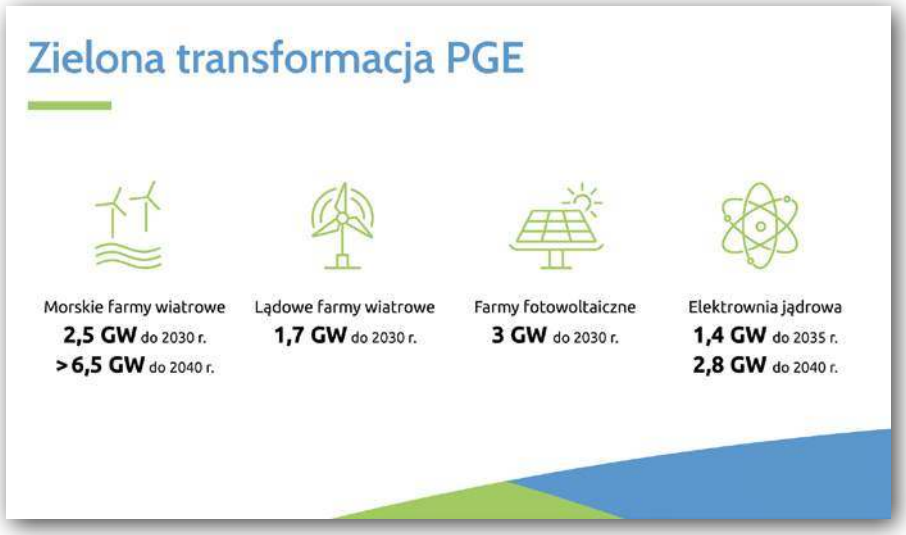
eprasa.pl 2da195ac22

nych obciążenie znacznie ograniczające możliwość pozyskania przez nie finansowania.

ZIELONA ENERGIA Z OZE

Odnawialne źródła energii są obecnie najszybciej rozwijającym się segmentem energetycznym w Polsce i to właśnie tutaj są skupione największe inwestycje PGE w nowe moce wytwórcze. Energetyka oparta na odnawialnych źródłach energii gwarantuje niezależność energetyczną oraz jest pozbawiona stale rosnących kosztów emisji CO_2, które są szczególnie dotkliwe w przypadku produkcji energii z węgla i stanowią już znaczącą część kosztów produkcji energii w Polsce. Największe inwestycje PGE są związane z budową morskich farm wiatrowych. Już pierwszy z realizowanych projektów o mocy 1,5 GW zapewni energię dla blisko 2,5 mln gospodarstw domowych i jest to obecnie największa inwestycja OZE w Polsce. Wszystkie realizowane przez PGE projekty i otrzymane obszary inwestycyjne na Morzu Bałtyckim pozwolą na wybudowanie ponad 7,3 GW mocy, czyli prawie półtora raza więcej niż Elektrownia Bełchatów – największa konwencjonalna elektrownia w Polsce i Europie. Plany PGE do 2030 r. obejmują również budowę lub akwizycję farm wiatrowych na lądzie o łącznej mocy ok. 1 GW i ok. 3 GW farm fotowoltaicznych.

Charakterystyczną cechą odnawialnych źródeł energii jest ich zależność od warunków atmosferycznych – wiatru i słońca. Już teraz zdarzają się słoneczne i wietrzne dni, gdy produkcja z OZE przewyższa bieżące zapotrzebowanie. Aby optymalnie wykorzystać produkcję zielonej energii, rozwojowi OZE musi towarzyszyć rozwój magazynowania energii. Zmagazynowana energia może zostać wykorzystana w godzinach zwiększonego poboru energii. PGE dysponuje czteroma elektrowniami szczytowo-pompowymi (ESP), które pełnią również funkcję magazynów energii, a także przygotowuje budowę kolejnej tego typu elektrowni – ESP Młoty – na południu Polski. Elektrownia ta zapewni stabilizację sieci energetycznej na południu kraju i możliwość magazynowania zielonej energii oraz będzie pełniła funkcję przeciwpowodziową. PGE rozwija również projekty bateryjnych magazynów energii.





Farma fotowoltaiczna Jeziórko, fot. PGE

eprasa.pl 2da195ac22



Elektrownia szczytowo-pompowa Porąbka Żar, fot. PGE

ENERGETYKA JĄDROWA

Elektrownie jądrowe są obecnie jedyną alternatywą dla powoli zmniejszającej się roli energetyki węglowej. W przyszłości zastąpią one wyłączane z eksploatacji stare bloki węglowe, przejmując ich rolę. PGE wraz z partnerami – polskim ZE PAK i koreańskim KHNP – planuje wybudować w regionie konińskim elektrownię jądrową o mocy 2,8 GW. Projekt został zapoczątkowany w październiku 2022 r. podpisaniem listu intencyjnego. Od tego momentu przygotowano wstępny plan inwestycji, wstępne analizy warunków geotechnicznych, sejsmicznych i środowiskowych, szacunkowy budżet prac przygotowawczych i scenariusze finansowania. PGE i ZE PAK powołały spółkę celową – PGE PAK Energia Jądrowa, która reprezentuje polskich udziałowców w projekcie. Uzyskała już ona decyzję zasadniczą dla projektu, co oznacza, że budowa elektrowni jest zgodna z celami polityki energetycznej Polski. Pozwala to przejść do kolejnych etapów inwestycji, jakimi są m.in.: badania środowiskowe i lokalizacyjne, przygotowanie studium wykonalności projektu oraz kontynuacja rozmów na temat finansowania inwestycji. Uruchomienie pierwszego reaktora elektrowni jest planowane na 2035 r.



Od 2020 r. zainwestowaliśmy blisko 24 mld zł w nowe moce wytwórcze energii i ciepła, modernizację i rozbudowę sieci dystrybucji energii, ale również przygotowania do realizacji kolejnych ważnych inwestycji, które w przyszłości zapewnią nam suwerenność energetyczną. Największymi są budowa morskich farm wiatrowych, z których pierwsza zostanie uruchomiona już w 2027 r., a także elektrownia jądrowa, której budowę przygotowujemy w regionie konińskim. Tylko w tych dwóch obszarach może zostać wybudowane ponad 10 GW mocy co odpowiada ok. 28% obecnego zapotrzebowani na energię w Polsce. Transformacja w kierunku zielonej energii pozwoli Polsce na zachowanie niezależności energetycznej, a nam na produkcję taniej energii dla odbiorców.

Wojciech Dąbrowski,
prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej

DYSTRYBUCJA

Do prawidłowego funkcjonowania całego systemu energetycznego konieczne jest równoległe przystosowanie sieci dystrybucyjnych do przesyłania energii z nowobudowanych mocy wytwórczych. PGE modernizuje i rozbudowuje sieć dystrybucji, zwiększając jej pojemność oraz bezpieczeństwo funkcjonowania. Wśród najważniejszych inwestycji znajdują się projekty związane m.in. kablowaniem sieci średniego napięcia, czyli przenoszeniem linii napowietrznych pod ziemię, gdzie nie są narażone na działanie zjawisk atmosferycznych, oraz modernizacja i budowa Głównych Punktów Zasilających (GPZ), pozwalających na wzmacnianie możliwości przesyłowych

Artykuł sponsorowany | 32/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22

i usprawniających proces dostarczania zielonej energii do odbiorców, a co za tym idzie wspierających efektywne wykorzystywanie mocy generowanych w OZE. Inwestycje te wzmacniają bezpieczeństwo dostaw energii do odbiorców oraz umożliwiają podłączanie kolejnych inwestycji w OZE, co sprzyja rozwojowi energetyki odnawialnej i optymalnego wykorzystania produkowanej w ten sposób energii. Jednocześnie PGE inwestuje w cyfryzację sieci. Jej opomiarowanie wraz wymianą liczników energii u klientów pozwoli na monitorowanie sieci w czasie rzeczywistym, a także reagowanie na wszelkie występujące awarie i zdarzenia. Dla klientów oznacza to szybszą obsługę oraz możliwość oferowania nowych usług i produktów.



DEKARBONIZACJA CIEPŁOWNICTWA

Jako największy producent i dostawca ciepła sieciowego w Polsce PGE od kilku lat transformuje sektor ciepłowniczy, zastępując wyeksploatowane i nieefektywne źródła węglowe nowoczesnymi rozwiązaniami nisko- oraz zeroemisyjnymi. Podstawowym paliwem w nowych jednostkach wytwórczych jest gaz wsparty instalacjami OZE, w tym m.in. fotowoltaiką, biomasą, kolektorami słonecznymi lub przetwarzaniem odpadów komunalnych. Obecnie w ramach planu dekarbonizacji ciepłownictwa prowadzonych jest 10 projektów inwestycyjnych: w Bydgoszczy, Kielcach, Gdyni, Gorzowie Wielkopolskim, Lublinie Wrotków, Rzeszowie, Siechnicach koło Wrocławia i Wrocławiu-Zawidawie. W fazie przygotowania do realizacji jest 15 kolejnych projektów kogeneracyjnych oraz ciepłowniczych, m.in. w Gdańsku, Gdyni, Krakowie czy Lublinie. Łączne nakłady na inwestycje rozwojowe w transformację ciepłownictwa wyniosą ponad 7,7 mld zł.

Bezpieczeństwo i suwerenność energetyczna, mniejszy wpływ na środowisko i akceptowalna cena to oczywiste korzyści transformacji energetycznej dla wszystkich odbiorców. Inwestycje w energetykę to także dobra wiadomość dla polskiej gospodarki, w której powstaną nowe miejsca pracy przy budowie nowych źródeł energii i ciepła, a dzięki niskim cenom energii gospodarka zyska na konkurencyjności.


Elektrownia szczytowo-pompowa Solina, fot. PGE

PGE Prowadzimy w zielonej zmianie

Projekt realizowany we współpracy z PGE Polską Grupą Energetyczną.
Zapraszamy do obejrzenia Wywiadu Gospodarczego w telewizji wPolsce.pl
oraz do przeczytania publikacji na portalu wGospodarce.pl

eprasa.pl 2da195ac22

Najlepszy polski kierowca wyścigowy pojedzie w Ferrari, 17-letni Kacper Sztuka w Red Bullu

Kubica i następca Kubicy razem w ORLEN Teamie

„Siedem wyścigów na sezon to dla mnie za mało. Jeśli tak czuję w wieku 38 lat, to znaczy, że wciąż mam pasję do tego sportu" – mówi Robert Kubica, który w przyszłym roku będzie miał zdecydowanie więcej pracy, bo wystartuje aż w dwóch seriach wyścigowych. Za kierownicą hypercara Ferrari w Długodystansowych Mistrzostwach Świata WEC oraz w European Le Mans Series. Kubica będzie także kontynuować współpracę z ORLENEM przez kolejne trzy lata jako jeden z głównych ambasadorów marki



Współpraca Kubicy z ORLENEM stanowi modelowy przykład długofalowej i przemyślanej polityki sponsoringowej, która doskonale współgra z realizacją celów biznesowych i budową wizerunku. Sportowiec odgrywa kluczową rolę jako ambasador marki, aktywnie uczestnicząc w kampaniach marketingowych wspierających obszar detaliczny. W ostatnich latach promował ORLEN Paczkę, paliwa VERVA oraz program lojalnościowy VITAY. Wybór najlepszego polskiego kierowcy wyścigowego w historii do roli ambasadora marek sygnowanych nazwą i logo największej polskiej firmy wywodzącej się z branży paliwowej, a więc mocno kojarzonej z motorsportem, przemawia do klientów koncernu.

WSPÓŁPRACA WARTA MILIONY

Według badania pracowni ARC Rynek i Opinia aż 55 proc. Polaków pozytywnie ocenia zaangażowanie ORLENU w sponsoring kierowcy. Niemal co piąty respondent wskazuje, że dzięki współpracy z Kubicą chętniej korzysta ze stacji paliw z głową orła w logo. Sportowiec cieszy się dużą popularnością w kraju, a jednocześnie gwarantuje światową ekspozycję marki ORLEN i wzmacnia jej rozpoznawalność. Łączna szacowana wartość zwrotu mediowego i pozamediowego dla ORLENU, wynikającego ze współpracy z Robertem Kubicą na polskich i zagranicznych rynkach, w 2023 r. wyniesie ok. 68,5 mln zł.

Dla Roberta Kubicy przyszły rok oznaczać będzie kolejny sezon w Długodystansowych Mistrzostwach Świata. Po zdobyciu tytułu mistrzowskiego w klasie LMP2 w swoim drugim pełnym sezonie z ekipą ORLEN Team WRT, w przyszłym roku będzie on rywalizować w klasie Hypercar,

Artykuł sponsorowany | 43/0223/F

najwyższej kategorii Długodystansowych Mistrzostw Świata. Dołączy do zespołu AF Corse, współpracującego z Ferrari, i poprowadzi model 499P – jeden z trzech samochodów w stawce WEC 2024. Włoska ekipa zwyciężyła w wyścigu 24h Le Mans w sezonie 2023. Warto podkreślić, że klasa Hypercar to maszyny mocniejsze i szybsze niż LMP2, jasno więc widać, że jazda Roberta w zakończonym sezonie wzbudziła furorę w świecie wyścigów WEC.

LATA LECĄ, A ON WCIĄŻ JEST SZYBKI

W ciągu pięciu lat współpracy z ORLENEM Kubica odniósł sukcesy w prestiżowych seriach wyścigowych. Wrócił do Formuły 1 – najpierw z zespołem Williamsa, a następnie Alfa Romeo Racing Team ORLEN. W 2021 r. z ORLEN Teamem WRT triumfował w European Le Mans Series w kategorii LMP2. Rok później z włoską ekipą Premy stanął na drugim stopniu podium wyścigu 24h Le Mans. Ten sukces powtórzył w tym roku, zdobywając mistrzowski tytuł w Długodystansowych Mistrzostwach Świata WEC – ponownie w barwach ORLEN Team WRT. Teraz, spełniając marzenie o jeździe dla Ferrari, Kubica będzie rywalizować w klasie Hypercar w 2024 r., a także powróci do European Le Mans Series z ORLEN Team AO by TF.

ŚLADAMI IDOLA DO… F1?

Należy wspomnieć o kolejnym istotnym aspekcie sportowej kariery Kubicy. Kierowca ORLEN Teamu od lat stanowi wzór do naśladowania dla młodych, utalentowanych sportowców, którzy czerpią z jego wiedzy i doświadczenia. Jednym z nich, mającym wszelkie możliwości, by powtórzyć sukces Roberta i stanąć kiedyś na starcie wyścigu Formuły 1, jest Kacper Sztuka, także kierowca ORLEN Teamu. Niedawno media obiegła informacja o dołączeniu Kacpra do Akademii Red Bulla, gdzie będzie rozwijać swoje umiejętności. 17-latek zdobył właśnie tytuł mistrzowski we włoskiej Formule 4 i zdecydowanie przykuwa swoim talentem uwagę środowiska wyścigowego. Polak dołącza do programu juniorskiego Red Bulla przy jednoczesnym przedłużeniu współpracy z ORLENEM, sponsorem od początku



Daniel Obajtek, prezes zarządu ORLEN

Sponsoring sportu to jeden z filarów strategii budowania silnej i globalnie rozpoznawalnej marki. Od kilku lat stawiamy na kluczowy projekt związany z obecnością w Formule 1, dzięki czemu docieramy do setek milionów kibiców na całym świecie. Konsekwentnie wspieramy też najlepszego polskiego kierowcę wyścigowego, jedynego polskiego zawodnika w historii F1 – Roberta Kubicę. Podjęliśmy decyzję o przedłużeniu umowy sponsoringowej z Robertem o kolejne trzy lata. Wesprzemy go w walce o kolejne trofea najbardziej prestiżowych serii wyścigowych. Jednocześnie będziemy dalej efektywnie wykorzystywać tę współpracę na polu marketingowym i komunikacyjnym – mówi prezes zarządu ORLEN S.A.

2023 r. Koncern zwiększa zakres swojego finansowego zaangażowania w rozwój utalentowanego kierowcy.

– Sponsoring sportu jest bardzo ważnym elementem budowania silnej, globalnie rozpoznawalnej marki ORLEN, a sam motorsport to filar naszego zaangażowania w tym obszarze. Od kilku lat jesteśmy obecni w padoku Formuły 1, współpracujemy z mistrzami z Robertem Kubicą, Bartoszem Zmarzlikiem i Kajetanem Kajetanowiczem na czele. Jednocześnie patrzymy w przyszłość i myśląc o ich następcach, wspieramy najbardziej utalentowanych młodych polskich sportowców. Widzimy, jak wielki potencjał drzemie w Kacprze i będziemy dalej konsekwentnie angażować się w jego rozwój – mówi Agata Pniewska, dyrektor wykonawczy ds. sponsoringu ORLEN S.A.

– Dołączenie do programu Red Bulla to dla mnie ogromne wyróżnienie oraz szansa na rozwój. Zawsze podkreślam, że moim marzeniem są występy w Formule 1 i sądzę, że to ważny krok w tym kierunku. Cieszę się, że moją ciężką pracę docenia ORLEN, największy sponsor polskiego sportu, który współpracuje z wieloma wybitnymi przedstawicielami sportów motorowych. Jestem pełen determinacji przed najważniejszym sezonem w mojej karierze i zrobię wszystko, żeby spełnić pokładane we mnie nadzieje – mówi Kacper Sztuka.

Red Bull Junior Team to projekt, który powstał w 2001 r. Jego celem jest wspieranie rozwoju najbardziej utalentowanych młodych kierowców wyścigowych na świecie. Obecnie w stawce Formuły 1 znajduje się siedmiu zawodników, których kariery wspierał ten program, z mistrzem świata, Maksem Verstappenem na czele. Do Red Bull Junior Team należeli w przeszłości także Carlos Sainz, Daniel Ricciardo oraz Yūki Tsunoda, dziś rywalizujący z sukcesami w królowej motorsportu.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 2da195ac22



MAGDALENA WOLIŃSKA-RIEDI*

Rzymskie déjà vu

Mówi, że Rzym jest dla niej jak „zamykany na kluczyk intymny pamiętnik, pełen zapisanych drobnym pismem stron, które w słowach zaklinają wspomnienia, refleksje, uczucia i emocje". Magdalena Wolińska-Riedi, dziennikarka i korespondentka telewizji, autorka (wydanej przez „Znak") watykańskiej trylogii z bestsellerową „Kobietą w Watykanie", tym razem zabiera czytelników na spacer po „swoim Rzymie". Mieszka w nim od 20 lat i zna chyba każdy jego zakątek.

Potrafi opowiadać o Wiecznym Mieście z sercem i pasją. Potoczyście, malowniczo i zajmująco, nierzadko sięgając do anegdot i osobistych wspomnień. Czasem zatrzymuje się na moment w urokliwym miejscu, by za chwilę ruszyć dalej, odkrywając kolejne malownicze kamienice i klimatyczne zaułki, równocześnie intrygując ciekawostkami, pozwalającymi jej rozszerzyć (także informacyjną) perspektywę.

„Często myślałam, przemierzając przez ostatnie dwie dekady kilometry rzymskiego bruku, że opisanie tego miasta to istne labor impossibilis – zadanie, uczciwie rzecz biorąc, niewykonalne" – przyznaje we wstępie do książki „Mój Rzym. Spacerem po niezwykłych zakątkach Wiecznego Miasta" (Wyd. „Znak").



Podkreśla, że długo wzbraniała się przed zrealizowaniem najnowszego wydawniczego projektu, bo „wielkość Rzymu doprawdy przytłacza", lecz kiedy już zdecydowała się chwycić za pióro, przeżyła swoiste déjà vu.

„Przymknęłam lekko oczy i wyruszyłam w wielką podróż, dając się ponieść własnej intuicji. W wyobraźni znów – jak czynię to często w realnym świecie – wyszłam z domu przy placu św. Piotra i przeszłam przez most na lewą stronę Tybru. Tam, gdzie pulsuje rzymska codzienność, a w powietrzu od świtu unosi się aromat świeżo palonej kawy. Gdzie letnie słońce rozpala grube mury, a cień można znaleźć jedynie w wąskich przesmykach. Gdzie warto schłodzić dłoń w barokowej fontannie lub przysiąść z lampką wina przy jednym z urokliwych placów. Powróciłam do miejsc, które znam od niepamiętnych lat. Tych, które pokochałam, do których przylgnęłam i które stały się cząstką mojej tożsamości" – deklaruje.

Jej Rzym to, jak ocenia, przede wszystkim „miasto poza szlakiem", pozostające w cieniu słynnych zabytków, niszowe i mało znane. „Idealne na spacer, z mapą zmysłów przy sobie".

Poznając w ten sposób „stolicę świata", chłonąc jej atmosferę, czytelnik wraca też z mnogością różnorodnych informacji (przekazywanych w sposób pozwalający zostać im w pamięci na długo). M.in. o tym, co można zobaczyć, zaglądając przez najsławniejszą w Rzymie dziurkę od klucza (a widać przez nią... fragmenty terytoriów trzech państw), przy którym z rzymskich placów (zresztą jedynym w mieście) nie stoi ani jeden kościół (to Campo de' Fiori), co łączy Rubensa, Picassa, Felliniego i Audrey Hepburn (urokliwa via Margutta, czyli ulica artystów)... Lecz także dlaczego po godz. 12 lepiej nie prosić w kawiarni o cappuccino i dlaczego na tiramisu najlepiej udać się do cukierni Roberto i Cinzi przy via della Croce.

Jolanta Gajda-Zadworna
**Dziennikarka, korespondentka TVP z Rzymu i Watykanu*

Fot. Tomasz Żukowski Panteon/materiały prasowe

eprasa.pl 2da195ac22



SŁODKO-SŁONY

Szybkie paluchy

ANNA MONICKA

Zazwyczaj nie kupuję gotowego, przetworzonego jedzenia. Większość potraw staram się przyrządzać sama. W czasie tak imprezowo-towarzysko-rodzinnym jak adwent, Boże Narodzenie czy Nowy Rok sięgam jednak po wspomaganie. Zawsze mam pod ręką ciasta w rolce, półprodukt, który w kilkanaście minut można zamienić w coś pysznego, nie przerywając przy tym miłych pogaduszek z koleżankami czy znajomymi.

Zazwyczaj mam w zamrażalniku kilka rulonów kruchego czy francuskiego – nie raz wyratowały mnie z opresji, gdy znienacka zapowiedzieli się znajomi, którzy akurat przejeżdżali koło nas w drodze na wycieczkę czy zakupy. W spiżarni natomiast czeka kilkadziesiąt słoików z dosmaczonymi na wiele sposobów sosami pomidorowymi. Mam też w zamrażarce dużo posiekanej zieleniny – kopru, szczypioru, naci pietruszki i kolendry. Zazwyczaj wykorzystuję je do doprawiania zup, ale świetnie nadają się także do wszelkiego rodzaju pikantnych zapiekanek.

Z takiego ciasta najprościej zrobić błyskawiczną tartę. Wyklejamy arkuszem okrągłą niską formę, nakłuwamy spód widelcem i podpiekamy przez 5 min w dobrze nagrzanym piecu. Potem wyjmujemy i wypełniany naczynie z ciastem różnymi rodzajami sera, cebulką, pomidorkami, plasterkami dyni (świetnie smakuje pleśniowy z plastrami gruszki i kroplami miodu, posypany orzechami włoskimi), solimy, posypujemy pieprzem i znów zapiekamy, tym razem mniej więcej 20 min. To bardzo smaczna, błyskawiczna przekąska.

Można też zrobić serowe paluchy. Potrzebujemy wtedy dwóch arkuszy ciasta francuskiego. Na jednym rozsypujemy równomiernie wiórki pachnącego, dojrzewającego sera i drobniutko pokrojoną nać dymki. Do posmarowania można też zrobić szybkie pesto z natki pietruszki, czosnku, oliwy oraz garści nerkowców i dopiero wtedy sypnąć serem. Na wierzch nakładamy drugi arkusz ciasta i kroimy wszerz na paski szerokości 1,5–2 cm. Posypujemy je serem i ziołami lub, jeśli lubimy mięso, układamy szynkę parmeńską. Każdy paluch skręcamy dwukrotnie, smarujemy roztrzepanym jajkiem, posypujemy z umiarem gruboziarnistą solą i wkładamy do piekarnika na pół godziny. Podajemy do czystego barszczu. Smacznego.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Myszołów włochaty

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Obserwacje ptaków mogą mieć różny charakter. Są obserwatorzy, którzy lubią wyzwania. Np. rywalizację, kto w ciągu roku zaobserwuje większą liczbę gatunków ptaków – zaobserwuje, czyli stwierdzi: zobaczy lub usłyszy w sposób pozwalający bez wątpienia wskazać gatunek ptaka. Istnieją strony, na których można się rejestrować, zgłaszać obserwacje i na bieżąco porównywać swoje wyniki z innymi uczestnikami.

Rekordziści potrafią zaobserwować w ciągu roku w Polsce (chociaż to nie tylko polska zabawa) ponad 300 gatunków ptaków. To bardzo dużo, biorąc pod uwagę, że gatunków lęgowych mamy ok. 240. Chcąc osiągnąć taki wynik, ornitolodzy muszą zaobserwować także gatunki pojawiające się na przelotach. Wszystko to wymaga znakomitej znajomości wyglądu i głosów ptaków, ale też znajomości ich zwyczajów, siedlisk, tras i okresów przelotów, odpoczynku, żerowania itp. To znakomite ćwiczenie uważności, spostrzegawczości, wrażliwości przyrodniczej i praktycznej znajomości ptaków.

Tworzyć listy gatunków ptaków, jakie się zaobserwowało, można oczywiście nie tylko w grupach. Możemy spisywać je samemu na własny użytek: gatunki stwierdzone w określonym czasie, np. w ciągu roku, albo w ogóle zaobserwowane, bez ram czasowych. Można ograniczyć je do swojego kraju albo odnotowywać niezależnie od miejsca, tworząc listę gatunków napotkanych w dowolnym miejscu świata; można też zakresem obserwacji objąć choćby swój ogród.

Do tworzenia listy gatunków dobra jest każda pora roku. Nie tylko zresztą dobra, ale niezbędna – jeżeli chcemy, aby lista była jak najdłuższa, musimy działać również zimą, mającą swoją specyfikę. Tylko teraz możemy zaobserwować np. myszołowy włochate, przylatujące do nas z Północy i koczujące na polach, ponad którymi szybują, wypatrując gryzoni. Od lęgowych polskich myszołowów zwyczajnych, których znaczna część zostaje w kraju na zimę, myszołów włochaty różni się ogonem – białym od spodu, z ciemnym paskiem przedkońcowym.

Tylko zimą można spotkać też w Polsce dwa gatunki przylatujące do nas z tajgi – przepięknie ubarwione jemiołuszki o głosach przypominających szklane dzwoneczki oraz czeczotki, które czasem wplątują się w stadka czyżyków.

eprasa.pl 2da195ac22

Nierozliczone zbrodnie



Alina Czerniakowska

Słowa zapisane na murach Warszawy, tablice pamięci. Przechodząc, rzadko kiedy zatrzymujemy się, by przeczytać wstrząsające informacje o łapankach i rozstrzelaniu niewinnych ludzi, przypadkowych mieszkańców Warszawy. Część tablic zachowała się jeszcze na starych murach, inne, niestety, zniknęły na zawsze, często wyraźnie ze względów politycznych. Przykładem może być niedawne zastąpienie tablicy o akcji podziemia AK przy ul. Senatorskiej tablicą z informacją o tym, że w tym domu mieszkał Leszek Kołakowski, piewca stalinizmu, choć potem krytyk marksizmu, ale zgodny z myśleniem i postępowaniem obecnych władz stolicy.

Niemcy dokonywali haniebnych łapanek ulicznych, polowali na ludzi (to zachowanie niespotykane nawet wśród dzikich ludów), a przecież pretendowali wówczas do roli „nacji panów". Chcieli zastraszyć, zniszczyć podziemny ruch oporu, zlikwidować Polskie Państwo Podziemne, działające w oparciu o administrację rządową przedwojennej Polski, tak imponująco rozwijającej się po latach niewoli. Prof. Bolesław Orłowski, całe życie zajmujący się tematyką polskich wynalazców i odkrywców, twierdzi, że właśnie ten okres międzywojnia nie ma sobie równych, jeśli chodzi o rozwój polskiej nauki w służbie gospodarki.

Miejsca i ofiary ulicznych egzekucji przeprowadzanych w Warszawie zostały zapisane na tablicach projektu Karola Tchorka, niektóre udało się umieścić na fragmentach zachowanych murów z czasów okupacji. Ich głównym elementem jest krzyż z wkomponowanym w niego napisem: „Miejsce uświęcone krwią Polaków poległych za wolność ojczyzny" oraz informacja o liczbie zamordowanych tu Polaków.

Karol Tchorek, warszawski rzeźbiarz, marszand i kolekcjoner sztuki, ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r., zwyciężył w konkursie mającym na celu upamiętnienie niemieckich zbrodni w Warszawie. W stolicy ustawiono 460 tablic, znaczna część jednak zniknęła, do dziś zachowało się zaledwie 167. Jak dłużej potrwa taki rząd w stolicy, może ich w ogóle nie być.

Za każdą tablicą kryje się nieopisany dramat Polaków – nie tylko tych, którzy zostali zamordowani i ich rodzin, lecz także zmuszanych przez Niemców do oglądania tych nieludzkich widowisk. Na tych tablicach mówi się o hitlerowcach, o SS, a to nazwy mało czytelne dla młodych pokoleń. Brak wyraźnych sformułowań, że tych zbrodni dokonywali Niemcy.

Dwa lata temu z inicjatywy patriotycznych organizacji, niektóre tablice na murach Warszawy zostały uzupełnione ufundowanymi przez Fundację PGE planszami z pleksi z dokładniejszą informacją o tym, co się wydarzyło w danym miejscu. Sprawcy zbrodni są na nich nazwani Niemcami. Napis „hitlerowcy" powstał za czasów komunizmu, aby nie drażnić towarzysza Ericha Honeckera i władz w Moskwie, a to przecież Niemcy podpisali pakt Ribbentrop-Mołotow i napadli na Polskę.

Niestety obecny prezydent stolicy przywraca napisy na murach, w których sprawcami zbrodni są znowu „hitlerowcy", a część historycznych tablic w ogóle zlikwidował.

Niemcy mordowali ludzi i niszczyli miasto, Warszawa była uznawana przez niemieckich okupantów za centrum oporu. Generalny gubernator Hans Frank zapisał w swoim dzienniku pod datą 14 grudnia 1943 r.: „Mamy w tym kraju jeden punkt, z którego pochodzi wszystko zło: to Warszawa. Gdybyśmy nie mieli Warszawy w Generalnym Gubernatorstwie, to nie mielibyśmy 4/5 trudności, z którymi musimy walczyć. Warszawa jest i pozostanie ogniskiem zamętu, punktem, z którego rozprzestrzenia się niepokój w tym kraju". Operacja planowego wyburzania i palenia stolicy, prowadzona przez Niemców już po upadku powstania warszawskiego, świadczy o największym niemieckim barbarzyństwie w dziejach ludzkości. Między październikiem 1944 a styczniem 1945 r. niemieckie oddziały zniszczyły ok. 30 proc. przedwojennej zabudowy lewobrzeżnej Warszawy. Zagładzie uległy wówczas setki bezcennych zabytków oraz obiektów o dużej wartości kulturowej, sakralnej i gospodarczej. Wyburzaniu i paleniu miasta towarzyszyła prowadzona na szeroką skalę grabież mienia publicznego i prywatnego.

Adolf Hitler oświadczył Frankowi: „Warszawa musi zostać zburzona! Stolica Polaków będzie zniszczona, tego narodu, który od 700 lat blokuje nam Wschód i od czasu pierwszej bitwy pod Tannenbergem leży nam na drodze. A wówczas historycznie polski problem nie będzie już wielkim problemem dla naszych dzieci i dla wszystkich, którzy po nas przyjdą, ba, nawet już dla nas". Dzisiaj te słowa Hitlera powinny zapalać czerwoną lampkę w głowie każdego Polaka. Młodzi ludzie na całym świecie muszą wiedzieć, że II wojna światowa zaczęła się od agresji Niemiec na Polskę 1 września 1939 r., po złamaniu paktu o nieagresji, jaki Polska zawarła z Niemcami jeszcze za życia Józefa Piłsudskiego. Agresorem były Niemcy, które już wcześniej, zanim został podpisany pakt Ribbentrop-Mołotow, układały dyplomatyczne porozumienie z sowiecką Rosją, aby podzielić między siebie niepodległą Rzeczpospolitą.

Jak pokazują ankiety przeprowadzane wśród młodzieży Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych, te fakty historyczne są zupełnie nieznane, przeinaczane, publikowane tak, by prawda nie docierała do młodych pokoleń. Polska poniosła największe w Europie straty osobowe i materialne. Nie byłoby Katynia, Ostaszkowa, Kozielska, Charkowa i innych miejsc kaźni polskich oficerów, elity polskiego narodu – lekarzy, prawników, właścicieli ziemskich, wysokich urzędników państwowych – wszystkich, którzy zostali powołani do wojska, by bronić napadniętej ojczyzny. 17 września nieoczekiwanie zostali zaatakowani od wschodu, a potem wymordowani przez sojuszników niemieckiego agresora, Rosję Sowiecką.

Mówienie dziś, że Polsce nie należą się żadne reparacje wojenne, jest niezgodne z prawdą historyczną, nieuczciwe, niemoralne, bardzo szkodliwe dla naszego kraju, ale też dla Niemców i całej społeczności międzynarodowej.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

49/1023/F

eprasa.pl 2da195ac22

Nadciąga patriarchat



Lech Makowiecki

„Albo wpuścimy tu świeżą krew z Afryki, albo Europa będzie muzeum dla bogatych Chińczyków” – twierdzi dobrze poinformowana „Gazeta Wyborcza”. „Wkrótce będzie tu pół Afryki” – ujawnia zamysł lewackich elit Agnieszka Holland. Multikulti postrzegane jest dziś na Zachodzie jako antidotum na wszelkie kłopoty.

Co spowodowało taką zmianę kursu najbogatszych krajów UE? Spektakularny upadek cywilizacji łacińskiej (która do niedawna dominowała nad światem) nie wziął się znikąd. Doprowadziła do niego konsekwentna polityka rządów postkolonialnych krajów Starego Kontynentu pod światłym przywództwem urzędników niemieckich.

Kto zniszczył religię i etos rodziny, a tym samym zahamował przyrost demograficzny białej rasy? Komu zawdzięczamy postępujący infantylizm i brak przystosowania do życia w realu pokolenia „płatków śniegu”? Kto zdemolował naturalny w przyrodzie podział na dwie płcie, zaburzając rozwój chłopaków i dziewczyn, przysparzając im cierpień, prowadząc często do tragedii? Czy naprawdę jedynym panaceum na wszystkie przypadłości tego świata jest brutalny, kolorowy facet z maczetą w dłoni? Czemu ma służyć tresura według praw dżungli, której na ulicach miast i miasteczek Zachodu poddawani są sparaliżowani strachem i poprawnością polityczną biali tubylcy? Od gwałtów dokonywanych na białych kobietach nie przybędzie nowych obywateli, a już z całą pewnością nie w krajach, w których aborcja jest ich niezbywalnym prawem.

A co z ekonomią? Żadne państwo nie może funkcjonować bez pracy, drukując wyłącznie pieniądze na zasiłki. Zatem to zwykli Francuzi, Niemcy, Szwedzi czy Włosi zarabiać muszą na czynsz i wyżywienie. Swoje i nielegalnych migrantów.

Nie wiem, w jakim kierunku zdryfuje Polska. Być może już wkrótce zaczną tu powstawać prawdziwe „polskie obozy” – z całym wachlarzem multikulturowego ubogacenia. Postępowe elity – feministki, czerwoni, zieloni, tęczowi i bezbarwni – zderzą się z ekstremalnym islamskim patriarchatem.

REKLAMA

Od zarania po współczesność – historia, kultura i Inicjatywa Trójmorza w fascynującej oprawie ilustracyjnej!

Tom I: **160 ilustracji**
512 str., 16,5 x 23,5 cm
twarda oprawa
cena 89 zł

Tom II: **186 ilustracji**
528 str., 16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa
cena 89 zł

PREMIERA

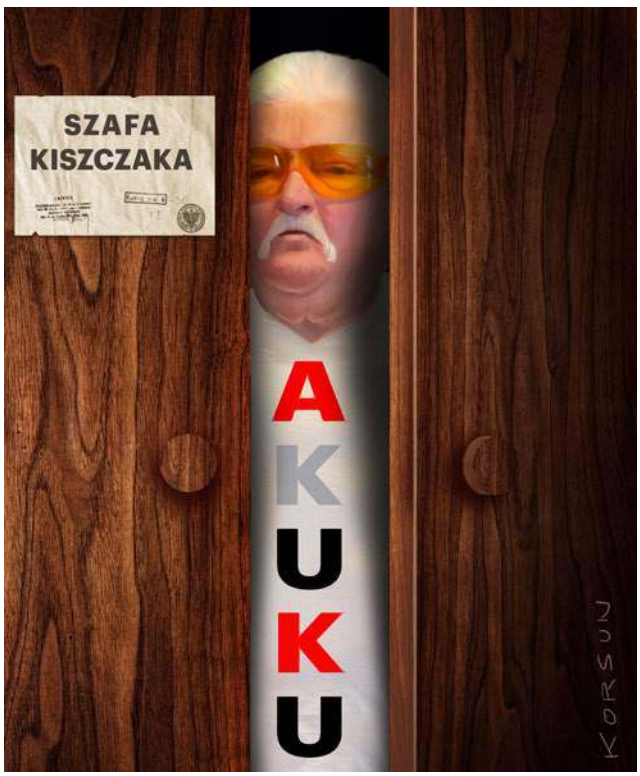


ZAMÓWIENIA:
Biały Kruk Sp. z o.o.,
ul. Szwedzka 38,
30-324 Kraków,
tel.: 12/260 32 90, 12/254 56 19,
e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl,
www.bialykruk.pl
Przy zamówieniu na kwotę powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Dwa tomy w pakiecie – taniej!
138 zł zamiast 178 zł

eprasa.pl 2da195ac22

Michał Korsun prezentuje:
A kuku...



Wycinki z przeszłości

Ostatnia część „Tłumaczenia snów" – artykułu opublikowanego w „Roczniku Gebethnera i Wolffa na rok 1915". Tekst oparto na francuskiej książce „jednoczącej w sobie wyniki badań oraz przepowiednie rozmaitych wróżbitów z XVII, XVIII i XIX wieku".

„Targ, sprzedawać coś, sprzeczać się w handlu – śmiech i zadowolenie.

Usługiwać, zamiatać, gotować – zgadzaj się bez namysłu, a zawód cię nie spotka.

Urząd wysoki spełniać, olśniewać mundurem – bądź dziś ostrożny, gdyż grozi ci zajście.

Włosy strzyc, trefić – horyzont zachmurzony, o grom nietrudno.

Wyskakiwać, tańczyć – ten, na kogo czekasz, nie przyjdzie.

Zyski obliczać, złoto widzieć – unikaj tej osoby, to plotkarz/plotkarka.

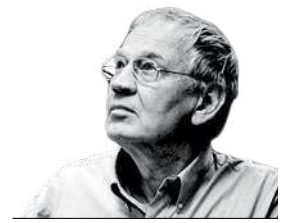
Żołądek boli, ugniata – odmów i odłóż decyzję.

Źródło, woda w ogóle – oznacza zamach na twoją kieszeń".



Na zdjęciu: Palermo, Włochy. Stoisko z gotowanymi ośmiornicami, fot. „Sieci"

(mk)



Leszek Długosz

Na roraty...

Najkrótsze dni, najdłuższe noce
– Grudniowy czas...
Coraz to mniej, niewiele już
Tych wszystkich kiedyś bliskich
Dawnych nas...
– Przy stolach, w poczekalniach
Nad wodą, w parku między szpalerami
I w zamyśleniu zaokiennym (tym w pociągu)
Coraz to więcej duchów się przysiada
Podróżuje z nami

I wymieniamy znowu wszystkie „z kiedyś"
Opowieści
Zdradzamy plany
Konfrontujemy ten i tamten świat
O Boże, jak dalekie to już światy
Uliczka tamta i miasteczko
Grudniowa ni to noc ni świt
I idzie chłopiec mały z Babką na Roraty
Dymią kominy pierwsze
Żółtawe okna zapalają domy
I Babka – widmom więcej, czy znajomym
Co trochę odpowiada: „O, dzień dobry
Pochwalony, pochwalony..."
I w moja stronę – ukłoń się i ty!

Najkrótsze dni, najdłuższe noce
Grudniowy, adwentowy czas
– W mieście, nam wtedy nawet i nie śnionym
I na rubieżach czasu niewyobrażalnych
Prowadzisz Babciu tamtego chłopca
Czuję w mej dłoni kostki, Twojej wtedy
Tamtej wtedy Twojej dłoni
Idziemy znowu na roraty
- Przez który bardziej świat?

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

Reklama | 25/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22



eprasa.pl 2da195ac22



OD A DO ZYBERTOWICZ

Odsłona machiny dezinformacji

Gdy odpowiednio skroi się dyskurs, a „Wyborcza" ma w tym dużo wprawy, mniej niezręczne będzie wejść nowemu rządowi w buty PiS

Niedawno mały raban zrobił tekst Małgorzaty Tomczak, opublikowany w „Gazecie Wyborczej", który odsłonił obraz migracji bliższy prawdzie. Uderzył w aktywistów działających na granicy polsko-białoruskiej, filmowi Agnieszki Holland uszczknął chwały, lecz przede wszystkim wskazał nowo obowiązującą narrację. O kryzysie migracyjnym, z którym rząd Donalda Tuska będzie musiał się zmierzyć.

Gdy odpowiednio skroi się dyskurs, a „Wyborcza" ma w tym dużo wprawy, mniej niezręczne będzie wejść nowemu rządowi w buty PiS.

Europa, a właściwie szerzej – cały Zachód, od lat nie radzi sobie z problemem migracji. W żadnym państwie nie ma idealnego prawa azylowego, należycie czułego na dramaty ludzkie. Zadowalający model wielokulturowości nie działa chyba nigdzie, a myśl, że migracjami można bezproblemowo zarządzać za pomocą procedur, jest iluzją.

Jestem socjologiem i autorką książki „Nieobecne wyzwanie? Integracja jako zadanie polityki społecznej wobec cudzoziemców w Polsce po 1989 roku" (2011). Dobrze wiem, o co toczy się gra.

Artykuł Tomczak jest dobrą, wielowymiarową analizą migracji. Lecz to nie wyzwanie migracji jest tu punktem ciężkości. Kluczowy nie jest nawet sam fakt demaskacji wielopiętrowego kłamstwa na temat tego, co działo się na polsko-białoruskiej granicy: „Po dwóch latach pisania o migracji i kryzysie na granicy nie mam wątpliwości, że jesteśmy w procesie wytwarzania fałszywej wiedzy".

Ten artykuł odsłania coś o wiele poważniejszego. Ukazuje know-how, jakie z powodzeniem bywa stosowane w odniesieniu także do wielu innych ważkich problemów.

DOBRO SPRAWY

Jeśli szczytny/wyższy cel wymaga działania, „w którym kategorie obiektywizmu i prawdy nie mają zastosowania", to w porządku. Jeśli „uparte pokazywanie wybranych fragmentów rzeczywistości i zupełne pomijanie innych" służy wyższym celom, jesteśmy rozgrzeszeni. Nawet „zwykłe fake newsy, jak historia Eileen, liczne przeinaczenia na poziomie samych faktów, ich przyczyn czy interpretacji" są dopuszczalne, jeśli służą „dobru sprawy".

AKTYWISTYCZNA MISJA

A jeśli ekoaktywiści, zupełnie jak działacze opisywani przez Tomczak, są tak zafiksowani na walce o planetę, że w imię tego „szczytnego" celu propagują wyselekcjonowane lub nawet fałszywe dane, wątpliwej jakości ekspertyzy, choćby takie o zabójczej dla środowiska hodowli zwierząt?

A promowanie tożsamości LGBT+, lansowanie transgender jako coś zgodnego z naturą. Ile badań dotyczących osób po tranzycji naciągnięto w imię wolności jako nadrzędnej wartości? Czy tu także dziennikarze „podążają za dyskursem aktywistów, nie podważając go, nie weryfikując informacji i tworząc przez to narracje często nielogiczne, a czasem po prostu nieprawdziwe?".

A kampania na rzecz reprodukcyjnych praw kobiet? Według „Wyborczej" „aborcja jest OK". Na jakiej podstawie? A czułość dla płodu? A późniejsze wyrzuty sumienia wielu kobiet? Tomczak zastanawia się, dlaczego sama napisała tyle tekstów o migracjach „w duchu aktywistycznym, na początku z pełnym przekonaniem, a dopiero potem z rosnącym poczuciem ambiwalencji i zdezorientowania".

A Nowa Szkoła Holokaustu? Jej przedstawiciele otwarcie mówią, że tu liczby nie są kluczowe. Czyżby prawda historyczna nie była najważniejsza? Moim zdaniem w ten sposób „Wyborcza" podtrzymuje w społeczeństwie polskim mentalność postkolonialną. Przetrąconą polskością łatwiej zarządzać. Sądzę, że sami nie rozumieją, w czyim interesie to robią.

A przykład patologii w Kościele: filmy braci Sekielskich, podważanie autorytetu i świętości Jana Pawła II, mapa kościelnych pedofilii? I ten nieszczęsny przypadek oszusta, założyciela Fundacji „Nie Lękajcie Się". Kłamał w „szczytnym" celu i dlatego przymykano na to oko?

Tomczak pisze: „Fakt, że tak utrwaliliśmy narrację o »ludziach szukających ochrony w Polsce« i »służbach im to uniemożliwiających« jest zadziwiający".

Czyżby? Od 1989 r. „Gazeta Wyborcza" rości sobie prawo do bycia wyrocznią we wszystkich ważnych sprawach tego świata. Deformuje głowy Polaków, jednocześnie sprzedając wypaczony wizerunek Polski za granicą.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja 3/1123/F, 29/1123/F, 30/1123/F, 40/1123/F, 19/1123/F | Reklama 2/1123/F

eprasa.pl 2da195ac22

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW



Człowiek Wolności 2023 tygodnika SIECI

XI EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz jedenasty wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2022
Minister Obrony Narodowej
Mariusz Błaszczak



2021
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński



2020
Prezes PKN ORLEN
Daniel Obajtek



2019
Premier
Mateusz Morawiecki



2018
Wicepremier
prof. Piotr Gliński



2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska



2016
Prezes PiS
Jarosław Kaczyński



2015
Prezydent RP
Andrzej Duda



2014
Poeta i pisarz
Jarosław Marek Rymkiewicz



2013
Historyk z IPN
prof. Krzysztof Szwagrzyk

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2023**. Prosimy wypełnić kupon i przesłać go do 15 grudnia 2023 r. na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt". Regulamin plebiscytu dostępny na www.sieciprawdy.pl

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2023 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata .....

uzasadnienie .....

.....

.....

☐ Akceptuję Regulamin plebiscytu „Człowiek Wolności 2023 tygodnika Sieci" dostępny na stronie www.sieciprawdy.pl i oświadczam, że zapoznałam/em się z jego treścią.*

* pole obowiązkowe

Partner Główny

ORLEN

Partnerzy

ALIOR BANK

Bank Pekao

Enea

KGHM POLSKA MIEDŹ

PGE Polska Grupa Energetyczna

TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl 2da195ac22

Lotteria Świąteczna

LOTTO

1 x 100 000 złotych

4 x 25 000 złotych

500 x 500 złotych

50 x 5000 złotych



Do wygrania łącznie 700 000 zł oraz MILION zakładów Lotto!

18+

Kup dowolne produkty LOTTO za min. 6 zł, zarejestruj kod i weź udział w losowaniach nagród!
Wybierz Lotto lub Lotto Plus za min. 6 zł i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z MILIONA zakładów Lotto!

Graj w punktach LOTTO i na **lotto.pl**

Szczegóły i regulamin na **lotteriaswiateczna.pl**. Okres sprzedaży promocyjnej trwa **od 27 listopada do 31 grudnia 2023 r.** Liczba talonów na zakład Lotto jest ograniczona i wynosi 1 000 000 sztuk. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl 2da195ac22